

**Zaskakujący stan PiS-u ■ Zarobić na dziecku ■ Ludzie we własnym Kościele
Polacy wybiorą prezydenta USA ■ Nadal, idol Igi ■ Boskie dzieje czekolady**

Kraków 16 – 22 października 2024 nr 42 (3928)

cena 13 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Rok Tuska: jak podobać się Polakom

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379,425



6–30 listopada 2024
XXXIII edycja
arscameralisfestiwal.pl

Festiwal Ars Cameralis Miłość

ORGANIZATOR:



Województwo
 Śląskie

**Ars
 Cameralis
 Silesiae
 Superioris**

ARS CAMERALIS
 JEST INSTYTUCJĄ
 KULTURY
 SAMORZĄDU
 WOJEWÓDZTWA
 ŚLĄSKIEGO

PARTNER:

PROGRAM LITERACKI
 Dofinansowano ze środków
 Ministra Kultury i Dziedzictwa
 Narodowego pochodzących
 z Funduszu Promocji Kultury –
 państwowego funduszu celowego.

Ministerstwo Kultury
 i Dziedzictwa Narodowego

**TYGODNIK
 POWSZECHNY**

PATRONAT MEDIALNY:



GAZETA.PL



Polskie
 Radio
 Katowice

POLITYKA

ams

BILETY:

ticketmaster®



kicket

KS. ADAM

Boniecki: Duchu, jak leci?

KOŚCIÓŁ OD ZAWSZE BUDOWAŁ SIĘ OD DOŁU. Inspiracja pochodziła z Góry (albo tak myślano), ale zawsze budował się od dołu – myślę, czytając tekst Ignacego Dudkiewicza w dziele Wiara. A ludzie są różni. Są ludzie, którzy wyrobili w sobie zmysł nadprzyrodzony. Trudno powiedzieć, czemu niektórzy tak mają. Ich rodzeństwo wychowane w podobnych warunkach, słyszące te same słowa, oglądające tę samą rzeczywistość – nie ma tej zdolności. Takie są historie niektórych świętych (niekoniecznie kanonizowanych). Czemu boskie treści odkryli oni tam, gdzie inni nic nie usłyszeli? Nie wiadomo. Warto sobie jednak uprzytomnić, że Duch Święty, który w ludzkim wyobrażeniu unosi się lub lata jako gołębicą, niekoniecznie jest przypisany do sfer, które nam się kojarzą z „górami”. Jego „góra” może być naszym „dołem”.



Ducha (Świętego), w wielu innych kierował się innymi, zdawało się, nieszkodliwymi racjami, całkiem ziemskimi. W efekcie wymieszanie tych obu motywacji stało się z czasem absolutnie nie do strawienia.

Zawsze byli w Kościele ludzie tacy jak ks. Jan Zieja. Jego dwie cechy, wśród innych, to posłuszeństwo kościelnym przełożonym – szedł i pracował tam, gdzie go posłali – i bycie człowiekiem prawdy. Nigdy nie był zakłamanym. Czytał Ewangelię i realizował w życiu to, co tam przeczytał. Nie czyniło to jego życia łatwym, ale był w gruncie rzeczy szczęśliwy, bo chyba nigdy nie był w niewoli żadnego ludzkiego systemu. Z tego płynęła jego siła.

Wiele jest dróg żywej wiary. Żadnego ze sposobów nie trzeba traktować jako jedynej możliwości. Wspólne czytanie i rozważanie Biblii jest ważnym, lecz nie jedynym z możliwych. Znam ludzi świętych, świadków wiary, którzy każdego dnia odmawiają dziesiątek różańca, a ich życie jest realnie oparte na Ewangeli, choć o tym bardzo mało czy wręcz wcale nie mówią. Praktyki religijne chcemy czasem traktować jak magiczne przywoływane tego, czego brakuje w naszym zwykłym życiu. Tymczasem zwykłe życie musi stawać się niezwyczajne przez to, że jest wrośnięte w wiarę. Z tego wynika mądrość.

Martwimy się, co będzie z naszą wiarą, martwimy się, że ludzie odchodzą od praktyk, zwłaszcza że nie idą w niedzielę do kościoła. Ale nasz czas jest czasem odnalezienia istoty wiary i zarazem czasem wyczerpania się półśrodków zastępczych. Jeśli tak, to czekają nas ciężkie trudy, ale także – jak ufam – odnaleziona radość wiary.

©P

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego”

RYS. ZUZA KARDYŚ // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK
POWSZECHNY

JESIEŃ Z TYGODNIKIEM

Odpoczynek wypełniony sensem. Cała jesień za pół ceny.

Kup na www.TygodnikPowszechny.pl/Kup

Czasem podczas pracy nad numerem okazuje się, że jego bohaterki i bohaterowie prowadzą ze sobą osobliwy dialog, możliwy tylko w sytuacji niespodziewanego spotkania na sąsiadujących ze sobą stronach. Tak jest i w tym wydaniu „Tygodnika”, umożliwiającego czule *tête-à-tête* pierwszorzędnym sportowców, literatów i sopranistek. Jakoś od lat z nami zaprzyjaźnionych, a jednocześnie wciąż osobnych.

„Rafa i Roger”, pisze familiarnie o mistrzach tenisa **MAREK BIEŃCZYK**. Dlaczego tak bezpośrednio? Bo to przecież „bliskie wszystkim chłopaki, z którymi cały świat jest na ty, równiachi, których możemy czule dotknąć imieniem”. Ot, kumple, prawda?

Coś jest na rzeczy z tym czułym dotknięciem, bo do tegorocznej **LAUREATKI NAGRODY NIKE** nie tylko koleżanki z redakcji „Odry” mawiają ponoć „Urszulko”. Tak zwracają się do niej również, przynajmniej w myślach, młodszy co najmniej o dwa pokolenia poeci. Na przykład **BARTOSZ SADULSKI**, jej wieloletni czytelnik, wielokrotny gość, a może też – na swój sposób – przyjaciel. I Rafa, i Urszulka są w tym numerze czytelnikom bliscy i zupełnie osobni. „W tym, co robię, czuję się od dawna outsiderem”, pisała o sobie **URSZUL(K)A KOZIOL** w tomiku wierszy, który Sadulski, jako uczeń brzeskiego liceum, kradnie ze szkoły. Outsiderem „w tym, co robi” jest też z pewnością żegnający się z kortami Rafa, definitywnie radykalizujący kiedyś hiszpańską szkołę tenisa. Na jego alternatywny bekhend nie sposób było się przygotować.

Inny gość tego wydania, norweski pisarz **LARS SAABYE CHRISTENSEN**, też umiejętnie balansuje między swojskością i obcością. W swoich powieściach – jak pokazuje **MICHAŁ SOWIŃSKI** – opisuje ludzi, którzy nie pasują do reszty, bo mają w sobie zawsze jakiś uszczerbek wyznaczający rytm ich życia.

A co ze śpiewaczką **OLGĄ PASIECZNIK**, która pojawia się w tym numerze zaraz obok Christensena? Otóż „koledzy nie chcieli jej słuchać, dyrektorzy teatrów przestali składać oferty”. Była outsiderką w czasach, gdy nikt nie wierzył, że muzyka jest narzędziem rosyjskiej propagandy imperialnej. Dziś każdy szanujący się meloman zna jej „wspaniałą sopran i niepospolitą kulturę śpiewu”. Każdy też wie, dodaje **DOROTA KOZIŃSKA**, jak niezwykle i odważnym jest człowiekiem. Cóż, załóżę się, że w myślach autorka mówi do niej naprawdę czule. ©

MONIKA OCHĘDOWSKA
REDAKTORKA PROWADZĄCA

Dziennikarka i redaktorka działu Kultura, członkini kapituły Nagrody Conrada przyznawanej za najlepszy debiut prozatorski.



32 Kiedy poetka jest
BARTOSZ SADULSKI O URSZULI KOZIOL
Zawsze budziła we mnie szczególny rodzaj respektu, jaki przypisujemy gigantom literatury.



72 Sztuka porażki
MICHAŁ SOWIŃSKI
Lars Saabye Christensen stworzył opowieści, w których Norwedzy nie tylko chętnie się przeglądają, ale również chcą być widziani. Paradoks możliwy wyłącznie w przypadku Skandynawów.



86 Rafa odchodzi
MAREK BIEŃCZYK
Rafael Nadal skończył karierę tenisową, choć nie schodził z kortu nawet za cenę najgorszego bólu. Był waleczny, lecz jego dzikość była rozważna.

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Wirus zaskoczył ministerstwo
MAŁGORZATA SOLECKA**7-9 Komentarze****10-11 Informacje**

■ ■ CZYTANIA

18-19 MAŁGORZATA KORDOWICZ,
O. WACŁAW OSZAJCA, PIOTR SIKORA,
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ KRAJ

20 Opozycja trzyma się mocno
PIOTR ŚMIŁOWICZ o tym, że PiS zamiast
się rozpadać, wręcz się konsoliduje**24 Centymetry, które wstrząsnęły
Kłódkiem**
MAREK RABIJ o tym, co zaważyło na losie
mieszkańców Ziemi Kłódzkiej podczas
powodzi**27 Podmiot czy przedmiot?**
ANNA GOLUS: Wspieraniu dzieci musi
towarzyszyć poczucie odpowiedzialności,
którego brakuje wielu dorosłym

■ ■ PORTRET

32 Kiedy poetka jest
BARTOSZ SADULSKI

■ ■ WIARA

36 Ludzie we własnym Kościele
IGNACY DUDKIEWICZ: Członkowie
tworzących się oddolnie grup religijnych
zmagają się z pytaniami o stan Kościoła
i nie chcą być z nimi sami**40 Nudny jak biskupi synod**
EDWARD AUGUSTYN o tym, skąd
nadchodzi rewolucja w Kościele**42 Chiński Kościół coraz bardziej
czerwony**
MARIA WIŚNIEWSKA: Franciszek chciał
poprawy relacji z Pekinem i mianował
biskupów wskazywanych przez
komunistyczne władze. Zbliżenia jednak
nie ma

■ ■ ŚWIAT

46 Siedem portretów Lenina
ANTONINA PALARCZYK o tym,
jak Rosjanie z Sudży patrzą na to,
co ich spotyka

TEMAT TYGODNIKA

**12
Premier symetrysta**

JAKUB DYMEK

Najwyższa pora,
by stwierdzić przemilczany
fakt: Donald Tusk na swój
sposób kontynuuje pomysł
na władzę Jarosława
Kaczyńskiego.
Tak dziś wygląda, według
niego, droga środka.

■ ■ STRONY SPECJALNE ■

61 Włóczykij kulturalny:
Co zobaczyć w galeriach i muzeach

■ ■ FELIETONY ■

35 WOJCIECH BONOWICZ
45 TOMASZ STAWISZYŃSKI
84 OLGA DRENDĄ **85** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE:

DONALD TUSK, WROCŁAW, 25 LIPCA 2024 R.
FOT.: MACIEJ KULCZYŃSKI / PAP**50 Zwierzęta Libanu**JAGODA GRONDECKA o Libańczykach,
którzy w czas wojny ratują psy, koty i lwy**52 Mołdawskie paradoksy**PIOTR OLEKSY: Mieszkańcy tego małego
kraju na peryferiach Europy często mieli
wrażenie, że niewiele od nich zależy. Jednak
w decydujących momentach popychali swój
kraj na Zachód. Teraz znów muszą wybrać**55 Co dla Polonii jest ważne**MARTA ZDZIEBORSKA: Jak Kamala Harris
i Donald Trump walczą o poparcie
Amerykanów polskiego pochodzenia

■ ■ HISTORIA

58 Boska goryczBARTEK KIEŻUN: Gdy ziarna kakaowca
trafiły do Europy, razem z nimi pojawiły się
aranżowane małżeństwa, skrytobójstwa,
a nawet próby ekskomunikacji

■ ■ NAUKA

66 Dwa miliony strukturWOJCIECH BRZEZIŃSKI o laureatach
chemicznego Nobla**68 Fizyka to podstawa**ARTUR MIEROSZEWSKI o noblistach
z fizyki**70 Noble przynosi cień**

BARTOSZ KABAŁA o noblistach z medycyny

■ ■ KULTURA

72 Sztuka porażki

MICHAŁ SOWIŃSKI

76 Łzy wciąż płynąFILIP ŁOBODZIŃSKI: Jednym z pierwszych,
który zabrał głos w obronie rdzennych
mieszkańców Ameryki, był Johnny Cash**79 Śpiewająca na puszczy**DOROTA KOZIŃSKA portretuje
Olę Pasiecznik, śpiewaczkę**82 Fałszywy alarm**ANITA PIOTROWSKA o filmie „Armand”
Halldana Ullmanna Tøndela**83 Nieutracone**LEKTOR o książce Piotra Oczki
„Suknia i sztalugi”

■ ■ ZMYŚŁY

86 Rafa odchodzi

MAREK BIEŃCZYK

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

ZAPRENUMERUJ PÓKI TANIEJ...

... NA STRONIE

17

**Zapisz się na newsletter**
POWSZECH.NET/NEWSLETTER**Słuchaj podcastów**
POWSZECH.NET/PODKAST

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ x /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

WIRUS ZASKOCZYŁ MINISTERSTWO

15 PAŹDZIERNIKA WEDŁUG OBIETNIC Ministerstwa Zdrowia miała trafić do Polski pierwsza transza uaktualnionych szczepionek przeciw covidowi. Ten sam resort kilka tygodni temu zapowiadał, że wcześniej niż preparaty, które kupimy w przetargu, dostępne będą te odkupione od jednego z krajów UE. Żadnych szczepionek odkupionych nie ma. Czy możemy więc być pewni pozostałych zapowiedzi? Bo według kolejnej do końca miesiąca mamy otrzymać drugą, większą transzę kupionych w przetargu dawek.

SZCZYT | „Jesteśmy w szczycie fali zakażeń SARS-CoV-2” – podkreślał w ostatni piątek, podczas webinaru poświęconego sytuacji epidemiologicznej, dr Paweł Grzesiowski. Nie zawiesił, mimo objęcia stanowiska Głównego Inspektora Sanitarnego, rozpoczętej na początku pandemii działalności

W Polsce brakuje i szczepionek, i leków na covid. Za zamieszanie winę ponosi jeszcze rząd PiS-u, ale nowej władzy nie udało się rozwiązać problemu.

MAŁGORZATA SOLECKA

POWYŻEJ:
Ministra Izabela Leszczyna
przed posiedzeniem rządu.
3 września 2024 r.

edukacyjnej, która od kilku miesięcy coraz częściej podejmuje tematy covidowe. Szczyt utrzymuje się już bardzo długo (fala zaczęła narastać podczas wakacji), eksperci oceniają, że warto się szczepić jak najszybciej i nie zwlekać z decyzją.

Problem w tym, że w tej chwili zdecydowana większość Polaków, którzy w ogóle myślą o szczepieniu, nie ma jak podjąć decyzji. Jedyną opcją, choć mocno teoretyczną, jest szczepienie pełnopłatne. W niektórych aptekach (niewiele w skali kraju) pojawiły się bowiem preparaty firmy Pfizer.

IMPAS | Szczepionka Comirnaty JN.1 jeszcze w lipcu została dopuszczona do obrotu w Europie, ale Polska zrezygnowała z unijnego mechanizmu zakupu szczepionek (dlatego musimy sami organizować przetargi), w dodatku z firmą Pfizer jesteśmy w sporze prawnym po tym, jak

odmówiliśmy zapłaty za dużą część „starych” dawek. „To decyzje poprzedniego rządu” – tłumaczy resort zdrowia, ale wielu lekarzy pyta, czy w ogóle zostały podjęte jakiekolwiek starania, by ten impas przełamać.

Na razie nic o tym nie wiadomo. Pfizer zbytkotował przetarg zorganizowany przez ministerstwo, natomiast – korzystając z unijnej rejestracji – wprowadził pewną pulę szczepionek do dystrybucji komercyjnej. Cena za dawkę to 400 zł, co w kontekście zapowiedzi rychłego pojawienia się szczepionek bezpłatnych wydaje się ceną z kosmosu, ale...

To, że szczepionki trafią do Polski (zakładając, że trafią terminowo i w obiecanej ilości) nie oznacza, że natychmiast będzie się można zaszczepić. Ministerstwo sygnalizowało, że pierwszeństwo będą mieć seniorzy, osoby z grup ryzyka ciężkiego przebiegu covidu i pracownicy ochrony zdrowia. Jednak na internetowych kontach pacjenta nie pojawiły się jeszcze nawet skierowania. Strona, na której dostępna była mapa punktów szczepień, jeszcze 14 października nie działała. Wiele aptek, które prowadzą szczepienia przeciw grypie, nie ma jeszcze umowy z NFZ, więc za szczepienie trzeba zapłacić. Farmaceuci żalą się, że podobnie jak w ubiegłym roku, podpisanie umowy z Funduszem nie jest proste.

EKSPERCI ZIGNOROWANI | Przyzywamy *déjà vu*. A miało być tak dobrze. Ministra Izabela Leszczyna już w styczniu powołała zespół ekspertów doradających w kwestii walki z chorobami zakaźnymi. Była za ten krok chwalona, a zapowiedzi współpracy z gronem osób, z których większość krytycznie oceniała działania rządu PiS w czasie pandemii, były obiecujące.

„Zespół od początku zwracał uwagę, jakie kroki trzeba podjąć, żeby zabezpieczyć dostępność szczepień oraz leków przeciwwirusowych w nowym sezonie – poinformował publicznie 8 października przewodniczący zespołu, prof. Robert Flisiak, specjalista w dzie-

dzinie chorób zakaźnych. – Nie zrobiono niczego. Po prostu nas zignorowano”.

PROBLEMY TECHNICZNE | Podobnie jak rok temu, w krajach UE trwają szczepienia, a Polacy na szczepionki czekają. Ktoś bardzo zdeterminowany może się zaszczepić odpłatnie. Część aptek sprzedaje preparaty jeszcze drożej niż wspomniane 400 zł. Są też problemy techniczne. Trzeba mieć receptę od lekarza. Co więcej, dawek w opakowaniu jest dziesięć. – Tak naprawdę to jest oferta grupowa. Jeśli ktoś zbierze dziesięć osób z receptami, mogą zrealizować jego konkretne zamówienie, a nawet odpłatnie przeprowadzić szczepienie – mówi właścicielka jednej z warszawskich aptek.

Nie ma wątpliwości, że lwia część chętnych poczeka, nie do końca z własnej woli, na szczepienie bezpłatne. Jak długo? Prof. Flisiak ocenia, że być może nawet do połowy listopada.

BRAK LEKÓW | Nie tylko szczepienia leżą. Spór prawny z Pfizerem pociąga za sobą problem z dostępnością leku, który można stosować u osób zagrożonych ciężkim przebiegiem covidu. Jeśli poda się go odpowiednio wcześniej po potwierdzeniu zakażenia, jest szansa na łagodny przebieg choroby. Jego koszt w Polsce to 5-7 tys. zł. W innych krajach można kupić go za kilkadziesiąt euro.

A co z pacjentami, którzy trafiają do szpitali w ciężkim stanie? W pierwszym etapie pandemii państwo kupowało dla nich drogi lek – remdesivir. Szpitale otrzymywały go z Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych, nie musiały więc wykładać pieniędzy. To jednak się skończyło, a do ubiegłego tygodnia NFZ w ogóle nie finansował leku, co oznaczało, że szpitale – w teorii – musiały go kupować na swój koszt. W teorii, bo w praktyce nie kupowały.

Trudno od nich tego wymagać, skoro od miesięcy NFZ, ze względu na wielomiliardową dziurę w swoim budżecie, płaci z opóźnieniem lub wcale nie płaci szpitalom za część wykonanych świadczeń. ©



Atomowe memento

WOJCIECH PIĘCIAK

POKOJOWĄ NAGRODĘ NOBLA OTRZYMAŁA JAPOŃSKA organizacja Nihon Hidankyo. Zrzesza ona ofiary eksplozji bomb atomowych w Hiroszynie i Nagasaki w 1945 r., i prowadzi „misję niemożliwą”: zabiega o likwidację arsenałów jądrowych na świecie. Co chce wyrazić Komitet Noblowski? Bo przecież nagroda ta zwykle jest też wskazaniem, gdzie dzieje się wyjątkowo źle, albo, przeciwnie, gdzie ludzkim wysiłkiem udało się coś zmienić na dobre.

Trudno już zliczyć, ile razy po 24 lutego 2022 r. Putin i jego przybocznicy grozili Ukrainie i Zachodowi użyciem broni jądrowej. Wprawdzie zachodni politycy twierdzą, że nie robi to na nich wrażenia, jednak wydaje się, że to „aspekt atomowy” jest główną przyczyną, dla której Zachód nie wypracował dotąd strategii zwycięstwa wobec Rosji i nie zdecydował się pomóc Ukrainie w sposób na tyle poważny, by mogła wygrać w boju (tj. wyzwolić okupowane tereny). Najwyraźniej silna jest obawa, że przegrywająca Rosja mogłaby sięgnąć po broń atomową (a na dalszym planie też obawa przed taką klęską Rosji, po której kraj ten się rozpada i wraca pytanie sprzed 35 lat: co z kilkoma tysiącami rakiet atomowych).

Półnoskalowy atak na Ukrainę okazał się punktem zwrotnym dla świata także pod tym względem: perspektywa, że ktoś mógłby chcieć użyć takiej broni, stała na porządku dziennym w Europie po raz pierwszy od 1987 r., kiedy to Gorbaczow i Reagan zawarli układ o likwidacji rakiet balistycznych krótkiego i średniego zasięgu.

Wojna Putina pokazuje światu, iż w konfrontacji z krajem, który ma broń atomową, nic nie daje takiej gwarancji bezpieczeństwa, jak posiadanie własnej broni. Że ci, którzy już ją mają, nie powinni z niej rezygnować, a ci, którzy jej nie mają, lecz obawiają się „atomowych” i wrogich sąsiadów, powinni poważnie myśleć nad jej pozyskaniem. To nie abstrakcja. Mając za sąsiadów Koreę Północną i Chiny, Korea Południowa i Japonia są dziś na takim etapie, że w razie czego mogą zacząć produkcję broni atomowej w krótkim czasie.

Osobne miejsce, gdzie aspekt atomowy odgrywa dziś istotną rolę dla „równowagi strachu”, to Bliski Wschód.

Jest dziś dość powodów, by obawiać się, że kruche, ale jednak jakieś prawidła i reguły – dotyczące tego najbardziej śmiertelnościowego narzędzia wojny – zostały rozmontowane. Ludzie, którzy przyznają Pokojowego Nobla, przed tym właśnie ostrzegają, na miarę swych możliwości. ©



Radykalny ruch Donalda Tuska

MAREK KĘSKRAWIEC

ZAPOWIEDŹ NAGLEGO ZAOSTRZENIA POLSKIEJ polityki migracyjnej odbiła się o wiele większym echem za granicą niż w Polsce. To zaskakujące, bo na sobotniej konwencji KO premier Donald Tusk mówił rzeczy, których można się spodziewać raczej po politykach z drugiej strony barykady. Być może jednak stosunek społeczeństwa i komentatorów do tej kwestii na tyle się zmienił, że nie rodzi już ona kontrowersji.

Tymczasem zapowiedź czasowego zawieszenia prawa azylowego to niezwykle ostre posunięcie, naruszające zasady, którymi do tej pory rządziła się Unia Europejska. Tym się ona bowiem różni od wielu innych miejsc na świecie, że daje prawo ludziom krzywdzonym w niedemokratycznych państwach do ubiegania się o możliwość znalezienia spokojnej przystani w Europie.

Można jednak zrozumieć Tuska, gdy twierdzi, że obecnie prawo to jest nadużywane wbrew swej istocie: choć wielu ludzi ucieka do Europy nie z powodu represji, lecz przed biedą, to powołują się na prawo azylowe. Z ust premiera nie padł

przykład Niemiec – skupił się on na szmuglerach Putina i Łukaszenki – ale wiadomo, że to nasz zachodni sąsiad doświadcza problemu z setkami tysięcy przybyszów, którzy dostali azyl, ale nie chcą się integrować. Albo nie dostali azylu, ale i tak zostają.

„Będę się domagał uznania w Europie dla tej decyzji” – mówił Tusk i można to rozumieć nie tyle jako zapowiedź buntu wobec Brukseli, co początek poszukiwań sojuszników w europejskich stolicach. Ale jego słowa były też skierowane do Polaków. Premier, jakby wyprzedzając krytykę ze strony osób takich jak Janina Ochojska czy

Adrian Zandberg, odniósł się do zarzutów o kontynuowanie niehumanitarnej polityki na wschodniej granicy, uznając jej bezpieczeństwo za wartość nadrzędną. To zaś oznacza, że koalicja rządząca chce robić to samo, co wcześniej PiS – jednocześnie piętnując starą władzę za aferę wizową i powtarzając tezę o sprowadzeniu przez nią do Polski setek tysięcy imigrantów. Co jest przesadą i raczej wpisuje się w walkę wyborczą niż w dojrzałą dyskusję o imigracji. ©©



NA PUNKTY

NIEOBECNOŚĆ

Zbigniew Ziobro nie stawiał się na przesłuchanie przed komisją śledczą ds. Pegasusa, a jej członkowie nałożyli nań karę. W odpowiedzi były minister opublikował na portalu X drastyczne zdjęcia ze szpitala z emocjonalnym dopiskiem: „Przez Ciebie Donaldzie Tusku musiałem publicznie ujawnić śmiertelną chorobę i o złośliwym raku dowiedziały się moje małe dzieci”.

SPÓŹNIENIE

O ponad rok spóźniła się posłanka KO Kinga Gajewska z wpisaniem do sejmowego rejestru korzyści domu otrzymanego w darowiźnie od rodziców; wątpliwości budzi też pobieranie przez nią i jej męża, posła Arkadiusza Myrchę, dwóch ryczałtów na jedno mieszkanie. Tomasz Krzyżak z „Rzeczpospolitej” ujawnił, że po publikacji komentarza na ten temat został przez posłankę wulgarnie zrugany.

PRZYSPIESZENIE

Wirtualna Polska poinformowała o spotkaniu wicepremiera Władysława Kosiniaka-Kamysza z prezesem Philip Morris International Jackiem Olczakiem. Publikacja tej wiadomości doprowadziła do... przyspieszenia prac nad zmianami w ustawie antynikotynowej. ©©



Czy armia zagłodzi państwo?

MAREK RABI

PRZYSZŁOROCZNE WYDATKI na obronność mogą wynieść 186,5 mld zł, czyli aż 4,7 proc. PKB.

Państwo polskie finansuje wojsko z dwóch źródeł. Pierwszym jest budżet, w którym na ten cel zarezerwowano w 2025 r. 124,302 mld zł. Drugi filar stanowi Fundusz Wspierania Sił Zbrojnych, poza-budżetowy wehikuł inwestycyjny zasilany głównie z długu publicznego. W przyszłym roku do Funduszu ma trafić

łącznie 76,26 mld zł, z czego 14 mld stanowić będzie dotacja z budżetu. Gdyby – zgodnie ze stanem faktycznym – pieniądze z FWSZ uznać za wydatki budżetowe, okaże się, że na cele związane z obronnością państwo polskie przeznacza już blisko co piątą złotówkę, która wpada mu do budżetu.

W porównaniu z tegorocznymi wydatkami na ten cel, przyszłoroczne urosną na papierze o 28,6 mld zł, czyli aż o 18,1 proc. Rząd Tuska nie tyl-

ko kontynuuje rozpoczęte po wybuchu wojny na Ukrainie wydatki na dozbrajanie i rozbudowę armii (w przyszłym roku służyć ma w niej już ok. 150 tys. żołnierzy zawodowych), ale wręcz stara się pod tym względem prześcignąć PiS. Realne wydatki na armię mogą jednak okazać się o wiele niższe wskutek płynności budżetu FWSZ. Do połowy bieżącego roku Fundusz zdołał wydać na modernizację armii nieco ponad 10,1 mld zł, czyli zaledwie

22,2 proc. tegorocznego budżetu na ten cel. Nie da się też wykluczyć, że inne potrzeby państwa polskiego i koszt obsługi długu wzrosną na pewnym etapie tak bardzo, że konieczne będzie ścięcie wydatków na wojsko do przewidzianego w ustawie o obronie ojczyzny poziomu 3 proc. PKB.

Z wojną za miedzą państwo polskie musi inwestować w siły zbrojne. Nie może jednak przy tym lekceważyć zagrożenia destabilizacją wewnętrzną, wywołaną choćby spadkiem realnych nakładów na ochronę zdrowia czy świadczenia społeczne. Armia rozwijana kosztem innych sfer życia nie będzie cieszyć się zaufaniem. ©©



Praca w podgrupach

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

NIE 80 TYS., JAK PRZEWIDYWANO W ZESZŁYM ROKU szkolnym, nie 40 tys., jak szacował MEN we wrześniu, a 20 tys. – tylu nowych ukraińskich uczniów pojawiło się w polskich szkołach z początkiem tego roku szkolnego. Oznacza to, że wprowadzony od 1 września socjalny straszak w postaci powiązania obowiązku szkolnego z wypłatą świadczenia 800 plus – na razie nie zadziałał (obowiązek był już wcześniej, ale tylko na papierze: do zwolnienia z nauki w polskiej placówce wystarczyło oświadczenie, że dziecko pobiera lekcje zdalne w systemie ukraińskim). Być może nie zadziałał dlatego, że choć nowe przepisy weszły w życie już teraz, utrata świadczenia grozi dopiero w przyszłym roku.

Ale i tak skala wyzwania się zwiększyła – dziś do naszych placówek chodzi już ok. 200 tys. ukraińskich dzieci, z czego ok. 150 tys. to uczniowie z powojennej fali. Ogłoszony właśnie kolejny już raport Centrum Edukacji Obywatelskiej na temat ich funkcjonowania w naszym systemie pokazuje jasne punkty – np. wielu uczniów zza wschodniej granicy coraz lepiej odnajduje się w murach szkół – ale i kaskadę problemów. Ciężko idzie nauczanie polskiego jako języka obcego (brakuje fachowców, a grupy są zróżnicowane i wiekowo, i poziomowo), nauczyciele zaś – podobnie jak w poprzednich latach – są bezradni wobec dziecięcej traumy. W dodatku coraz częściej widać, że strategią polskich szkół na imigrancką falę uczniów jest – czasami nieświadome – przymuszanie do asymilacji, a nie prawdziwa integracja: przyjezdni mają się do tutejszych zasad po prostu dostosować.

Być może dlatego tak łatwo dziś zaobserwować w polskich szkołach – odnotowany też przez autorów raportu – smutny obrazek: dwie rzadko komunikujące się ze sobą grupy.

„Zintegrowani uczniowie ukraińscy są (...) w mniejszości. Najczęstszy scenariusz to równoległe funkcjonowanie obok siebie dwóch odseparowanych społeczności (...) U uczniów, zarówno polskich, jak i ukraińskich, nie widać woli integracji, co najwyżej frustrację po wcześniejszych nieudanych próbach” – czytamy w raporcie.

Pierwszy egzamin – ten z przyjaznego przyjęcia dziesiątek tysięcy uczniów – polska szkoła zdała celująco. Do drugiego, z integracji dzieci, nie jest jeszcze gotowa nawet przystąpić. ©®



Mniej Polaków za religią

ARTUR SPORNIAK

POPARCIE DLA RELIGII W SZKOŁACH jest najniższe od chwili jej wprowadzenia do systemu szkolnego, choć nadal większość Polaków jest „za”. Z badania CBOS przeprowadzonego we wrześniu wynika, że religię w systemie szkolnym popiera 51 proc. Polaków. To najniższy wskaźnik od 1991 r., kiedy CBOS przeprowadził pierwsze badanie. Po roku od wprowadzenia religii do szkół wspierało ją 57 proc. Polaków, a 42 proc. było przeciwnych. Najwyższe społeczne wsparcie religii otrzymała w 2007 r. – „za” było aż 72 proc. społeczeństwa przy 24-procentowym sprzeciwie. Obecnie Polaków przeciwnych nauczaniu religii w szkole jest 43 proc., a 6 proc. jest niezdecydowanych.

Wsparcie religii w szkole jest silnie skorelowane z poglądami politycznymi. Aż 77 proc. zwolenników PiS ją popiera, a przeciwnych jest 83 proc. zwolenników lewicy. Wśród zwolenników żadnego z koalicjantów religia w szkole nie uzyskała większościowego poparcia.

Okazuje się, że temat religii w szkole opłacało się koalicji zinstrumentalizować politycznie. Widać to zwłaszcza w poparciu wszystkich propozycji proponowanych ostatnio przez Ministerstwo Edukacji Narodowej.

Aż 69 proc. badanych opowiada się przeciwko wliczaniu oceny z religii do średniej ocen na koniec roku szkolnego.

58 proc. Polaków popiera pomysł ograniczania godzin katechezy do jednej w tygodniu, a 79 proc. przychylnie patrzy na postulat organizowania zajęć na pierwszej lub ostatniej lekcji. Demonstracje organizowane w ostatnim czasie przez katechetów, a także protesty Kościoła katolickiego nie przyniosły efektów.

Badania CBOS ukazały się 7 października. Dwa dni później w ministerstwie odbyło się spotkanie przedstawicieli Kościołów z wiceministrą edukacji Katarzyną Lubnauer. Ci pierwsi po spotkaniu wydali komunikat, w którym czytamy m.in.: „Strona kościelna ponownie zaapelowała o przestrzeganie właściwego trybu procedowania zmian w Rozporządzeniu, który domaga się porozumienia strony państwowej z władzami Kościoła i związków wyznaniowych, a nie tylko konsultacji”. Na stronie ministerstwa z kolei pojawiła się krótka wzmianka na temat spotkania, w której mowa jest jedynie o zwykłych konsultacjach społecznych.

Mając tak silne poparcie społeczne, rząd nie musi się liczyć z Kościołem. ©®

Lekcja religii w liceum. 15 lutego 2024 r.



KAROL PORWICH / EAST NEWS



PROF. ANTONI DUDEK,
POLITOLOG I HISTORYK:

*Leszek Moczulski
dobrze się zapisał
w historii Polski*

PIOTR ŚMIŁOWICZ: Zmarł Leszek Moczulski. Kim był w polskiej polityce i opozycji w PRL?

PROF. ANTONI DUDEK: Mieścił się w ścisłej czołówce, choć zawsze był troszkę odrębny, bo był postacią wodzowską i charyzmatyczną. Wielu nie akceptowało jego autorytarnego stylu bycia. Natomiast miał wyznawców, ludzi, dla których był absolutnym autorytetem. Apogeum jego znaczenia to lata 80. i początek 90. Wcześniej Moczulski był dziennikarzem, publicystą, autorem książek. Politykiem stał się dopiero pod koniec lat 70., gdy związał się z Ruchem Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Później stworzył własną partię i był to fundamentalny etap w rozwoju opozycji demokratycznej. Wyraźne etapy były trzy – pierwszy to powstanie KOR, półlegalnego i jawnego ruchu społecznego, drugi to Wolne Związki Zawodowe, a trzeci – powstanie w 1979 r. czegoś, co deklarowało się od początku jako partia polityczna. Z nazwą, która rzucała wyzwanie systemowi – Konfederacja Polski Niepodległej.

Stawianie postulatów niepodległościowych się wtedy bano...

Trzeba powiedzieć jasno, że w tamtym czasie Moczulski był traktowany przez większość opozycji demokratycznej jako fantasta, jako człowiek oderwany od rzeczywistości, a niektórzy uważali go nawet za prowokatora. W pierwszej połowie lat 80. przesiedział jednak 6 lat w więzieniu. W tym czasie proces rozwoju KPN postępował i była to jedyna partia powstała w PRL, ale nie mająca PRL-owskich korzeni, która zaistniała w III RP. W szczytowym momencie miała ponad 50 posłów, po wyborach w 1991 r. Pod koniec lat 90. KPN dopadł mechanizm budowy dwóch wielkich bloków

– postsolidarnościowego i postkomunistycznego. Dlatego wszystko się posypało i sam Moczulski wycofał się z polityki. Nie próżnował, zrobił doktorat i habilitację. Bo choć wykształcenie miał prawnicze, z pasji był historykiem.

Wpływ na jego wycofanie się z polityki miały też chyba oskarżenia, że w PRL był agentem SB.

Na pewno ujawnienie tych informacji w 1992 r. bardzo mu utrudniło, czy wręcz uniemożliwiło odgrywanie istotnej roli na polskiej prawicy. To była jedna z przyczyn porażki KPN. Współpraca z SB rzeczywiście miała miejsce na przełomie lat 60. i 70. Moim zdaniem był to rodzaj gry, którą Moczulski prowadził z bezpieczeństwem. Sam zresztą twierdził, że te rozmowy to była operacja kontrwywiadowcza ze strony tzw. nurtu niepodległościowego. Nie znalazło to jednak potwierdzenia w żadnych dokumentach. Gdy się jednak analizuje dostępne materiały, widzi się, że Moczulski od pewnego momentu dezinformuje bezpieczeństwo i kończy się to tym, iż to bezpieczeństwo zrywa z nim relacje, uznając go za osobę niewiarygodną. Nie ma też żadnych dowodów na to, żeby kontakty z SB miały jakiś ciąg dalszy. To jest analogiczna sytuacja jak z Lechem Wałęsą. Stąd, jeśli nawet Moczulski komuś zaszkodził, odkupił wszystko późniejszymi działaniami i wzięciem. Nie mam wątpliwości, że to postać, która dobrze zapisała się w historii Polski. Oczywiście są tacy, dla których współpraca z bezpieczeństwem definitywnie Moczulskiego dezawuuje. Ale nie ma bohaterów bez skazy. ©

ANTONI DUDEK jest politologiem i historykiem, profesorem UKSW w Warszawie. Prowadzi na YouTube kanał „Dudek o historii”.

Huragany targają kampanią prezydencką

USA ■ Kolejny huragan, tym razem o nazwie Milton, przetoczył się przez południe Stanów Zjednoczonych, a sztab Trumpa wykorzystuje tę tragedię w swojej kampanii. Na trzy tygodnie przed wyborami prezydenckimi szanse obojga kandydatów pozostają wyrównane.

Przed uderzeniem Milтона ostrzegano, że to może być najpotężniejszy huragan w USA od stu lat. Gdy był jeszcze nad Zatoką Meksykańską, kwalifikował się do najwyższej, piątej kategorii. Ale gdy przetoczył się już przez Florydę, gubernator stanu Ron DeSantis ocenił, iż nie spełnił się najgorszy scenariusz – choć straty są poważne, w tym kilkunastu zabitych.

Milton dotarł do zachodnich wybrzeży Florydy w środę wieczorem czasu lokalnego. Początkowo prędkość wiatru osiągała ponad 190 km/h. Kilka godzin później huragan osłabł, dalej jednak wywołując gwałtowne deszcze i tornada. Wbrew obawom nie uderzył bezpośrednio w gęsto zaludniony obszar Tampy, który dwa tygodnie wcześniej odczuł skutki innego huraganu – Helene. Przetoczył się on wówczas przez sześć stanów (w tym Karolinę Północną i Georgię, stany kluczowe w wyścigu o Białą Dom), zabijając co najmniej 230 ludzi.

Z powodu nadciągającego Milтона prezydent Biden odwołał swoją podróż do Niemiec, gdzie miał spotkać się z liderami państw wspierających Ukrainę i prezydentem Zelemskim. Miało to zapewne wytrącić z ręki Republikanom i Trumpowi argument, iż Bidena bardziej interesuje Europa niż los mieszkańców Florydy oraz innych stanów, gdzie trwa usuwanie skutków huraganu Helene.

Trump i jego sztab twierdzą bowiem, że administracja Bidena i Harris nie radzi sobie z kryzysem. Sugerują nawet, jakoby rząd federalny i wywodzący się z Partii Demokratycznej gubernator Karoliny Północnej wstrzymywali pomoc dla poszkodowanych przez żywioł hrabstw rządzonych przez Republikanów. A także, iż Federalna Agencja Zarządzania Kryzysowego (FEMA) nie ma pieniędzy na pomoc, bo wcześniej przekierowała środki na wsparcie nielegalnych imigrantów. Z kolei w mediach społecznościowych nastąpił wysyp teorii spiskowych. Jedna głosiła, że mieszkańcy Florydy nie powinni opuszczać domów, bo... okradną je pracownicy FEMA. Kłamstwa te dementowało biuro prasowe gubernatora Florydy, apelując, by ludzie udali się w bezpieczne miejsce.

Zniszczenia utrudniają przygotowania do wyborów prezydenckich. Tymczasem w Karolinie Północnej procedura wczesnego głosowania w lokalach zacznie się już 17 października.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Literacki Nobel: książki z Korei rosną w siłę

LITERATURA ■ Han Kang jest nie tylko pierwszą południowokoreańską pisarką, której przyznano literackiego Nobla. Jest także jedną z niewielu laureatek szwedzkiej Akademii, której książki na długo przed ogłoszeniem werdyktu posiadały w popularnych sklepach internetowych tysiące ocen i recenzji. Kang, mniej więcej od przyznania jej piętnaście lat temu Międzynarodowego Bookera, jest bowiem czytelnikom na świecie dobrze znana. W roku 2021 była gością Krakowskiego Festiwalu Conrada.

Szczyt jej popularności przychodzi jednak w szczególnym momencie, gdy południowokoreańskie tytuły zdobywają nie tylko uznanie krytyków (Oscar dla „Parasite” Joon-ho Bong), ale miliony fanów na całym świecie (już rozpoczęło się odliczanie do kolejnego sezonu serialu „Squid Game”, premiera w 2025 r.). Wystarczy odwiedzić duże europejskie targi książki, by przekonać się, że k-lit (czyli koreańska literatura) staje się powoli tak



ALEXANDER MAHMOUD / AFP / EAST NEWS

popularna jak k-pop (koreańska muzyka pop).

W tym roku na język polski przełożono już kilkanaście książek z Korei, w tym finalistkę zeszłorocznego Bookera. „Wieloryb” związanego z kinem prozaika Cheona Myeong-kwana to opowieść o świecie, w którym kobiety – pozbawione dotąd prawa głosu – biorą los w swoje ręce. Temat prozy Myeong-kwana to w ogóle jeden z ważniejszych motywów najnowszej literatury z Seulu. Wiele wydanych w języku polskim koreańskich powieści

HAN KANG
jest pierwszą
południowokoreańską
i azjatycką pisarką
wyróżnioną literacką
Nagrodą Nobla.
W 2021 r. gościła
na współorganizowanym
przez Fundację
Tygodnika Festiwalu
Conrada.

Sztokholm,
14 marca 2024 r.

(autorstwa Cho Nam-Joo czy Bory Chung, która w zeszłym roku również gościła na Festiwalu Conrada) piętnuje mizoginię, seksizm oraz inne rodzaje przemocy. Południowokoreańskie pisarki coraz częściej zainteresowane są pozycją kobiet w rodzimym systemie politycznym i społecznym, ale poruszają też kwestie globalnego kryzysu ekologicznego i toczących się konfliktów zbrojnych.

Podobnie jest z twórczością Han Kang, wyróżnioną przez szwedzką Akademię za „mierzenie się z historycznymi traumami” i odsłanianie kruchości życia. Główna bohaterka najpopularniejszej, przetłumaczonej na wiele języków powieści Kang pt. „Wegetarianka”, konfrontuje się z konsekwencjami odmowy podporządkowania społecznym normom dotyczącym przyjmowania pokarmów. Z kolei bohaterka wydanych w zeszłym roku „Lekcji greki” (nieprzełożonych jeszcze na język polski) jest młoda kobieta, która po serii traumatycznych doświadczeń traci mowę.

Głosu, po ogłoszeniu werdyktu Akademii, odmówiła sobie też sama autorka, rezygnując z publicznego wyrażania uczuć w świecie, który toczy równoległe kilka batalii wojen.

©© MONIKA OCHĘDOWSKA

Jedna z tajemnic trąby słoni została wreszcie rozwikłana

EWOLUCJA ■ Skoro w naszych słownikach jest miejsce na słowo „ręczność”, być może powinna do nich trafić także „trąbowość”.

Ludzie i inne zwierzęta mają swoje preferowane kończyny czy strony, w które się zwracają, gdy coś robią. Większość z nas trzyma długopis czy myszkę komputerową w prawej ręce, zaś humbaki najczęściej odchylają się w lewą stronę, gdy żerują przy dnie – i dlatego większość ma otarcia od skał czy piasku tylko po prawej stronie pyska. Ta tzw. lateralizacja (stronność) nie musi

więc wiązać się z parą kończyn, z których preferowana jest jedna – może się przejawiać na bardziej ogólnym poziomie zachowania.

Nie powinno nas zatem dziwić, że także słonie wykazują preferencję jednej strony, gdy ruszają trąbą albo owijają ją wokół przedmiotów – a mają ją przecież tylko jedną. Dlatego można je w istocie dzielić na „prawotrąbowe” i „lewotrąbowe”. Andrew K. Schulz z Instytutu Inteligentnych Systemów Maxa Plancka i współpracownicy postanowili sprawdzić, jak ta „trąbowość” rozwija się w toku życia. Wnioski opublikowali w „Royal Society Open Science”.

Jedną z charakterystycznych cech trąby jest silnie pomarszczona skóra. Badacze dokładnie przyjrzeni się tym zmarszczkom – na trąbach słoni zmarłych z przyczyn naturalnych w ogrodach zoologicznych

bądź poddanych eutanazji z powodów humanitarnych, a także na zdjęciach płodów słoni. Przeanalizowano zarówno słonie afrykańskie, jak i indyjskie. Pierwsze zmarszczki pojawiają się już w okresie płodowym, a ich liczba rośnie w toku życia. Zauważono różnice gatunkowe (dorośle słonie indyjskie mają więcej zmarszczek niż afrykańskie, co wynika z różnic ekologicznych), jednak w interesującym nas kontekście kluczowe było to, iż u różnych osobników (w obu gatunkach) rozkład zmarszczek wiązał się z preferowaną stroną, w którą słonie poruszały trąbę.

Wygląda na to, że słonie rodzą się z naturalną skłonnością do wyginania trąby w jedną stronę (równie często w jedną i drugą stronę), a w toku życia skóra trąby po tej preferowanej stronie zaczyna się coraz bardziej marszczyć – co ułatwia im ruchy i wzmacnia „trąbowość”. ©© ŁUKASZ KWIATEK

PREMIER SYMETRYSTA

Najwyższa pora, by stwierdzić przemilczany fakt:
Donald Tusk na swój sposób kontynuuje
pomysł na władzę Jarosława Kaczyńskiego.
Tak dziś wygląda, według niego, droga środka.

JAKUB DYMEK



DWANAŚCIE MIESIĘCY TEMU WYBORCY przekazali władzę koalicji PO-Trzecia Droga-Lewica. Donald Tusk porównał w *exposé* jej zwycięstwo do przełomu roku 1989. Przekonywał, że 15 października 2023 r. przejdzie do historii jak daty powstania Solidarności i pierwszych, częściowo wolnych wyborów z 1989 r. Mit jak mit: wielkie zerwanie, tryumf społeczeństwa nad monopartią i przywrócenie wpływu na rzeczywistość obywatelom, którzy w poprzednim systemie utrzymywani byli w marazmie i beznadziei.

Wymagało to nazwania październikowych wyborów „buntem na rzecz wolności i demokracji”. Jak gdyby Polacy zrzucili obce jarzmo, tocząc walkę na ulicach. Skojarzenia z odzyskaniem niepodległości, demokratyczną transformacją i nowym początkiem, podobnie jak rola, którą przypisano w tej opowieści poprzednikom z PiS-u – nowego PZPR-u, albo zaborczej i okupacyjnej władzy – były jasne.

„15 października nastąpiło wielkie Polaków odrodzenie. Szczęśliwej Polski już czas” – kończył swoje wystąpienie nowy premier. Dziś – po konwencji KO, na której padła zapowiedź zmian polityki migracyjnej – można już zapytać: czy na pewno?

Z jednego populizmu w drugi

W 12 miesięcy po wyborczym zwycięstwie koalicji 15 X widać, że mamy nie zerwanie, lecz kontynuację. Rok 2023 nie był przełomem, lecz zmianą kostiumów. I choć to prawda niezwykle trudna do przyjęcia dla sympatyków nowej władzy, pora, by to przyjąć do wiadomości: po 15 października wydarzyło się tyle, że rządząca PO upodobniła się do PiS, a PiS w opozycji – do PO. Platforma przejęła sporą część socjalnej i gospodarczej agendy poprzedników. PiS przeciwnie – krytykuje to, co sam niegdyś wdrażał (od dużego deficytu, przez reformy wymiaru sprawiedliwości i politykę historyczną, na dopłatach do kredytów skończywszy).

Całość przełomu opiera się na tym, że dziś Tusk realizuje na swój sposób agendę Kaczyńskiego. Populizm antyliberalny został zastąpiony jego liberalnym wcieleniem. Pod względem programu, metod i aksjologii rządzenia mamy do czynienia

z kontynuacją rozpoczętych po 2015 r. zjawisk – dobrych i złych.

W najogólniejszym zarysie: władza (i za PiS, i za PO) rozszerza programy socjalne i strzeże naszego bezpieczeństwa przed putinowskim i imigranckim zagrożeniem, przekonując, że twardo broni polskiego interesu i jest asertywna wobec zagranicznych partnerów (Brukseli, Berlina i Kijowa). W kwestiach transformacji energetycznej czy wdrażania zielonych rozwiązań płynie biernie gdzieś obok (choć nie wbrew) głównego nurtu. A w kwestiach inwestycji i bezpieczeństwa polega na dobrej woli amerykańskiego hegemonu.

PO jak PiS czerpie legitymację do rządzenia z populistycznej obietnicy reprezentacji „ludu” / „obywateli” przeciwko złym i skorumpowanym elitom, które służą obcym (niemieckim, rosyjskim, brukselskim...) interesom. Każda z obu partii przekonuje, że stanowi ostateczną linię obrony przed utratą rzeczy dla Polaków najważniejszych: suwerenności, wolności i demokracji. Obu nieobca jest zasada, że gdy chodzi o sprawy polityki wewnętrznej, rządzi prawo, ale... prawo silniejszego.

Bo też jednym i drugim przyświeca przekonanie, że działają w sytuacji nadzwyczajnej, a konieczność ratowania polskiej suwerenności/demokracji wymaga działań, które mogą iść wbrew prawu, przyjętym procedurom czy obyczajom. „Wola suwerena” czy „obrona demokracji” są przecież równie dobrym – albo złym – powodem, by działająca w imię najwyższych wartości władza nie musiała dać się skreślać gorsetem prawa. Jedni mówią „demokracja suwerenna”, inni „demokracja nieliberalna”. Premier mówi „demokracja walcząca” i chodzi mu z grubsza o to samo.

Spór o to, kto jest tu „gorszy”, zapędza się dalej czy narusza standardy w sposób bardziej wulgarny, nie jest wcale najciekawszy. Przecież i tak odpowiedź na pytanie, kto łamie prawo, a kto je przywraca, będzie uzależniona od politycznych sympatii odpowiadającego. Ciekawsze jest co innego. Dlaczego zamiast przełomu widzimy zmianę kostiumów oraz co doprowadziło do tego, że dziś pozycjonujące się na antypodach polityki PO i PiS są sobie w gruncie rzeczy tak bliskie? Bo stwierdzenie, że Tusk to najwierniejszy

kontynuator filozofii polityki Kaczyńskiego, jest nie aktem oskarżenia, lecz stwierdzeniem oczywistego faktu.

Co łączy nową władzę ze starą

Ktoś ma wrażenie, że to nieprawda? Dowodów są przecież na stole. Budowa CPK, kontynuacja i rozwój świadczeń społecznych (800+ i aktywny rodzic), podwyżka płacy minimalnej i polityka dużego deficytu budżetowego, największe w Europie inwestycje w zbrojenia, sprzeciw wobec zapisów Zielonego Ładu i ochrona polskiego rolnictwa, militaryzacja granicy i tama dla „nielegalnej migracji”, dopłaty do kredytów mieszkaniowych, a na deser odbudowa Pałacu Saskiego – to tylko fragment listy wspólnych punktów programowych poprzednich i aktualnych rządów.

Koalicja PO-Trzecia Droga-Lewica realizuje i rozwija niejedną sztandarową program PiS, czasami nawet mimo tego, że wcześniej (jak CPK czy 800+) obiecywała je zlikwidować. Model rozwojowy, z jakim zostawiał Polskę premier Morawiecki, pozostał niewzruszony – choć bogatszy o podwyżki płac w sektorze publicznym, a uboższy o wielką inwestycję Intela, amerykańskiego producenta procesorów, który odłożył plan budowy fabryk w Europie na półkę.

Podobieństwa dotyczą jednak nie tylko kształtu programu, ale i samego sposobu rządzenia. Publiczne repymendy dla szefów placówek kultury i układanie programu muzeów za pomocą wpisów ministra w mediach społecznościowych. Brak konkursów w spółkach Skarbu Państwa czy publicznych instytucjach. Odwoływanie prokuratora przez premiera na konferencji prasowej. Przejęcie mediów prawnym fortelem i oddanie całych anten dziennikarzom i publicystom jednoznacznie sprzyjającym władzy. Ocierające się o granicę śmieszności deklaracje i pokazy siły ministra obrony.

Dalej: zarzucanie przeciwnikom współpracy z Rosją i zdrady narodowej pomimo faktycznej zgodności w sprawach polityki bezpieczeństwa. Pokazowe aresztowania. Medialne i propagandowe wykorzystanie komisji śledczych. Ciągące się miesiącami audyty czy postępowania, które mają ujawnić skalę korupcji poprzedników – nawet jeśli nie kończą się zarzutami. Wreszcie: dość uznaniowy stosunek do praworządności. ➔

Donald Tusk, Warszawa, marzec 2024 r.

→ To znaczy: „praworządne jest to, co uznamy za praworządne”.

Ktoś szczególnie złośliwy mógłby dodać, że aborcji i związków partnerskich nie ma tak samo, jak nie było ich pięć lat temu, barierki i kordony policji potrafią odgrodzić Sejm od suwerena, obywatelskie projekty ustaw łądają w zamrażarce, a jedyną instancją, która jest w stanie postawić granicę rządzącym Polską ugrupowaniom, jest amerykańska ambasada. Słowem: panorama rządów w Polsce 12 miesięcy po wyborach nie przypomina historycznego przełomu, jaki zapowiadał w *expose* Donald Tusk. Bardziej rewers tej samej monety.

Jak nie oglądać się na prawo

Przyciśnięci przez dziennikarzy politycy koalicji – choć niekoniecznie sam premier, bo on z rzadka słyszy trudne pytania ze strony największych polskich redakcji – tłumaczą, że tak muszą. I – nie bez racji – wskazują, że ustrojowo-prawnego węzła gordyjskiego, jaki zostawili im poprzednicy, nie da się rozwiązać elegancko. By się z nim uporać, potrzebują miecza.

„Nie dojdziemy do wolności przez łamanie prawa, ale przez jego przestrzeganie” – cytował Romualda Traugutta jeszcze niecały rok temu Donald Tusk. Nie trzeba było wiele czasu, by doszedł do wniosków zgoła przeciwnych.

„Jeśli chcemy przywrócić ład konstytucyjny oraz fundamenty liberalnej demokracji, musimy działać w kategoriach demokracji walczącej. Oznacza to, że prawdopodobnie nie raz popełnimy błędy lub podejmiemy działania, które według niektórych autorytetów prawnych mogą być nie do końca zgodne z obowiązkiem działania” – ogłosił we wrześniu 2024 r. na spotkaniu z prawnikami dotyczącym... przywracania praworządności właśnie. Wbrew słowom z grudnia (i wbrew Trauguttowi) okazuje się, że dojście do wolności nie prowadzi przez przestrzeganie prawa, a wymaga działań „nie do końca z nim zgodnych”.

Premier i ministrowie mówią, że w sytuacji prawnego zamętu i niejasności nawet co do tego, który sąd jest sądem, a która nominacja sędziowska czy wyrok podlega podważeniu, trudno im rzą-

dzić zgodnie ze standardami. W związku z tym Donald Tusk musi zyskać prawo do „wycofania kontrasygnaty” (cokolwiek to znaczy), a media publiczne można przejąć za pomocą ich likwidacji. Prezesowi NBP można zagrozić Trybunałem Stanu, a przeciwników nękać speckomisjami. Konstytucyjne uzasadnienie tych działań przyjdzie później – gdy nastanie prawdziwa, to znaczy oczyszczona z wrogów demokracja. Na pewno nie zabraknie po drodze prawników, którzy przedstawiać korzystne dla rządzących wykładnie.

Nie da się ukryć, że to formuła wygodna. Każda demokracja „przymiotnikowa” – „suwerenna”, „nieliberalna”, „walcząca” – uzasadnia swoje działania wyjątkowymi okolicznościami. Zazwyczaj jednak nie oddaje później kompetencji i narzędzi, które pozyskała na potrzeby trybu nadzwyczajnego. To, co było podyktowane stanem nagłej konieczności, wchodzi do rutyny rządzenia. A skandale i nadużycia prawa, które jeszcze wczoraj budziły olbrzymie kontrowersje i protesty – powszednieją.

Kiedy więc rządzący mówią, że zostali postawieni w sytuacji permanentnego kryzysu konstytucyjnego i sporu o kom-

REKLAMA

27.
Międzynarodowe
TARGI KSIĄŻKI
w Krakowie

24-27
października
2024

Kraków,
ul. Galicyjska 9

EXPO
KRAKOW
ksiazka.krakow.pl

petencje – wcale nie kłamią. Zarazem jednak nie mówią całej prawdy, bo wprowadzony przez poprzedników model okazał się dla nich użyteczny. A formuła „demokracji walczącej” sprawdza się – zresztą nie tylko w odniesieniu do walki „z wrogami demokracji”.

Dlaczego Polacy chcieli więcej

Jest jednak ważniejsza przyczyna podobieństwa działań dzisiejszej koalicji do tych z lat 2015-2023. Ten kierunek wyznacza dziś główny nurt polskiej polityki. A płynie on – nie będzie to wielkie zaskoczenie – innymi torami, niż gdy Donald Tusk zostawał premierem po raz pierwszy, w roku 2007. I chyba inaczej, niż on sam mógł sobie wyobrazić, zanim na dobre wrócił do krajowej polityki.

Od czasów, gdy Tusk opuścił Polskę (czym dołożył się do porażki swojego obozu), do czasów, gdy do niej wrócił (i poświęcił się wygranej nad PiS-em), wydarzyła się w kraju mała społeczna rewolucja. Można ją nazwać rewolucją aspiracji. Najwyższy wzrost płac realnych w Europie, najmniejsze bezrobocie, najszybsze odbicie po pandemii, zagraniczne inwestycje, największa wśród państw rozwiniętych redukcja ubóstwa dzieci. Gospodarczy cud, który zaklinali ojcowie założyciele III RP, się spełnił, zarazem grzebiąc ich ideologię: oszczędności budżetowych, państwa minimum, prywatyzacji, cięcia „socjału” i abdykacji z polityki przemysłowej.

Za tym sukcesem poszedł także spodziewany wzrost społecznych oczekiwań. Rewolucja aspiracji polega na tym, że gospodarczy sukces obudził żądanie podmiotowości i sprawczości państwa. Być może na odwrót niż w powojennych gospodarkach kapitalistycznej Europy, uznaliśmy, że dobre instytucje i ambitną politykę publiczną będziemy tworzyć dopiero po uzyskaniu zamożności. Ale skoro ów poziom zamożności się zbliża, to pragniemy władzy bardziej sprawczej i podmiotowej.

Tak centrum polityki przesunęło się w lewo w sprawach gospodarczych i społecznych. To znaczy, nie tylko świadczeń społecznych i „socjału” – choć rzeczywiście PiS wprowadzając program 500+ dokonał przełomu. W ostatniej dekadzie Polska polityka ekonomiczna przesunęła się w lewo także w tematach redystrybucji, dużych

Po wyjeździe Tuska
i przejęciu władzy
przez PiS w kraju
wydarzyła się
społeczna rewolucja.
Ideologia ojców założycieli
III RP została pogrzebana,
wzrosły społeczne
oczekiwania.
Zaczęliśmy aspirować.

publicznych inwestycji, protekcjonizmu i opiekuńczej roli państwa.

Władzę w naszym kraju zdobywa się dziś nie głosząc postulatów „państwa minimum”. Takiego, które ogranicza się do efektywnej transmisji unijnych środków do samorządów i raz na jakiś czas podejmuje się organizacji historycznej rocznicy. Przeciwnie: w zapowiedziach ze „100 konkreto”, a jeszcze bardziej w praktyce rządzenia, Tusk rozwija model państwa bardziej niż kiedyś aktywnego i hojnego.

Nie jest przypadkiem, że ten rząd ma rekordowo duży deficyt, zapowiada budowę „najsilniejszej armii w Europie” i snuje wizję organizacji igrzysk olimpijskich w Warszawie. Jest obecny w sprawach wielkich (armia, rozwój i cywilizacyjne skoki) i małych. Dowiódł tego nie tylko kryzys powodziowy i spektakl jednoosobowego zarządzania kryzysowego przez premiera w sztabie we Wrocławiu.

W innych sytuacjach – zagrożen dla zdrowia, bezpieczeństwa na granicy, a ostatnio nawet rozwoju sztucznej inteligencji – rząd reaguje natychmiastowymi zapowiedziami kolejnych programów dopłat, publicznych interwencji i tworzeniem nowych instytucji. Jakby na to nie patrzeć: nie jest to państwo minimum czy liberalna antyteza PiS-owskiego „rozdawnictwa i etatyzmu”.

W opiekuńczym państwie narodowym

Ale to nie jedyny sposób, w który zmieniła się nasza polityka. Bo równocześnie z odbiciem w lewo w sprawach gospodar-

czych doszło do odbicia w prawo w sferze tożsamości narodowej, patriotyzmu i kwestiach godnościowych. Bez zrozumienia tego nie sposób w pełni pojąć podobieństw polityk PiS i PO.

Dziś „wstawanie z kolan” nie jest już obiektem kpin, ale przyprawą, bez jakiej nawet liberalno-lewicowy rząd nie jest w stanie sobie poradzić. I nie chodzi tylko o fakt, że dziś PO nawet nie przychodzi do głowy stawianie nowych wersji orla z czekolady. Przeciwnie, musi prowadzić własną politykę historyczną (choćby przez nominacje). Musi także, retorycznie, domagać się reparacji albo zadośćuczynienia od Niemiec oraz walczyć z Kijowem o pamięć rzezi Wołynia. Konieczne jest także mocne podkreślanie tego, że możemy i powinniśmy być miejscem lokalizacji najważniejszych inwestycji, odgrywać coraz mocniejszą pozycję w Europie i być drogowskazem polityki wschodniej.

Dlatego premier Tusk objeżdża Europę przestrzegając przed „czasami przedwojennymi”, minister Sikorski zawstydza rosyjskiego ambasadora w ONZ, a szef MON-u Kosiniak-Kamysz mówi, że mamy większą armię niż Francja. Po 24 lutego 2022 r. rząd RP nie może sobie pozwolić na cień wątpliwości w sprawie tego, gdzie stoi – nawet jeśli ceną jest przesada, patos i puistość.

Więcej nawet: nie tylko musi mówić, ale i działać. Jak w sprawie migrantów – wobec których zresztą premier Tusk, również jako szef Rady Europejskiej, nigdy nie miał specjalnie miękkiego serca. Swoje intuicje z lat 2015-2016 – że zgoda na migrację oznacza tryumf skrajnej prawicy i koniec liberalnej Europy – przekuł w wyrazistą doktrynę. Rządy PO – pomimo setek przykładów prawicowej propagandy o tym, jak „Tusk zaleje Polskę migrantami na rozkaz Berlina” – prowadzą w tej kwestii politykę surowszą niż poprzednicy.

Bezpieczeństwo wiąże się z aspiracjami polskiego społeczeństwa w sposób dość jednoznaczny. Chcemy poziomu życia jak na Zachodzie, bez zagrożeń czy patologii, które na tym samym Zachodzie (jako turyści lub migranci zarobkowi) widzieliśmy. To oczywiście przepis na opiekuńcze państwo narodowe. Czyli agendę, którą PiS realizował otwarcie, a Platforma deklarując dystans wobec

→ narodowego szowinizmu i antyzachodnich odruchów.

Wyścig o sprawczość i licytacja na wizje

To rewolucja aspiracji Polaków i skuteczność modelu PiS spowodowały, że dziś rząd jest tam, gdzie jest. Prowadząc politykę, nawet jeśli wciąż liberalną, to w coraz bardziej opiekuńczym kostiumie. Walcząc na co najmniej kilku polach – bezpieczeństwa ekonomicznego, kulturowego i militarnego.

„Demokracja walcząca” ma więc więcej niż jeden wymiar. Nie tylko bowiem chodzi o bój o standardy i przeciwko zagrożeniom dla państwa prawa. Widzimy także militaryzację kolejnych sfer działania państwa – choćby w kwestii obrony granicy czy zwalczania skutków powodzi – ale i spektakl walki silnego premiera z kolejnymi patologiami.

Ten mechanizm wielokrotnie – także i na tych łamach – opisano. Premier w reakcji na prawdziwe lub widmowe zagrożenia – fentanyl, szabrownictwo, al-kotubki – zwołuje konferencje prasowe (a jeszcze częściej: nagrywa filmiki do internetu). Zapowiada zdecydowane działania i surowe konsekwencje. Nowe prawo powstaje z dnia na dzień, a ministrowie zostają (czasem dosłownie) poderwani do roboty.

Zanim ktokolwiek zdąży się merytorycznie zająć problemem – problem

„Demokracja walcząca”
ma wiele wymiarów.

Premier w reakcji
na prawdziwe
lub widmowe zagrożenia
nagrywa filmiki.
Grozi konsekwencjami.
Nowe prawo tworzy
z dnia na dzień.

zostaje, przynajmniej na poziomie politycznego spektaklu, rozwiązany. Cały cykl można zaczynać od nowa. To wyścig o sprawczość, w którym premier goni horyzont oczekiwań swoich wyborców, ale i mit sprawnego PiS-u. Który niezależnie od tego, co faktycznie robił lub czego nie robił, cieszył się wizerunkiem partii, która „dowodzi”. 500+, wyższe pensje, pomoc Ukrainie, zbrojenia? Proszę bardzo!

Ten sam premier zaś, który niegdyś ludzi posiadających wizję wysyłał do lekarza, sam inicjuje dziś prawdziwą wizjonerską licytację. Największa armia w Europie! Nie jeden CPK, a „trójskok w nowoczesność”! Igrzyska w Warszawie! Polska szczęśliwa, którą zapowiadał, nie jest

w stanie wyżywić się uśmiechem ani rozruszać paliwem rozliczeń. Potrzebuje wizji, sprawczości i podmiotowości. Nawet to jednak dowodzi, że obudzonych oczekiwań nie da się wygasić.

Donald Tusk zawsze był politykiem, który starał się iść środkiem drogi. Płynąc głównym nurtem, nie bijąc się z polską kulturową formą i nie popełniając błędów poprzedniej generacji liberałów, którzy chcieli rodaków na nowo wychować. Dziś środek polskiej drogi jest daleko na lewo od dawnej PO w sprawach gospodarczych, i podobnie daleko na prawo w temacie godności, suwerenności i tożsamości narodowej. Tylko premier jest wciąż mniej więcej tam, gdzie zawsze był.

Wyborcy dali PO mandat nie po to, by ufundowała „rok zero” i unieważniła wszystko, co w ostatnich ośmiu latach zrealizował PiS. Raczej, by PO dowiodła swoich kompetencji. By zrobiła nawet to samo, byle lepiej. I aby nikt nie opowiadał po latach w jej imieniu: „byliśmy głupi”.

Jak powiedział jeden z badaczy polskiej opinii publicznej w ostatnim roku rządów PiS, „polscy wyborcy chcą partii takiej jak PiS, która będzie rządziła z programem partii Kaczyńskiego i kontynuowała to wszystko, tylko bez tych wszystkich pisowskich twarzy z telewizji, za które trzeba się wstydić”. I właśnie to dostali. © JAKUB DYMEK

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Zuzanna Radzik, Piotr Sikora,
Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc,
Marek Kęskrawiec (kierownik), Michał Okoński,
Marek Rabij, Piotr Śmiałowicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Wojciech Brzeziński, Agata Kaźmierska,
Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik),
Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska,
Anita Piotrowska

Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał,
Ewelina Burda (kierowniczka), Michał Kuźmiński,
Maciej Müller, Monika Ochędowska, Katarzyna Rutkowska
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran,
Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frolow,
Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja marki: Monika Lech
Marketing i sprzedaż: Marek Bednarz, Anna Cieślak,
Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Michał Sowiński
Rozwój cyfrowy: Sławomir Bieniek, Mateusz Gawron,
Lech Krupa, Iwona Kuciel, Joanna Pelka,
Patrik Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda,
Eliza Kącka, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska,
Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyski
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Marek Bieńczyk, Jan Błaszczyk, Kalina Błażejowska,
Wojciech Bonowicz, Beata Chomętowska, s. Barbara Chyrowicz,
Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Adam Golus,
ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabata,
Eliza Kącka, Marcin Kędziński, Bartek Kiełżon, Piotr Kłotkowski,
Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski,
Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska, Ryszard Koziółek,
Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski,
Paweł Marczewski, Rafał Matyja, Paweł Musiałek,
Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocui,
Magdalena Nowicka-Franczak, Joanna Olech, Olaf Osica,
o. Wacław Osajca, Zbigniew Parafanowicz, Piotr Paziński,
Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński,
Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Ślawek,
Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota,
Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz,
Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborzka,
Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Plachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.



S-NET
GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny



Tylko do 30 listopada masz szansę przedłużyć lub rozpocząć prenumeratę „Tygodnika Powszechnego” w dotychczasowej, niższej cenie. Nie czekaj – już dziś wybierz swoją prenumeratę i zagwarantuj sobie nieprzerwany dostęp do wartościowych treści!

ZAPRENUMERUJ PÓKI TANIEJ

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	CENA	
	Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
■ Kwartał – 12 wydań	160 zł	200 zł
■ Rok – 52 wydania	550 zł	680 zł
■ Rok – 52 wydania w ofercie POKOLENIA	480 zł	
■ 4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	100 zł	
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	640 zł	770 zł
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny
Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na TygodnikPowszechny.pl/sklep
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Pełna oferta prenumeraty Tygodnika:
TygodnikPowszechny.pl/sklep

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela Agnieszka Dyrz w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie zakupu prenumeraty papierowej przez internet pomocy udziela Iwona Kuciel w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

MAŁGORZATA

Kordowicz: *Poezja w religii*



CZY W SZKOLE NADAL TRZEBA UCZYĆ SIĘ fragmentów literatury na pamięć? – zagadnął mnie przy szabacie znajomek. Odpowiedziałam uczciwie, że przygodę z licealną belferką zakończyłam i nie jestem na bieżąco, ale intuicja mi podpowiada, że –

jeżeli w ogóle – to zdecydowanie mniej niż wtedy, gdy my zasiadaliśmy w szkolnych ławach. A szkoda. Korzyści z uczenia się na pamięć poezji były wielorakie, ale z natychmiast odczuwalnych dla młodzieży: u cioci na imieninach można było błysnąć „Inwokacją”, a parę lat później w gronie rówieśników zaszpanować którymś Panem Cogito czy jeszcze przednoblowską Szymborską.

Edukacyjny wymiar znanej na pamięć poezji wykorzystuje stojący nad grobem Mojżesz, zwany nie bez kozery przez tradycyjnych Żydów „Mojżeszem naszym nauczycielem”. Jak sama nazwa Deuteronomium wskazuje – a przemawia wszak do Izraelitów urodzonych już na pustyni, gotowych zaraz przepłynąć się przez Jordan i wejść do Ziemi Obiecanej – po pierwsze przypomina całe nadane przez Wiekuistego prawo. Uświadamia słuchającym konsekwencje zarówno zachowania wierności, jak i sprzeniewierzenia się przymierzu z Najwyższym. Co zrobić na koniec, by kwintesencja Mojżeszowego pouczenia wryła się w pamięć zarówno obecnemu, jak i przyszłym pokoleniom? Nadać mu poetycką formę i przeznaczyć do zbiorowej recytacji.

Pierwsza część Talmudu zaświadcza, iż lewici składali w Świątyni codzienne ofiary z pieśnią na ustach. Były to te same psalmy, które po dziś dzień odmawia się na zakończenie porannej modlitwy (w niedzielę jest to Ps 24; w poniedziałek – Ps 48; we wtorek – Ps 82; w środę – Ps 94 często z pierwszymi trzema wersami kolejnego; w czwartek – Ps 81; w piątek – Ps 93; w sobotę zaś – Ps 92). W drugiej części czytamy, że ofierze dodatkowej w szabat towarzyszył nie psalm, a właśnie pieśń Mojżesza, czyli pierwsze 43 wersy z rozdziału 32. Księgi Powtórzonego Prawa. Jednak nie całość na raz, lecz po kolei jeden z sześciu fragmentów, na które została podzielona. Im czasowo bliżej pustynnego przywódcy, tym łatwiej było Izraelitom zrozumieć wszystkie zawiłości ewoluującego języka. Współczesnym będzie trudniej – podobnie jak trzynastolatkowi z „pałającą dzięcielina”. Inny Mojżesz – Majmonides – zaświadcza (w średniowieczu) o zwyczaju recytacji pieśni jego wielkiego imiennika. Może warto do niego wrócić?

©

Małgorzata Kordowicz jest rabinką w warszawskiej Gminie Wyznaniowej Żydowskiej. Hebraistka, opublikowała m.in. polsko-hebrajski modlitewnik dla dzieci.

O. WACŁAW

Oszajca: *Bezmierna miara Boga*



MOŻE JUŻ CZAS, ŻEBY SIĘ ZDECYDOWAĆ, JAKI jest nasz Bóg? Wciąż bowiem mamy co najmniej trzech Bogów. Jeden, który „gniewem się nie unosi”, drugi, który potrafi być „zagniewany na wieki”, i trzeci, który jest trochę jednym, trochę drugim. Potrafi

ugiąć się pod naporem błagań o miłosierdzie, ale to nie znaczy, że „złego nie pamięta”. Przeciwnie, przebacza, ale nie za darmo. Jest wina, musi być kara, i to kara przewyższająca wszelkie o niej wyobrażenia, jako że nawet najmniejszy grzech obraża tego Boga na Jego miarę, nieskończenie, jak nieskończony jest On sam. Stąd, żeby Boga udobruchać, musiał przyjść ktoś równy Bogu, gdyż tylko taki ktoś będzie w stanie unieść ciężar tej nieskończonej surowej kary, czyli wycierpieć to, co powinno spaść na nas.

Mówiąc inaczej, Jezus przyjął na siebie całe, nieskończenie wielkie odium Bożego gniewu i w ten sposób uchronił nas od kary wiecznego potępienia: „Lecz on był zraniony za nasze grzechy, zmiażdżony za nasze winy. Dla naszego zbawienia znośił karcenie, przez jego rany zostaliśmy uzdrowieni”. Co prawda Jezus „Ojcu swojemu już uczynił zadość [i] nam niesie radość”, ale nie wszystkim, gdyż „Już nie przestaje z narodem niewiernym, / samym się tylko ukazuje wiernym”. Wciąż więc borykamy się z dylematem, jak pogodzić sprawiedliwość z miłosierdziem?

A może nie musimy niczego godzić, wystarczy zamiast patrzeć na śmierć Jezusa przez ogrom cierpienia, popatrzeć przez ogrom miłości. To nie Bóg zażądał śmierci Jezusa, ale my, ludzie. Zażądaliśmy Jego życia i On nam je oddał. Wyrządziliśmy Mu krzywdę największą z możliwych, ale nie spadła na nas za to żadna kara. W sporze z Bogiem postawiliśmy na swoim. W przekonaniu, że postępujemy zgodnie z wolą Boga, zlikwidowaliśmy człowieka, który „przyszedł od Boga”. On jednak nie odpłacił nam złem za zło, gdyż „Miłość (...) nie szuka siebie, nie wybucha gniewem, nie liczy doznanych krzywd, nie cieszy się z niesprawiedliwości, lecz raduje się prawdą. Wszystko wytrzymuje, wszystkiemu wierzy, wszystkiemu ufa, wszystko przetrwa. Miłość nigdy się nie kończy”. Dlatego „Gdybym innych nakarmił wszystkim, co posiadam, i szczylił się, że wydałem własne ciało, a miłości bym nie miał, niczego bym nie zyskał”. Bóg mierzy tą samą miarą za równo Abła, jak i Kaina.

©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:

Jak Jezus rozeznaje

Czułość to bycie
wewnątrz
i nieustanna
pamięć o Bogu.

ABBA JAN



Mądry pije
ze źródła Prawdy,
wyciszony
przez Wgląd.
I trwa w radości.

DHAMMAPADA



CHCĘ SIĘ PODZIE-
lić komentarzem
o Timothy'ego Rad-
cliffe'a do Ewangelii
o spotkaniu Jezusa
z Syrofenicjanką
(Mk 7, 24-30; Mt 15, 21-28). Słyszac tę
Ewangelię, zwykle jesteśmy w szoku.
Nie rozumiemy, dlaczego Jezus nie od-
zywa się ani słowem do kobiety zrozpa-
czonej dramatem jej córki; a kiedy się
wreszcie odzywa, mówi: „Niedobrze jest
zabrać chleb dzieciom, a rzucić psom”.
Dlaczego ją najpierw zbywa, a potem ob-
raża? Za odpowiedź nie wystarczy raczej
zdanie: „Jestem posłany tylko do owiec,
które poginęły z domu Izraela”.

O. Radcliffe (dopiero co ogłoszony kardy-
nałem) zwrócił uwagę, że trzeba czytać tę
Ewangelię w jej najbliższym kontekście.
Jezus nie odmawia pokarmu „psom”, tzn.
poganom. Cztery wersety później w zapi-
sie Mateuszowym (Mt 15, 32-39) nakarmi
chlebem i rybami tłum pogan („cztery ty-
siące mężczyzn, nie licząc kobiet i dzieci”).
Dokładnie tak samo, jak rozdział wcze-
śniej (Mt 14, 13-21) nakarmił pięć tysięcy
Żydów razem z ich żonami i dziećmi. Tak
więc najwyraźniej towarzyszymy Jezu-
sowi na drodze ważnego przejścia od jed-
nej do drugiej misji: od Żydów do pogan.
W jaki sposób ono się dokonuje?

Najpierw właśnie dzięki milczeniu. Mil-
cząc, Jezus nie zamierza okazywać lek-
ceważenia krzyczącej za Nim kobiecie.

Przeciwnie: w ciszy rozeznaje całe wyda-
rzenie, także jej sytuację i działanie, jakie
powinien podjąć. W ciszy – nie znaczy je-
dynie w skupieniu, ale także na modlitwie
przed Ojcem. Nie reaguje natychmiast, ale
rozeznanie, które uzyskuje, poprowadzi
Go ku zmianie, która dotyczyć będzie nie
tylko jej (jako wyjątku), ale wielu (tak na-
prawdę: wszystkich) ludzi.

No i jeszcze logion o „psach”. Jak przypo-
mniał o Timothy, były to dla Żydów zwie-
rzęta nieczyste. Ale nie dla Syrofenicjan!
W Aszkelonie znaleziono cały starożytny
cmentarz ze szkieletami ok. 700 małych,
domowych psów, obok szkieletów ka-
mienne pomniki z ich przedstawieniami.
Najwyraźniej dla Syrofenicjan psy były
przyjaciółmi, cenionymi i na swój spo-
sób kochanymi. Być może więc, mówiąc
o psach, Jezus nie wyraża pogardy, lecz
przeciwnie, rozmawiając z Syrofenicjanką,
próbuję wejść w jej kategorie myślenia i po-
stępowania? Wtedy rzeczywiście miałoby-
śmy do czynienia z prawdziwym misyj-
nym przejściem – z Jezusowym wejściem
w świat pogan nie tylko geograficznym, ale
prawdziwie personalistycznym. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem
Kościoła, kaznodzieją i rekołkcjonistą.
Wydał wiele książek o historii, teologii
i duchowości.

CZYTANIA LITURGICZNE (20 – 27 X)

29. niedziela zwykła: Iz 53, 10-11; Ps 33;
Hbr 4, 14-16; Mk 10, 35-45;
Poniedziałek: Ef 2, 1-10; Ps 100; Łk 12, 13-21;
Wtorek: Ef 2, 12-22; Ps 85; Łk 12, 35-38;
Środa: Ef 3, 2-12; Ps: Łk 12, 2-6; Łk 12, 39-48;

Czwartek: Ef 3, 14-21; Ps 33; Łk 12, 49-53;
Piątek: Ef 4, 1-6; Ps 24; Łk 12, 54-59;
Sobota: Ef 4, 7-16; Ps 122; Łk 13, 1-9;
30. niedziela zwykła: Jr 31, 7-9; Ps 126;
Hbr 5, 1-6; Mk 10, 46b-52.

Wybrał PIOTR SIKORA

KRAJ

JACEK DOMIŃSKI / REPORTER



Jarosław Kaczyński, Waldemar Andzel i Mariusz Błaszczak w Sejmie, Warszawa, wrzesień 2024 r.

OPOZYCJA TRZYMA SIĘ MOCNO

Rok po wyborach parlamentarnych PiS skutecznie unika rozliczeń i zamiast się rozpadać, wręcz się konsoliduje. A Konfederacja rośnie w sondażach. Gdyby wybory odbyły się dziś, obie formacje mogłyby przejąć władzę.

PIOTR ŚMIŁOWICZ

PIERWSZA ROCZNICA WYBORÓW TO CZAS podsumowań przede wszystkim dla ekipy, która w ich wyniku objęła władzę. O nastrojach Polaków na temat rządu i sejmowej koalicji mówi też wiele kondycja opozycji, która 15 października ub. roku została pokonana dzięki wyjątkowej mobilizacji społecznej i rekordowej frekwencji. Biorąc pod uwagę 8 lat dość brutalnego sprawowania władzy przez PiS, obecny stan tej partii jest zaskakujący.

Rozliczeniowa matematyka

Po oddaniu władzy w 2015 r. PO długo nie mogła się odnaleźć. Miesiącami trwały w niej spory, a sytuacja ustabilizowała się dopiero po tym, jak władzę w partii objął Grzegorz Schetyna. PiS po swej porażce miał nieco bardziej ulgowe warunki. Przede wszystkim matematycznie wygrał wybory w 2023 r., co umożliwiło mu powołanie dwutygodniowego rządu Mateusza Morawieckiego oraz – co przyznają sami politycy partii – powstrzymało głębokie rozliczenia. Udało się też uniknąć znanych z przeszłości rozłamów: po elekcji z 2007 r. utworzono ugrupowanie Polska XXI; po porażce w wyborach prezydenckich w 2010 r. powstała Polska Jest Najważniejsza, a po przegranych wyborach w 2011 r. – Solidarna Polska.

Tym razem odszedł tylko Jan Krzysztof Ardanowski (stworzył wspólne koło z posłami Kukiz'15 i założył ugrupowanie Wolność i Dobrobyt), ale jego „siła rażenia” pozostaje niewielka. Kłótnie na platformie X między Beatą Szydło a Ryszardem Terleckim też nie mają takiego kalibru jak rewolty z przeszłości.

W powyborczej konsolidacji partii Kaczyńskiego pomogły zapewne gwałtowne wydarzenia po powstaniu rządu Donalda Tuska, związane ze zmianami w prokuraturze oraz przejmowaniem mediów publicznych przez ministra kultury Bartłomieja Sienkiewicza. Przez PiS zmiany te zostały uznane za bezprawne, co skłoniło polityków tej partii do rozpoczęcia okupacji budynków medialnych.

Krótko potem mandatów poselskich zostali pozbawieni Maciej Wąsik i Mariusz Kamiński, co było związane z ponownym ich skazaniem za sprokurowanie afery gruntowej. Oni sami, PiS oraz prezydent – nie uznali tego wyroku, wskazując, że Andrzej Duda już raz obu ułaskawił, choć stało się to przedwcze-

śnie, zanim sąd wydał prawomocny wyrok.

Obrona Kamińskiego i Wąsika była dla PiS okazją do wyjątkowej mobilizacji, która zaowocowała konfrontacją dużej grupy posłów PiS ze Strażą Marszałkowską, pamiętajmy jednak, że 8 lat wcześniej jeszcze bardziej mobilizowała się ówczesna opozycja na czele z PO, gdy protestowała przeciwko niekonstytucyjnym zmianom w wymiarze sprawiedliwości, narzucanym w Sejmie przez PiS.

Sojusznik z Pałacu

Ważniejsza różnica obu sytuacji wiąże się z osobą prezydenta. Ugrupowanie Jarosława Kaczyńskiego, mimo wszystkich kłótni między nim a Andrzejem Dudą, miało go po swojej stronie, a to dawało całemu środowisku siłę. Początkowe pojednawcze gesty w kierunku Tuska, a także konfrontacyjne wobec kierownictwa PiS mianowanie Marcina Mastalerka na szefa gabinetu, niczego tu nie zmieniły, bo Duda szybko wrócił do współbrzmienia z PiS – zwłaszcza po najeździe policji na Pałac Prezydencki, w którym Duda „gościł” Wąsika i Kamińskiego. Czas większych rozdzźwięków między PiS a prezydentem minął, a Duda wetuje lub wysyła do Trybunału Konstytucyjnego wszystkie uderzające w PiS ustawy; nie zgadza się też na dymisje powołanych za rządów tej partii ambasadorów.

Niemal wszyscy nasi rozmówcy zgadzają się też, że oprócz powolnie idących rozliczeń poprzedniej władzy, istotnym elementem, który zapobiegł spodziewanej dekompozycji PiS, był kalendarz polityczny: kampania przed kwietniowymi wyborami samorządowymi i ta przed czerwcowymi wyborami europejskimi. Obie – co przyznaje prof. Jarosław Flis, socjolog z UJ – miały być gwoździem do trumny partii Kaczyńskiego.

– A jednak okazało się, że bez telewizji Jacka Kurskiego też jest życie dla PiS. Może nawet lepsze, bo gdyby TVP w tamtej formie dalej działała i uprawiała propagandę, wynik mógłby być nawet gorszy, bo druga strona byłaby bardziej zmobilizowana – dodaje Flis.

Wybory samorządowe, a konkretnie możliwe do ujęcia w ogólnopolskiej skali wybory do sejmików, PiS znów matematycznie wygrał z głównym rywalem – Koalicją Obywatelską. I choć stracił władzę w kilku sejmikach w stosunku do roku

2018, partia nie czuła się przegraną. Podobnie po wyborach do Parlamentu Europejskiego. Tym razem PiS, w przeciwieństwie do roku 2019, wybory te minimalnie przegrał, ale udało mu się zdobyć 20 mandatów, tylko jeden mniej od KO.

To wszystko oczywiście nie znaczy, że utrata władzy została w środowisku tak po prostu przełknięta. – Przemysław Czarnek nie raz to publicznie formułował i co do tego jest w partii zgoda: przegraliśmy przez piątkę dla zwierząt, pandemii, Polski Ład, poparcie dla Ukrainy oraz nasze „tłuste koty” – przyznaje prominentny polityk tej partii.

Podobną diagnozę postawił w tekście „Dlaczego jestem wściekły na PiS” publicysta Rafał Ziemkiewicz w tygodniku „Do Rzeczy”. Jego tekst to wyraz najsilniejszych frustracji w środowisku bliskim poprzedniej władzy. Wymienił on m.in. złe priorytety kampanii, toporną propagandę, podwyższenie składki zdrowotnej i nagonkę na ludzi zarabiających powyżej 6 tys. zł, a także powołanie na premiera Mateusza Morawieckiego, zamiast skutecznego technokraty, czyli kogoś w rodzaju Dominika Tarczyńskiego. Podobne przekonania, jak wynika z naszych ustaleń, są w partii dość powszechne, jednak wciąż nie przełożyło się to na pozycję samego Jarosława Kaczyńskiego.

– W normalnych partiach po przegranych wyborach i oddaniu władzy wypada zmienić kierownictwo. Kaczyńskiemu udało się znowu ocaleć, choć ostatnich kilka lat to nieustające jego błędy i pomyłki. Dziś nie wiemy, czy jest faktycznie nieodwoływalny, niemniej do wyborów prezydenckich pozostaje nie do ruszenia – ocenia Flis.

Galeria nowych twarzy

Senator Kazimierz Ujazdowski z PSL uważa z kolei, że to, co jest siłą PiS, może być zarazem słabością tej partii – bez przywództwa Kaczyńskiego formacja ta już dawno by się rozpadła. Poza tym wiek lidera (ma 75 lat) uniemożliwia mu dostosowywanie się do zmian współczesnego świata i polityki. Prezes PiS mimo wszystko będzie się starał dociągnąć u sterów do 2027 r. i jeśli nie będzie jakichś przeszkód natury zdrowotnej, uda mu się – ocenia senator.

Jednocześnie czas w opozycji oraz kolejne dwie kampanie wylansowały parę →

→ nowych partyjnych twarzy. To m.in. bardzo medialny poseł Andrzej Śliwka, „dwutygodniowa” minister rolnictwa Anna Gembicka, kandydat na prezydenta Warszawy Tobiasz Bocheński oraz poseł Zbigniew Bogucki. W strukturze partyjnej, jak można usłyszeć, wzrosły akcje Piotra Milowańskiego, nadal mocna jest również pozycja „polskiego Donalda Trumpa”, czyli Przemysława Czarnka.

PiS usiłuje dziś odświeżyć swój wizerunek, czego wyrazem jest skład Komitetu Wykonawczego, nowej struktury na czele z Mariuszem Błaszczakiem, w której znalazło się ponad dwudziestu młodych polityków. To m.in. Rafał Bochenek, Radosław Fogiel, Marcin Przydacz, Paweł Jabłoński, Andrzej Śliwka, Zbigniew Bogucki i Paweł Szefernaker.

– Silnym spoiwem PiS jest też pamięć o losach Tuska i Kosiniaka-Kamysza. Wiele razy byli składani do grobu, a teraz jeden jest premierem, a drugi wicepremierem – ocenia Flis. – Z punktu widzenia partyjnych trzydziestolatków „Kaczora” trzeba wziąć na przeczekanie, bo dłużej klasztoru niż przeora. Tym bardziej że mają oni przekonanie, iż polaryzacyjny układ PO–PiS jest wieczny – dodaje socjolog.

To, że PiS udało się uniknąć specjalnych powyborczych strat, pokazują sondaże. Poparcie dla partii Kaczyńskiego utrzymuje się w granicach 30 proc. i jest tylko minimalnie niższe niż dla KO. Najważniejsze jednak jest to, że np. według ostatniego sondażu Opinii24 dla „Gazety Wyborczej”, PiS (33,5 proc.) wraz z Konfederacją (12,5 proc.) mają wyższe poparcie niż obecna koalicja rządząca i gdyby dziś doszło do wyborów, przejęłyby władzę (o ile by się dogadały).

Wewnętrzne przetasowania

Ale czas po wyborach to też momenty dla PiS trudne, jak wspomniany już spór Szydło z Terleckim, związany z zamieszczeniem wokół zmiany władzy w sejmiku małopolskim. Mimo że PiS uzyskał tam w wyborach samorządowych większość, przez prawie trzy miesiące nie udało mu

Głównym problemem Konfederacji jest jej federacyjny charakter.

Składa się z kilku środowisk, które łączy jedynie to, że bez współpracy żadne z nich nie weszłoby do Sejmu.

się wybrać marszałka, bo usilnie lansowany przez prezesa Łukasz Kmita nie zyskiwał poparcia frakcji skupionej wokół Beaty Szydło. W końcu stanęło na Łukaszu Smółce, kandydacie kompromisowym. Cała sytuacja przez jakiś czas groziła większą wojną, a Beacie Szydło groziło wręcz, że przestanie być wiceprezesem PiS, co z kolei zmusi ją do odejścia z partii.

Pewne napięcia wywołały też wybory do Parlamentu Europejskiego, zwłaszcza złe potraktowanie takich zasłużonych europosłów, jak Zdzisław Krasnodębski, Ryszard Legutko czy Jacek Saryusz-Wolski. Wybory te zaowocowały również odejściem z partii byłego ministra rolnictwa i szefa struktur podlaskich Krzysztofa Jurgieła, który ośmielił się nawet wejść w publiczną konfrontację z Kaczyńskim.

Podobnie jak Szydło, fotela wiceprezesa ostatecznie nie stracił Antoni Macierewicz, ale jego pozycja bardzo osłabła. W tym przypadku ujawnianie przez ekipę Tuska kulisy pracy jego słynnej podkomisji smoleńskiej okazało się skuteczne, ponieważ wielu polityków i wyborców PiS również nie ma zaufania do ustaleń Macierewicza.

Jednak za największy sukces PiS w pierwszym powyborczym roku politycy tej partii oraz eksperci uznają konsolidację: najpierw z Republikanami, a ostatnio z Suwerenną Polską. To drugie nastąpiło nie bez oporów, bo politycy SP twardo negocjowali, wywalczając ostatecznie dwa fotele wiceprezesów dla Zbigniewa Ziobry i Patryka Jakiego, dwa miejsca w Komitecie Wykonawczym dla Sebastiana Kalety

i Dariusza Mateckiego, oraz kierownictwo trzech struktur regionalnych. Suwerennej Polsce udało się też (w ramach list PiS) kampania do Parlamentu Europejskiego; mają tam dziś dwa fotele.

Paradoksalnie pozytywną rolę dla opozycji odegrała niespodziewana ciężka choroba Zbigniewa Ziobry. Właściwie tylko Michał Dworczyk otwarcie stwierdził, że jego zdaniem to SP ponosi odpowiedzialność za porażkę, ale było to wyrazem stanowiska frakcji Mateusza Morawieckiego, najbardziej niechętniej połączonemu z ziobrystami.

Sebastian Kaleta z SP uważa wręcz, że represje, które spadły na jego formację ze strony obecnej władzy, bardziej pomogły jej, niż zaszkodziły. – Próbowano zniszczyć nas jako środowisko, ale zatrzymanie Marcina Romanowskiego, a zwłaszcza przetrzymywanie w więzieniu ks. Michała Olszewskiego stały się symbolem konsolidującym nasz elektorat – twierdzi.

Gorzej już było ze sprawą Funduszu Sprawiedliwości, obciążającą właśnie polityków SP. Opublikowanie nagrań udostępnionych przez dyrektora Tomasza Mraza na pewno zrobiło duże wrażenie na opinii publicznej, ale już nieudolność prokuratury przy jego zatrzymaniu przykryła nieco istotę sprawy.

Gdzie jest kandydat do Pałacu

Powyborcza sytuacja obozu opozycji ma też niewątpliwie związek z (rozczarowującą elektorat obecnej koalicji rządzącej) działalnością trzech komisji śledczych rozliczających 8 lat epoki PiS. Trzeba przyznać, że nie dokonały one politycznych spustoszeń w partii Kaczyńskiego – nawet dysponując najmocniejszymi dowodami komisja ds. wyborów kopertowych. Zaś sam prezes Kaczyński, przesłuchiwany przez nie, nie dał się niczym zaskoczyć.

Zaskakujące jest coś innego, czyli kłopoty w przygotowaniach do najważniejszej konfrontacji przyszłego roku, czyli wyborów prezydenckich. Tu wszyscy są zgodni – to będzie najważniejszy test dla PiS, prawdziwy klucz do przyszłości tej partii.

Główny problem jest oczywisty – na razie nie ma dobrego kandydata, który miałby szanse powalczyć o zwycięstwo. W obiegu jest kilka nazwisk – Mariusz Błaszczak, Tobiasz Bocheński, Marcin Przydacz, Karol Nawrocki. Według rozpowszechnionej opinii, największe

OGŁOSZENIE



NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie” radia Tok FM. Stuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl



WOJCIECH OLKUŚNIK / EAST NEWS

Sławomir Mentzen (w środku) na konwencji prezentującej go jako kandydata Konfederacji w przyszlórocznych wyborach na prezydenta RP, Warszawa, sierpień 2024 r.

szanse na dziś mają Błaszczak i Nawrocki, prezes IPN. Ten pierwszy jest faworytem prezesa, ale obciąża go kiepska charyzma. Z kolei Nawrocki to kandydat co prawda niezgrany politycznie i potencjalnie możliwy do poparcia w drugiej turze również przez elektorat Konfederacji, ale wciąż mało rozpoznawalny.

Nie ma on też w PiS bezwarunkowego poparcia wszystkich frakcji – jedni wyciągają mu podejrzane kontakty z gdańskimi środowiskami przestępczymi w młodości, inni z kolei wskazują na niejasne relacje ze środowiskiem Opus Dei.

Największą dziś niewiadomą pod tym względem w PiS jest jednak Mateusz Morawiecki. Jako potencjalny kandydat na prezydenta cieszy się największą popularnością wyborców, tyle że prezes Kaczyński wykluczył jego start. I choć wskazał jako powód obiektywne obciążenia związane z latami w rządzie i trudnymi decyzjami, jednak tak naprawdę obawia się wzmocnienia Morawieckiego i jego frakcji.

W PiS powszechne są zarazem obawy, że były premier może się zdecydować na start niezależnie od macierzystej partii i próbować wykorzystać wybory prezydenckie do budowy własnej formacji. Miałby mu w tym sekundować prezydent Duda, który po zakończeniu urzędowania też mógłby tam znaleźć polityczną przystań. Niektórzy interpretują niektóre ostre wypowiedzi Marcina Mastalerka pod adresem PiS i prezesa Kaczyńskiego jako część tego planu.

Co robi Konfederacja

Wybory prezydenckie będą testem nie tylko dla PiS, ale i dla drugiej ważnej opo-

zycyjnej formacji. W Konfederacji mają tego świadomość, stąd jej kandydat – Sławomir Mentzen – praktycznie już zaczął kampanię. Ma on zresztą wszelkie dane, by zostać politycznym profitentem obecnej sytuacji politycznej. Ani on, ani cała partia nie są obciążeni aferami epoki PiS, nie ponoszą też ciężaru sprawowania władzy, jak „koalicja 15 października”. Pod wieloma wypowiedziami np. wicemarszałka Sejmu Krzysztofa Bosaka, choćby w obronie wartości konstytucyjnych, podpisałoby się zapewne wielu wyborców innych ugrupowań. Z drugiej strony, partii udaje się też po cichu gromadzić elektorat niechętny pomocy Ukraincom.

Jednak problemem Konfederacji jest jej federacyjny charakter. Składa się ona z kilku środowisk, które łączy jedynie to, że bez współpracy żadne z nich nie weszłoby do Sejmu. Spory między tymi środowiskami ostatnio nie wychodzą na powierzchnię, ucichł nawet Grzegorz Braun po tym, jak w grudniu ub. roku zgasił w Sejmie świece chanukowe. To jednak polityk nieprzewidywalny, na którego Konfederacja jest trochę skazana. Nie może się go pozbyć, bo wraz z nim odeszliby ludzie związani z jego partyjką – Koroną.

Problem Brauna został częściowo rozwiązany wybraniem go do Parlamentu Europejskiego, ale kłopot nie zniknął, czego dowodem jest niedawny spór o złożony przez Mentzena projekt zlikwidowania podatku spadkowego – sprzeciwiło się trzech posłów od Brauna i projekt został wycofany. Wspomniane wybory do PE ukazały zaś chyba najlepiej

niespójność całego środowiska – formacja zdobyła w wyborach do PE trzecie miejsce, wprowadzając sześciu europosłów. Lecz potem Anna Brylka z Tomaszem Buczkim (oboje z Ruchu Narodowego) zasilili grupę Patriotów za Europą, w której zasiadają m.in. przedstawiciele węgierskiego Fideszu Viktora Orbána. Ewa Zajączkowska-Hernik, Marcin Sypniewski i Stanisław Tyszką (z Nowej Nadziei Sławomira Mentzena) dołączyli do frakcji Europy Suwerennych Narodów (tam, gdzie jest niemiecka AfD), natomiast Grzegorz Braun nie wszedł do żadnej frakcji.

Sama przepychanka przy wyborze Mentzena na prezydenckiego kandydata także pokazuje realia Konfederacji. Ochotę na start miał też Krzysztof Bosak, ale Mentzen go przeliczył. Bosak zaakceptował tę sytuację, jednak odpowiedział pomysłem, by jednocześnie podjąć rozmowy z PiS w sprawie wystawienia wspólnego kandydata.

Konfederacja oficjalnie ostro odżegnuje się od planów sojuszu z PiS, ale tak może być tylko do wyborów. Realia sondażowe zachęcają do współpracy; w ugrupowaniu Kaczyńskiego również mają tego świadomość. Rzecznikiem sojuszu jest np. Przemysław Czarnek, który doprowadził do tego, że na początku roku, po aferze z Braunem, PiS nie głosował za odwołaniem Bosaka z funkcji wicemarszałka.

Czy PSL pozostanie wierny

Koalicja PiS i Konfederacji miałyby szansę dojść do władzy nawet dziś, ale tylko z udziałem trzeciego podmiotu, czyli PSL. Jednak to, jak przekonują politycy związani z ludowcami, np. senator Kazimierz Ujazdowski, nie jest możliwe. W PSL istnieje przekonanie, że porozumienia z partią Kaczyńskiego nie zrozumiałaby większość elektoratu, a cała operacja skończyłaby się stopniowym zanikiem partii, tak jak stało się to kiedyś w przypadku Samoobrony i LPR.

Zarazem takiego przebiegu zdarzeń nie można definitywnie wykluczyć, jeśli wybory prezydenckie wygrałby walczący z krzyżami w urzędach Rafał Trzaskowski. Wtedy, za cenę fotela premiera dla Kosiniaka-Kamysza, PSL mógłby się na koalicję z PiS zdecydować. To jednak wciąż bardziej *political fiction* niż realny scenariusz. © P. PIOTR ŚMIŁOWICZ



Przerwana tama w Stroniu Śląskim, wrzesień 2024 r.

Centymetry, które wstrząsnęły Kłódkiem

MAREK RABIJ

Wciąż nie wiadomo, dlaczego zbiornikowi w Stroniu Śląskim obniżono klasę ważności z drugiej na trzecią. Choć możliwe, że właśnie to zaważyło na losie mieszkańców Ziemi Kłódzkiej podczas ostatniej powodzi.

GŁÓWNY BOHATER TEJ OPowieści MILczy. W chwili, gdy zsyłamy ten materiał do druku, mija 15 dni od przesłania Wodom Polskim naszych pytań o prace na suchym zbiorniku retencyjnym w Stroniu Śląskim oraz na zamykającej go zaporze.

Pytania bez odpowiedzi

Zapytaliśmy o przyczynę obniżenia klasy tej instalacji z drugiej do trzeciej, co według naszych informacji nastąpiło między 2016 a 2024 rokiem i mogło być próbą ukrycia jej pogarszającego się stanu technicznego lub niedostosowania do nowych, niebezpiecznych okoliczności – ze zwiększonym zagrożeniem powodziowym na czele.

Polskie przepisy – przypomnijmy – dzielą budowlę piętrzącą na cztery klasy, w zależności od ich wielkości, znaczenia dla gospodarki wodnej oraz konsekwencji potencjalnej awarii dla ludności. Zaporom i zbiornikom klasy pierwszej i dru-

giej przepisy stawiają najwyższe wymagania, w tym obowiązek stworzenia planu ewakuacji na wypadek pęknięcia, a także zdublowania systemów łączności, które pozwoliłyby skutecznie zawiadomić o katastrofie inne służby.

Wyższe w porównaniu do obiektów klasy trzeciej i czwartej są również wymagania dotyczące wytrzymałości samych konstrukcji. Zbiornik i tama w Stroniu nie zmieniły wielkości i objętości. Czym zatem podyktowana była zmiana klasy zaszeregowania obiektu, obniżająca wymogi formalne, które musiał spełniać, by jego stan techniczny można było nazwać „dobrym” i „niezagrożającym bezpieczeństwu”? Właśnie takie wyniki, jak podały w komunikacie Wody Polskie, przyniosła ostatnia kontrola stanu zapory i zbiornika, przeprowadzona w roku 2023.

W przesłanym do redakcji mailu biuro prasowe Wód Polskich poprosiło o czas na przygotowanie odpowiedzi na

tak szczegółowe pytania. Nadal mamy nadzieję, że je otrzymamy.

Rzadka zmiana klasy

W międzyczasie z podobnymi pytaniami zwróciliśmy się do jednego z czołowych polskich ekspertów od inżynierii środowiska, specjalizującego się w bezpieczeństwie zapór i zbiorników retencyjnych.

Nasz rozmówca poprosił o nieujawnianie nazwiska oraz nazwy instytucji, w której pracuje, ponieważ będzie ona uczestniczyć w badaniu przyczyn katastrofy zbiornika w Stroniu. Inżynier był już na miejscu, przeprowadził też rozmowy z obsadą zapory, która w ostatnich godzinach jej działania była na zmianie. Zebrane informacje są na razie, jak podkreśla, zbyt skąpe, by tylko na ich podstawie wskazywać przyczyny katastrofy.

– W weekend między 13 a 15 września z pewnością mieliśmy w Kłódku do czynienia z opadami o intensywności dotąd w Polsce nienotowanej – opowiada. – Pracownicy zapory mówili, że w ostatnich minutach, zanim siadły urządzenia pomiarowe, na odczytach przepływu wody zobaczyli wartości, które skojarzyły im się z tsunami.

Eksperta zastanawia jednak coś innego. Dlaczego Wody Polskie w komunikacie o katastrofie przywołują akurat dane o maksymalnym przepływie wody? Zapora w Stroniu była – jak podają Wody – zaprojektowana na 70-80 metrów sześciennych na sekundę. W feralny weekend w zbiorniku zanotowano jednak przepływ na poziomie 320 metrów sześciennych na sekundę.

– Ale to oznacza jedynie, że urządzenia przelewowe w zaporze miały

przepustowość czterokrotnie mniejszą od obciążenia, z jakim przyszło im się mierzyć podczas ostatniej powodzi – wyjaśnia inżynier. – Zapora, mówiąc kolokwialnie, zadławiła się wodą, która w pewnym momencie przelała się przez wał okalający zbiornik i go rozniosła. To bardzo niebezpieczna sytuacja, potencjalnie mogąca prowadzić do scenariusza, która faktycznie ziścił się w Stroniu. Ale tłumaczenie przzerwania wału samą wielkością przepływów, zwłaszcza przed przeprowadzeniem innych badań, uważam za co najmniej przedwczesne.

Ekspert ze zdziwieniem przyjął też informację o zmianie zaklasyfikowania ważności obiektu. Podkreśla, że tego typu sytuacje są rzadkie, klasę wyznacza się bowiem zwykle jeszcze na etapie projektowania budowli piętrzącej. Ewentualnych zmian można dokonać podczas przeprojektowania lub w sytuacji, gdy uzasadnią to inne okoliczności.

– Na przykład gdy zmienia się dokonywana cyklicznie ocena lokalnego zagrożenia powodziowego, albo gdy w pobliżu wyludni się jakaś wieś, lub przeciwnie, powstanie nowe osiedle. Należy wtedy na nowo przeliczyć zagrożenie związane z zalaniem w wyniku przzerwania zapory i może się okazać, że wymaga to także zmiany klasy obiektu – tłumaczy inżynier.

Pada na dwa, zmieńmy na trzy

Zbiornik i zapora w Stroniu Śląskim powstały na początku XX w., musiały być zatem wtórnie sklasyfikowane zgodnie z wymogami określonymi w rozporządzeniu ministra środowiska z 2007 r. o warunkach technicznych, jakim powinny odpowiadać budowle hydrotechniczne i ich usytuowanie.

W komunikacie z 24 września br. o stanie tego obiektu Wody Polskie podają, że ostatni poważny remont w Stroniu odbył się w 2011 r., zapewne po powodzi, która nawiedziła Dolny Śląsk rok wcześniej. Pięć lat później NIK w swoim raporcie wymienia zespół budowli hydrotechnicznych w Stroniu Śląskim jako obiekt klasy drugiej. Zmiany zaklasyfikowania na pewno nie przeprowadzono zatem w związku z modernizacją w 2011 r.

Późniejsze prace na terenie zbiornika i na samej zaporzę sprawadzały się z kolei do kosmetyki. W 2014 r. przygotowano ścieżkę pieszo-rowerową na koronie zapory wraz z rampą wejściową i oświe-

tleniem. Sześć lat później wyczyszczono urządzenia upustowe zapory. Potem jeszcze położono okablowanie dla telewizji przemysłowej oraz dla automatycznych czujników w gruncie, ale tego typu prace na pewno nie uzasadniały zmiany klasyfikacji zapory i zbiornika.

Gdyby doszło do niej wskutek zmniejszenia oceny zagrożenia ewentualnym przerwaniem tej budowli przez wodę, powiadomiono by o tym okoliczne samorządy. Tymczasem Maciej Awiżeń, obecnie wojewoda dolnośląski, a w latach 2010-2023 starosta powiatu kłodzkiego, nie przypomina sobie, żeby informacja o obniżeniu klasy zbiornika w Stroniu trafiła na jego biurko: – A nie wyobrażam sobie również tego, że taka wiadomość nie zostałaby mi przekazana, gdyby dotarła do starostwa – podkreśla.

W jakich okolicznościach i dlaczego obiekt w Stroniu Śląskim przestał być zatem budowlą hydrotechniczną klasy drugiej?

– Proszę spojrzeć – ekspert wskazuje palcem na jedną z tabel ministerialnego rozporządzenia z 2007 r. – Obiekt taki jak Stronie, gdyby był budowlą drugiej klasy, musiałby mieć koronę wałów i samej zapory sięgającą półtora metra ponad maksymalne przewidywane spiętrzenie wody. Z chwilą, gdy stał się obiektem klasy trzeciej, do spełnienia warunku bezpieczeństwa z rozporządzenia wystarczył już tylko metr.

Na uwagę, że wysokość zapory i wałów wokół zbiornika nie uległa przecież zmianie, ekspert reaguje uśmiechem. – No właśnie. A co, jeśli w międzyczasie zmieniły się szacunki opadów i prognoza maksymalnego spiętrzenia wody w zbiorniku? Mówiąc wprost: gdy właścicielowi obiektu wyszło, że musiałby podnieść wały i samą zaporę o kilkadziesiąt centymetrów?

Scenariusz się komponuje

Cytowany ekspert podkreśla, że scenariusz, który snuje, jest na razie tylko jednym z hipotetycznie możliwych. Rzecz jednak w tym, że wręcz niepokojąco dobrze komponuje się z tym, co działo się w poprzednich latach w polityce powodziowej w tej części Polski.

Po wielkiej wodzie w 2010 r., która ponownie spustoszyła część Dolnego Śląska, zapadła decyzja o rozbudowie systemu zabezpieczeń redukujących ryzyko powtórki

takiego scenariusza. Inwestycję miał wesprzeć Bank Światowy, któremu strona polska przedstawiła jej plany. Projekt zakładał dwa etapy. W pierwszym na Ziemi Kłodzkiej miały powstać cztery suche zbiorniki retencyjne, czekające na wysoką wodę. W drugim planowano porządki w korytach największych rzek i potoków regionu, planowano także modernizację istniejących już zapór oraz zbiorników. Większość budowli hydrotechnicznych w tej części Dolnego Śląska powstała jeszcze na początku XX w., w reakcji na wielką powódź, która w 1903 r. spustoszyła region. Była wśród nich także zapora w Stroniu Śląskim, oddana do użytku w 1908 r.

Budowa czterech zbiorników ruszyła w 2015 r. i trwała osiem lat. W międzyczasie do władzy doszedł PiS, który w 2017 r. gospodarkę wodną na terenie całego kraju skoncentrował w jednej instytucji, czyli w Wodach Polskich. Jedną z ich pierwszych decyzji była zmiana strategii przeciwpowodziowej dla tej części kraju.

Z naszych informacji wynika, że już wiosną 2018 r., zaledwie kilka miesięcy po rozpoczęciu działalności operacyjnej, Wody Polskie wystąpiły do Banku Światowego z propozycją zamiany drugiego etapu inwestycji – czyli wspomnianych prac utrzymaniowych – na budowę kolejnych zbiorników retencyjnych. Pomysłodawcy wskazywali dla nich szesnaście potencjalnych lokalizacji. Bank Światowy zgodę na zmianę planów uzależnił jednak od wyniku konsultacji społecznych. Z naszych informacji wynika również, że dał Wodom Polskim czas na ich zakończenie do lipca 2019 r.

Znikający zbiornik

Narady z samorządami i instytucjami regionu ruszyły na początku 2019 r., ale mieszkańcy dołączyli do konsultacji dopiero pod koniec marca. Nowy plan przeciwpowodziowy dla większości z nich był olbrzymim zaskoczeniem, dlatego spotkał się z oporem i nieufnością. Zakładał m.in. przesiedlenie ok. 2500 osób. Jak wspomina dziś – prosząc jednocześnie o anonimowość – jeden z uczestników tamtych rozmów, protesty miały „spory komponent godnościowy”.

– Po ostatniej powodzi zrobiono z nas w mediach pieniaczy spod znaku „nie na moim podwórku”, ale nam nie chodziło o to, żeby te zbiorniki uwalić. Domagaliśmy się tylko, żeby ich lokalizację, →



Stronie Śląskie po przejściu fali powodziowej

→ wielkość i funkcję planować z uwzględnieniem również naszych racji – mówi mieszkaniec okolic Stronia Śląskiego. – Tymczasem pokazano nam gotowe plany i mieliśmy do wyboru: zgodzić się albo wyjść na wariatów, którzy nawet po dwóch wielkich powodziach nie chcą się przygotować na kolejną.

Druga strona konsultacji, czyli Wody Polskie, też nie były skłonne do kompromisu, gonił je termin narzucony przez Bank Światowy. Awantura o dodatkowe zbiorniki na Dolnym Śląsku przybierała więc na sile, a przed kampanią wyborczą do parlamentu włączyli się w nią politycy. Platforma Obywatelska pomysł Wód Polskich nazwała „pisowską gigantomanią”.

Ostatecznie głos zabrał minister gospodarki morskiej i żeglugi śródlądowej Marek Gróbarczyk. Obiecał mieszkańcom Kłodzkiego, że żadne nowe zapory i zbiorniki w tym regionie nie powstaną. Rzecz jednak w tym, że inwestycja nie ruszyłaby zapewne i z błogosławieństwem ministra. Na wieść o protestach Bank Światowy cofnął bowiem polskiej stronie wstępną zgodę na zmianę planów. Drugi etap inwestycji miał iść wedle pierwotnych założeń.

Wspomina inżynier pracujący w tamtym czasie na zlecenie Wód Polskich: – Nagle okazało się, że nie ma szans ani na szybkie uporządkowanie zlewni rzek, bo ten plan już zarzucono, ani na nic w zamian – bo nowa wersja projektu też upadła.

Jaki wpływ mogła mieć ta awantura na wspomniane na początku obniżenie klasy zapory w Stroniu Śląskim?

– We wstrzymanym przez Gróbarczyka planie ponad zbiornikiem w Stroniu, w Bolesławowie, przewidziano powstanie kolejnego, większego, bo mieszczącego ok. 1,9 mln metrów sześciennych wody – wylicza ekspert. – To on wedle nowych założeń miał przyjąć na siebie pierwsze uderzenie kolejnej dużej powodzi. Problem w tym, że nigdy nie powstał, a na obiekcie w Stroniu nie przeprowadzono poważniejszego remontu ani modernizacji, które zwiększyłyby jego odporność na wielką wodę. Wody Polskie uporządkowały jedynie koryto Morawki na dnie zbiornika.

Co Wody wiedziały

Z tego, że dotychczasowe szacunki zagrożenia powodzią w regionie wymagają aktualizacji, właściciel obiektu w Stroniu Śląskim musiał zdawać sobie sprawę na długo przed wydarzeniami z 15 września 2024 r. Hydrologi i klimatolodzy od dawna sygnalizowali, że zmiany klimatyczne coraz częściej skutkują w Polsce powodziami błyskawicznymi, wywołanymi przez nawalne opady na stosunkowo niewielkim obszarze.

Niepokojącego materiału do analiz dostarczyły też Wodom Polskim konsultacje społeczne z 2019 r. w sprawie planu budowy nowych zbiorników retencyjnych. W dokumencie przygotowanym wówczas na zlecenie „Koalicji Ratujmy Rzeki” jego autorzy szacowali, że budowa tych obiektów, bez uwzględnienia naturalnej retencji czy przesiedleń z terenów najbardziej zagrożonych zalaniem, nie poprawi znacząco bezpieczeństwa mieszkańców

Ziemi Kłodzkiej. W analizie skutków powodzi niosącej tzw. wodę stuletnią, czyli o prawdopodobieństwie wystąpienia raz na 100 lat, autorzy opracowania piszą, że dla miasta Kłodzko budowa dziewięciu nowych suchych zbiorników retencyjnych oznaczałaby redukcję wysokości lustra wody o... 54 centymetry.

Wieczorem 15 września br. wodowskazy na Nysie w Kłodzku pokazywały tymczasem 772 centymetry, bijąc tym samym rekord z 1997 r. aż o 117 centymetrów. Przerwanie wałów zbiornika w Stroniu doprowadziło do niekontrolowanego uwolnienia ok. 1,3 mln metrów sześciennych zgromadzonej w nim wody.

Czy można było temu zapobiec? Ekspert, który będzie niebawem badać przebrane wały, podkreśla, że katastrofy budowlane, podobnie jak lotnicze, rzadko mają jedną przyczynę. Najczęściej składa się na nie ciąg nieszczęśliwych zbiegów okoliczności, ludzkich błędów i niedopatrzeń. Czasem po prostu zwycięża natura.

– Lata obserwacji nauczyły nas jednak, że w przypadku ziemnych budowli przeciwpowodziowych, takich jak wał wokół zbiornika w Stroniu, wartością graniczną jest 30 centymetrów. Wszystkie obiekty projektuje się właśnie tak, żeby nawet przy maksymalnym naporze lustro wody nie sięgnęło wyżej niż właśnie 30 centymetrów do korony umocnień, bo wtedy konstrukcja gwałtownie traci stabilność i tylko Bóg wie, co zdarzy się dalej.

Niewykluczone, że w niedzielę 15 września tego roku zbiornikowi w Stroniu zabrakło właśnie tych 30 centymetrów. Dotarliśmy do e-maila, który Centrum Operacyjne Regionalnego Zarządu Gospodarki Wodnej we Wrocławiu wysłało do Powiatowego Centrum Zarządzania Kryzysowego w Kłodzku 15 września o godzinie 0:29. RZGW zapewnia w nim po konsultacji z kierownikiem zbiornika w Stroniu, że „na chwilę obecną zaporą jest stabilna. Jedyne przelanie się wody przez korpus zapory ziemnej może doprowadzić do powstania przebicia”. Dalej RZGW przyznaje, że utrzymywanie się tak dużego naporu wody przez dłuższy czas może osłabić tę konstrukcję. Konkluduje jednak optymistycznie, że „na razie zaporą piętrzy przez kilkanaście godzin, zatem nie powinno nastąpić jej uplastycznienie”.

Dwanaście godzin później uplastycznienie nastąpiło. ©P MAREK RABII

Podmiot czy przedmiot?

ANNA GOLUS

Dojrzałemu wspieraniu dzieci musi towarzyszyć refleksja i poczucie odpowiedzialności. Niestety, brakuje jej wielu dorosłym: rodzicom, nauczycielom, a także niektórym parlamentarzystom.

NIE CHCĘ BYĆ POSŁUSZNYM NIEWOLNIKIEM! Tego nas uczą w szkołach. Siedź cicho przez 45 minut w ławce. Nie pisnij nawet słówkiem, bo dostaniesz złą ocenę. (...) Mnie nie wychowają na posłusznego niewolnika! – mówi 9-letnia Maja w filmie opublikowanym na Instagramie. Niejednym, na którym dziewczynka wyraża bunt wobec szkoły. Inne opublikowane tu treści każą się jednak zastanowić, czy Maja jest rzeczywiście świadomą swoich praw uczennicą, czy też dzieckiem uprzedmiotawianym przez rodziców w imię powierzchownie rozumianej dziecięcej podmiotowości.

Czyje dobro ważniejsze

„Stań się najbardziej lubianym dzieckiem w okolicy! Ja już to zrobiłam i teraz wszyscy chcą się ze mną bawić. Już nie brakuje mi przyjaciół, jak to było kiedyś. Już nie siedzę sama na placu zabaw. Teraz cały czas ktoś mnie zaczepia i pyta, czy idziemy coś razem porobić. A dlaczego? Bo mam na sobie biżuterię z Apart. Nie ważne, czy założę przepiękny naszyjnik, czy stylową bransoletkę, każdy chce ze mną się bawić i spędzać czas. A ty? Masz już swoją biżuterię z najnowszej kolekcji?” – mówi Maja w innym filmie.

Po dwóch miesiącach od opublikowania go – gdy zdobył już prawie tysiąc polubień – marka Apart zareagowała, pisząc na Instagramie, że nie ma nic wspólnego z tą „reklamą”, a „współprace z dziećmi odbywają się wyłącznie podczas oficjalnych sesji zgodnie z przepisami dotyczącymi pracy dzieci na planach zdjęciowych”. Firma poprosiła opiekunów prawnych o usunięcie filmu i opublikowanie sprostowania. „Nieprawdziwe informacje dotyczące współpracy z marką Apart wywołują negatywne konsekwencje, godząc w dobre imię naszej firmy” – napisała do rodziców.

Dopytałam, czy to dziewczynka powinna przeproszać (w sprostowaniu miało bowiem paść słowo „przepraszam”, a profil Mai jest prowadzony w jej imieniu, więc taka forma oznaczałaby, że kaja się dziecko). „Przepraszamy oczekujemy od profilu, od osób nim zarządzających, w domyśle od jej rodziców/opiekunów prawnych. (...) Jednocześnie, po ludzku uważamy, że cała sytuacja może stać się bardzo trudna dla dziecka w wieku szkolnym i nagłaśnianie jej dalsze przez media nie powinno w naszej opinii mieć miejsca, ze względu na jego dobro”.

Film usunięto, przeprosin nie ma.

Swobodna wypowiedź

„Mój pierwszy raz... *My first time...*” – taki napis na pasku znajduje się w filmie ukazującym Maję w schronisku i zachęcającym do adoptowania zwierząt. W innym poście na Instagramie czytamy: „Jeśli mnie choć troszkę lubicie, jeśli was choć troszkę inspiruję to tutaj możecie kliknąć, możecie mi postawić wirtualną kawę »INKE« ;) i będzie mi ogromnie miło. Kocham Was, że jesteście”. Klikam w link do serwisu BuyCoffee.to (gdzie można wspierać finansowo twórców), a tam kolejny tekst napisany w imieniu dziewięciolatki: „Chciałabym pokazać moim kolegom i koleżankom, że ciężką pracą spełniają się nasze marzenia. W tym wieku (...) można zostać modelką/modelą, aktorką/aktorem czy tancerką/tancerzem, a może jeszcze kimś innym i mieć z tego dużą satysfakcję”.

Dziewczynka ma też stronę internetową z imieniem i nazwiskiem w domenie oraz treścią napisaną po angielsku w pierwszej osobie. Wysyłam kilka pytań na podany adres e-mail; odpisuje jej matka, która informuje, że profil na Instagramie prowadzą rodzice, część fil-

mów jest nagrywana spontanicznie, a inne mają scenariusz tworzony przez dorosłych, ale zatwierdzany przez Maję. Dziewczynka może usunąć albo zmienić zdania, których nie chce wypowiadać, oraz zgłaszać swoje pomysły na scenariusze. Usunięty film to zaś nie reklama, lecz „swobodna wypowiedź o biżuterii Apart, którą Maja dostała na urodziny i chciała się nią pochwalić”. Pieniądze zarabiane przez dziewczynkę są przeznaczane na „jej rozwój osobisty, szkolenia, wizerunek, podróże zagraniczne”.

Dziecko szkoli nauczycieli

Rodzice innego zarabiającego w internecie dziecka, którego dane (imię, nazwisko, wizerunek, adres szkoły) są publicznie znane, nie chcieli rozmawiać z „Tygodnikiem”. Filip jest uczniem 8 klasy podstawówki i swoją działalność prowadzi osobiście. Szkoli nauczycieli oraz tworzy i prowadzi realizowane przez nich ogólnopolskie projekty edukacyjne. Pomaga mu ChatGPT. Patronat nad jednym z projektów („Wspólnie mocniejsi – uczymy się przez integrację”) objął w tym roku Rzecznik Praw Dziecka. Pracownicy biura RPD nie odpowiadają jednak na pytanie, czy udzielając patronatu wiedzieli, że Filip jest dzieckiem.

– Rozmawiałam z Filipem parę lat temu, gdy zaczynał swoją działalność szkoleniową – mówi nauczycielka, która od początku z niepokojem obserwuje internetową aktywność chłopca. – Podczas pandemii przychodził na przeznaczone dla nauczycieli szkolenia online i brał w nich udział jako uczestnik. Było to trochę dziwne, ale nie widzieliśmy w tym niczego złego. Jednak szybko sam zaczął organizować szkolenia i sprzedawać nauczycielom materiały edukacyjne. Prosiłam go, żeby tego nie robił, tylko zajął się własną edukacją. I żeby nie używał logotypów bez wiedzy i zgody właścicieli. Loga mojej firmy użył bez pytania.

W tym roku patronat nad projektem Filipa „Wspólnie mocniejsi” oprócz RPD objęło m.in. wydawnictwo MAC Edukacja (wiedząc, kim jest organizator) i czasopismo „Bliżej przedszkola” (nie mając tej wiedzy). Jednego logotypu (lokalnego serwisu) chłopiec użył bez zgody. Zapytał, ale najwyraźniej wstępne zainteresowanie patronatem zrozumiał jako ostateczną decyzję. Ma prawo, jest dzieckiem. Gdzie są jednak dorośli? Informacji ➔

→ o rodzicach ani innych dorosłych nie ma w materiałach projektu. Jeśli go współtworzą, to z ukrycia.

Patronat nad zeszłoroczną edycją projektu (Filip prowadzi go po raz drugi) też objęły poważne podmioty: Ośrodek Rozwoju Edukacji, Ośrodek Doskonalenia Nauczycieli im. Fryderyka Froebela, fundacja Dbam o Mój Zasięg i TVP ABC. Niektóre z nich nie wiedziały, że jego organizatorem jest uczeń podstawówki, i wycofały swoje wsparcie, gdy tylko uzyskały tę informację. Żaden z nich nie ponowił patronatu w tym roku. Przedstawiciel jednej z instytucji rozmawiał z chłopcem, starając się przekonać go do rezygnacji z projektu, i poinformował uczestników o wieku organizatora. Nikt jednak nie skontaktował się ze szkołą.

Świetne zadania

Dyrektorka szkoły przyznaje, że o projekcie „Wspólnie mocniejsi” słyszała, ale szkoła nie bierze w nim udziału. Powód? Wątpliwa wartość merytoryczna i przekonanie, że dziecko nie powinno uczyć nauczycieli. Dyrektorka zapewnia, że Filip jest dobrym uczniem, zaangażowanym w życie szkoły, a jego rodzice mówili jej, że wiedzą o pozaszkolnej działalności chłopca. O żadnych związanych z nią kontrowersjach nie ma pojęcia.

Nie wie też, że chłopiec sprzedaje nauczycielom materiały edukacyjne, że podaje się za pedagoga lub organizację edukacyjną w serwisach służących dzieleniu się pomocami dydaktycznymi (także odpłatnie), i że scenariusze zajęć w projekcie „Wspólnie mocniejsi” tworzyła sztuczna inteligencja. Zresztą, Filip tego nie ukrywa – pisze, że „materiały wygenerowane przez AI stanowiły źródło inspiracji lub zostały poddane modyfikacji, co stanowiło opracowanie unikalnych treści”. Szkoła nie ma również świadomości, iż nie jest to jedyny ogólnopolski projekt edukacyjny realizowany przez Centrum Innowacyjnej Edukacji Interesting Lesson, czyli nieistniejący

Filip z 8 klasy podczas pandemii uczestniczył w szkoleniach dla nauczycieli, co już było trochę dziwne.

Potem sam zaczął je **organizować i sprzedawać pedagogom materiały edukacyjne.**

podmiot niekiedy określany przez Filipa mianem firmy.

Zapytałam uczestników projektu – nauczycieli na wspólnym czacie w facebookowej grupie projektu, gdzie zadają oni pytania chłopcu (np. czy można realizować projekt na zajęciach rewalidacyjnych z jednym dzieckiem) – czy wiedzą, że jego organizator jest uczniem podstawówki. Kilka osób (z ok. 700) odpowiedziało, że wie; kilka – że właśnie się dowiedziało, podziwia chłopca i gratuluje mu; dwie – że nie. Kilka osób opuściło grupę.

Na pytania: „czy zastanawiali się Państwo, jak cała ta sytuacja może wpłynąć na Filipa? Czy prowadzenie ogólnopolskiego projektu edukacyjnego jest dla niego dobre? Czy taka swego rodzaju zamiana ról pozytywnie wpływa na jego rozwój? Czy zastanawiali się Państwo, czy Filip robi to wszystko całkiem sam, czy z rodzicami albo nauczycielami w szkole?” – nie odpowiedział nikt. „Bardziej zastanawia mnie Pani postawa” – napisała nauczycielka, która chce realizować ten projekt jako innowację pedagogiczną.

„Zadania są świetne, moja klasa zrealizowała już jedno i nie mogą się doczekać kolejnych” – napisała następnie nauczycielka, która wcześniej ubolewała, że w tej edycji trzeba zrealizować aż 8 zadań (a nie 3, jak rok temu), by otrzymać certyfikat. Przeglądałam te wygenerowane przez ChatGPT scenariusze i zastanawiam się, czy ktoś z uczestników wybrał zadanie polegające na zorganizowaniu wycieczki w miejsce opisane jako „Miejsce o różnorodności kulturowej (np. lokalne centrum kultury, dzielnica wielokulturowa)”. Plan tej lekcji: wprowadzenie (zbiórka w szkole, rozdanie map – 10 minut), przejazd do miejscowości (au-



tobus, tramwaj, pieszo – 20 minut), spotkanie z mieszkańcami (40 minut), zwiedzanie ważnych punktów kulturowych (np. świątyn, restauracji, sklepów etnicznych – 20 minut), powrót do szkoły i podsumowanie (30 minut). To w sumie dwie godziny, ale zadanie ma być wykonane w ciągu 90 minut.

Filip informuje, że w zeszłym roku szkolnym w projekcie wzięło udział 1300 nauczycieli i ponad 19 tys. uczniów, a 900 szkół i przedszkoli otrzymało certyfikaty. W tym roku chłopiec prowadzi też projekt „Poznajemy świat emocji”, który „ma na celu wsparcie dzieci w nauce o emocjach, rozwijanie ich umiejętności społecznych i promowanie zdrowia psychicznego poprzez różnorodne, dostosowane do wieku aktywności”.

Wzruszony poseł

„Postanowiłem nie zakrywać twarzy, ani danych chłopca. On sam tego nie chce. Postanowiłem pomóc, zebrać na czynsz, na jedzenie, na prąd, gaz itd. Na odbicie się od dna. 15 lat, Mały Bohaterze, będą z Ciebie ludzie” – napisał poseł Nowej Lewicy Łukasz Litewka pod opublikowanym przez niego na Facebooku i w serwisie zrzutka.pl listem z prośbą o pomoc w wyjściu z bezdomności. Litewka upublicznił imię, nazwisko i zdjęcie nastolatka podpisanego jako autor prośby,



DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA” co tydzień są gośćmi Roberta Łuchniaka w Polskim Radiu RDC.

Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
Płock 101,9 FM



Casting dla dzieci do występu w reklamie jednej z sieci odzieżowych, Centrum Handlowe Arkadia, Warszawa, kwiecień 2015 r.

a potem także fotografię jego świadectwa wraz z danymi szkoły. „Przeczytałem rano tego maila i następnie czytałem go kolejny raz i kolejny i kolejny. I nie wiedziałem co powiedzieć i wzruszam się za każdym razem, gdy go czytam” [pisownia oryginalna] – dodał Litewka w opisie zbiórki pieniędzy dla Pawła. Nie napisał, czy (a jeśli tak, to w jaki sposób) zweryfikował prawdziwość historii wzorowego ucznia, który od kilku lat żyje rzekomo wraz z matką bez dachu nad głową.

Ponad 16 tysięcy osób nie potrzebowało jednak żadnego potwierdzenia i wpłaciło w sumie 732 570 zł dla zdolnego bezdomnego chłopca. Żadna z tych osób nie zawiadomiła MOPS-u ani sądu rodzinnego (zrobił to RPD). Wiele z nich w komentarzach na Facebooku wyrażało oburzenie ślepotą szkoły, zwłaszcza gdy w jednym z (siedmiu) postów poświęconych tej zbiórce Litewka napisał, że już po uruchomieniu zrzutki zadzwonił do szkoły Pawła. „To nie była najmilsza rozmowa, ale zostawmy to. Panie podejrzewały, że ktoś na chłopca chce wyłudzić pieniądze. Nigdy nie dostrzegli problemu, ale to ich problem”.

Z ustaleń Moniki Waluś z Onetu wynika jednak, że szkoła nie dostrzegła problemu, ponieważ go nie było. Waluś rozmawiała też z pracownikami MOPS-u, którzy mieli kontakt z Pawłem i jego

matką po rozpoczęciu zbiórki, a także z bezdomnymi i ochroniarzami na dworcu, na którym rodzina miała sypiać (ale nikt jej tam nie widział). I oczywiście z Litewką, który zapewniał, że historia jest prawdziwa. Tylko z Pawłem ani jego matką nie rozmawiała, ponieważ Litewka twierdzi, że nie chcą kontaktować się z żadnymi mediami.

Zapytałam Litewkę, czy przed uruchomieniem zrzutki podjął jakieś działania w celu zweryfikowania historii opisaną w mailu i ustalenia, czy jego autorem na pewno jest Paweł. Wysłałam pytania na adres sejmowy posła i na adres jego fundacji Team Litewka (organizatora zbiórki). Nie otrzymałam odpowiedzi mimo przypomnień i prośb wysyłanych również na oficjalny numer telefonu organizacji. Po jedenastu dniach zadzwoniłam na prywatny numer Litewki. Usłyszałam, że poseł rozmawiał z Pawłem, jego mamą i szkołą. Gdy dopytałam, czy te rozmowy odbyły się przed uruchomieniem zrzutki, Litewka powtórzył trzykrotnie, że zrzutka została zweryfikowana w stu procentach.

Oso biście nie widział

„Z uwagi na obowiązującą nas jako krajową instytucję płatniczą tajemnicę zawodową dostawcy usług płatniczych (...) nie możemy przekazać Pani szczegóło-

wych informacji na temat procesu weryfikacji zbiorok organizowanych przez Pana Łukasza Litewkę ani Fundację Team Litewka” – odpowiedział na to samo pytanie serwis zrzutka.pl. Zapewniono mnie zarazem, że każda zrzutka, „której saldo przekroczy 20000 zł, podlega obowiązkowej weryfikacji”, która odbywa się „zawsze w sposób skrupulatny i dokładny”.

Zapytałam też o inne zbiórki organizowane od lat przez polityka znanego z działalności charytatywnej, ponieważ nie tylko ta budzi wątpliwości, a Litewce zdarzało się już organizować zrzutki bez konsultacji z beneficjentami. Na przykład dwa lata temu – jako radny z Sosnowca – zebrał ponad 15 tys. zł dla starszej pani Stefanii, która prosiła o pieniądze na ulicy i której Litewka osobiście nie widział („Nie było mnie na miejscu, to zgłoszenie od zaufanej osoby”). Następnego dnia pojechał do niej i wręczył 500 zł („Czemu taka kwota? To trochę test, pieniądze są bezpieczne, chcę upewnić się, że Pani Stefania wykupi za nie leki. Następnie będę dawkował kwoty, systematycznie i sumiennie”). Poseł twierdzi, że poprosił panią Stefanię, by już nie zebrała, ale ona go nie posłuchała. Darczyńca wycofał się więc z obietnicy pomocy. Kilka dni później spotkał się z rodziną beneficjentki i napisał na Facebooku, że „rodzina oraz Pani Stefania rzeka się całości zebranej kwoty”.

Pieniądże z tej zrzutki nie zostały jednak zwrócone wpłacającym. Litewka napisał na Facebooku, że przekaze je na prezenty dla seniorów w Domach Spokojnej Starości, i wpłacił 15 tys. zł na założoną w tym celu swoją kolejną zrzutkę. Zbiórka pieniędzy dla pani Stefanii – przez jakiś czas wyłączona – obecnie znów jednak działa (wbrew regulaminowi serwisu, który wymaga zgody beneficjenta).

Przekazałam złotówkę. Ciekawe, do kogo trafi.

Pieniądże dla Pawła nie można obecnie wpłacać. Te, które zostały zebrane, mają być dawkowane, systematycznie i sumiennie, na wynajem mieszkania i kieszonkowe dla chłopca. „W wieku 18 lat odwiedzimy Pawła i przekazemy resztę kwoty” – twierdzi Litewka, a dorośli, którzy uwierzyli w historię bezdomnego dziecka, wierzą też w tę obietnicę.

© ANNA GOLUS

Imiona dzieci zostały zmienione.



KANCEROGENNY WPŁYW ALKOHOLU

Alkohol etylowy od wieków obecny jest w kulturach na całym świecie.

W Polsce, i w innych krajach, napoje takie jak piwo, wino czy wódka bywają elementem spotkań rodzinnych, przyjacielskich i biznesowych.

Alkohol, mimo swojej popularności, posiada przede wszystkim mroczną, szkodliwą stronę. Spożywanie napojów alkoholowych prowadzi do licznych problemów zdrowotnych, społecznych i ekonomicznych. Przewlekłe picie alkoholu jest związane z rozwojem wielu poważnych schorzeń, w tym chorób wątroby (m.in. marskości wątroby), nadciśnienia, chorób serca, udaru mózgu oraz zaburzeń psychicznych. Zarówno chroniczne, jak i jednorazowe spożycie etanolu zwiększa ryzyko uzależnienia, które może prowadzić do przedwczesnego zgonu. W związku z rosnącą świadomością na temat zdrowia, coraz więcej specjalistów zwraca uwagę na zagrożenia wynikające z konsumpcji alkoholu, w tym na jego udowodnione silne działanie rakotwórcze. Liczne badania naukowe wymieniają etanol w czołówce czynników zwiększających ryzyko zachorowania na przynajmniej siedem nowotworów złośliwych.

Jedno z największych badań kohortowych EPIC [1], obejmujące ponad 500 tys. uczestników, wykazało, że regularne spożycie alkoholu jest związane ze spotęgowaną zapadalnością na raka jelita grubego, piersi, jamy ustnej, gardła, przełyku, krtani i wątroby. Z kolei w innym, szerokim badaniu Million Women Study [2], z udziałem 1,3 mln kobiet w Wielkiej Brytanii, od-

notowano, że regularne spożycie od jednej do dwóch porcji alkoholu dziennie (1 porcja = 10 g / 12,5 ml etanolu) znacząco podnosi ryzyko raka piersi i innych nowotworów w porównaniu z zachorowalnością par, które nie spożywały go w ogóle. Istnieje wiele badań naukowych, które potwierdzają te zależności. Okazuje się, że nawet umiarkowane spożycie alkoholu przyczynia się do wystąpienia kilku typów nowotworów.

Mechanizmy kancerogennego działania alkoholu są wielokierunkowe. Spożywanie napojów alkoholowych uruchamia w organizmie szereg zdrowotnie niepożądanych procesów, w tym produkcję silnie rakotwórczego metabolitu aldehydu octowego. Substancja ta uszkadza DNA, co może prowadzić do mutacji i rozwoju komórek nowotworowych. Dodatkowo metabolizm alkoholu powoduje nadmierne wytwarzanie wolnych rodników, zwiększających stres oksydacyjny w ustroju, a to z kolei może prowadzić do uszkodzeń w obrębie błony komórkowej i powstawania zmian nowotworowych. Spożywanie alkoholu również wpływa na układ hormonalny, m.in. prowadząc do dominacji estrogenowej, którą często wiąże się ze wzrostem ryzyka rozwoju raka piersi u kobiet. Ponadto alkohol upośledza funkcjonowanie układu odpornościowego, co utrudnia organizmowi walkę z nowopowstającymi komórkami rakowymi.

Opisane wyżej mechanizmy działania to raptem kilka przykładów dowodzących toksyczności alkoholu.

Zarówno Światowa Organizacja Zdrowia (WHO), jak i Międzynarodowa Agencja Badań nad Rakiem (IARC) głośno apelują, aby znacząco zminimalizować albo najlepiej całkowicie wykluczyć konsumpcję popularnych napojów nisko- oraz wysokoprocentowych i położyć nacisk na edukację w zakresie zdrowego stylu życia. Tutaj warto nadmienić, że Polska znajduje się na drugim miejscu, tuż za Słowenią, jako państwo w Europie o największej umieralności z powodu spożycia alkoholu. W naszym kraju rocznie odnotowuje się blisko 100 tys. zgonów powiązanych z konsumpcją tej używki. Z danych wynika, że alkohol jest czynnikiem ryzyka w około 4–5% wszystkich przypadków nowotworów w Polsce. Przekłada się to na szacunkowo 4–5 tys. zgonów w ciągu roku. Wiele opracowań jasno sugeruje, że alkohol w połączeniu z np. paleniem papierosów, złą dietą i brakiem aktywności fizycznej staje się bardziej agresywny i wzmacnia swój kancerogeny potencjał. Statystyki są zatrważające, ale warto wyciągnąć z nich coś dobrego i zacząć zmieniać swoje nawyki.

Jak możemy uchronić się przed zwiększonym ryzykiem rozwoju nowotworów? Mianowicie, profilaktykę powinno się rozpocząć od całkowitego zaprzestania spożywania alkoholu pod każdą postacią. Nie istnieje bowiem żadna bezpieczna dawka alkoholu. Niezależnie, czy trunek, który wybieramy, jest nisko- bądź wysokoprocentowy, to nadal stanowi on źródło tej niebezpiecznej substancji. Nie powinny nas przekonywać informacje, że w piwie znajdują się witaminy z grupy B, a wino zawiera antyoksydanty, m.in. resweratrol, i dlatego napoje te mogą znajdować się w naszej codziennej diecie. Jest to błędne myślenie, chyba że wybierzemy piwo w formie bezalkoholowej. W Polsce rynek napojów bez dodatku alkoholu prężnie się rozwija, co stanowi dobrą alternatywę dla uświetnienia imprez czy spotkań towarzyskich. Zawsze jednak należy pamiętać, że najlepszym wyborem spośród płynów jest woda i to ona stanowi jeden z najistotniejszych elementów zdrowej diety.

Oczywiście, alkohol to tylko jeden z wielu czynników ryzyka chorób nowotworowych. Profilaktykę warto rozpocząć od zmiany stylu życia. Abstynencja alkoholowa powinna być pierwszym krokiem w profilaktyce przeciwnowotworowej, ale również aktywność fizyczna, dobrej jakości sen, ograniczenie stresu i przede wszystkim zdrowa dieta stanowią szczególnie istotne jej części. Czy istnieje magiczny sposób na ochronę przed rakiem? Nie, ale wprowadzając modyfikacje w naszych codziennych nawykach, możemy znacznie zminimalizować ryzyko rozwoju nowotworów. Wbrew pozorom profilaktyka chorób nowotworowych nie jest taka trudna, wystarczy wstać z kanapy i pójść na spacer. Codzienna aktywność fizyczna wzmacnia odporność, reguluje pracę hormonów, poprawia metabolizm, redukuje poziom stresu. Jak donoszą badania naukowe, regularne ćwiczenia zmniejszają ryzyko raka piersi

o około 20–30%, a raka jelita grubego o 30–40%! WHO zaleca co najmniej 150 minut ruchu w tygodniu.

Jeden z najistotniejszych elementów profilaktyki nowotworów stanowi dieta. To, w jaki sposób odżywiamy swoje ciało, wpływa na procesy naprawcze zachodzące w organizmie. Wysoko przetworzona żywność przyczynia się do uszkodzeń w obrębie naszego DNA, z kolei bogato odżywcza dieta chroni nasze komórki przed zniszczeniami i nowotworzeniem. Zdrowe nawyki żywieniowe mogą znacząco obniżyć ryzyko zachorowania na różne typy nowotworów. Naukowcy od lat pochylają się nad składnikami diety, które wykazują działanie przeciwnowotworowe. Na szczególną uwagę zasługują warzywa kapustne (brokuł, kapusta, brukselka), będące źródłem wielu cennych związków istotnych dla ochrony przed nowotworami, a są to m.in. witamina C, błonnik, glukozynolany (sulforafan), foliany czy karotenoidy. Oprócz nich codzienną dietę warto wzbogacać o ciemne owoce (antocyjany), czosnek (allicyna), oliwę z oliwek (kwasy tłuszczowe omega-3), pomidory (likopen), zieloną herbatę (katechiny). Liczne opracowania naukowe donoszą, że jednym z najlepszych modeli żywieniowych chroniących przed rozwojem raka jest dieta śródziemnomorska, która oprócz obecności wyżej wymienionych produktów zakłada znaczne ograniczenie spożycia alkoholu.

Znając mechanizmy, które stoją za rozwojem nowotworów, warto zastanowić się dwa razy, zanim sięgniemy po napój alkoholowy. W tym miejscu należy jeszcze raz podkreślić, że alkohol to silna trucizna, więc najlepszym rozwiązaniem jest jego całkowita eliminacja. Mamy wpływ na nasze zdrowie i każdego dnia powinniśmy dokonywać dobrych wyborów, aby ochronić je przed niechcianym gościem, jakim jest choroba nowotworowa.

©

Bibliografia:

1. Riboli E., Hunt K.J., et al., „European Prospective Investigation into Cancer and Nutrition (EPIC): study populations and data collection”; 2002
2. Beral V. Million Women Study Collaborators, „Breast cancer and hormone-replacement therapy in the Million Women Study”; 2003

Więcej użytecznych informacji na temat profilaktyki nowotworowej i wpływu alkoholu na zdrowie znajduje się na stronach:

www.planujedlugiezycie.pl
www.kampanianazdrowie.pl
www.kcpu.gov.pl



Mgr **Dominika Murat-Zagórska**
 – dietetyk kliniczny, absolwentka Wydziału Nauki o Zdrowiu Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. Specjalistka w zakresie odżywiania w chorobach dietozależnych, zaburzeniach gospodarki węglowodanowej i hormonalnej.



TOMASZ PIETRZYK / AGENCIA WYBORCZA.PL

Urszula Koziół. Wrocław, 21 sierpnia 2024 r.

KIEDY POETKA JEST

Zawsze budziła we mnie szczególny rodzaj respektu, jaki przypisujemy gigantom literatury, otoczonym nimbem jakiejś niby to zamierzchłej, lecz nadal rezonującej świetności.

BARTOSZ SADULSKI

Gdy w połowie pierwszej dekady tego stulecia przeprowadzałem się na studia do Wrocławia, niewątpliwie było to jeszcze miasto poetów. Tadeusz Różewicz przywożony zbyt długim, w jego mniemaniu natarczywym spojrzeniem, potrafił gwałtownie wstać i wysiąść z tramwaju, na nieswoim przystanku, uciekając przed szalonym stalkerem. Janusz Styczeń z wytrwałością Syzyfa krążył między placem Grunwaldzkim, w okolicach którego mieszkał, a Empikiem na Rynku, zawsze w grubych okularach i marynarce pamiętającej libacje z Rafałem Wojaczkiem. Gdyby nie dzierzona dzielnie przez Stycznia reklamówka, można by go pomylić z Maksem Frischem. Tomasz Majeran po opublikowaniu „Kotów. Podręcznika użytkownika” wydawał się najlepszym poetą w Polsce, ale przecież była jeszcze ona, Urszula Koziół, którą czytałem być może najszybciej z nich wszystkich.

Outsiderka z Odry

Wybór jej wierszy wydanych przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą w serii z portretami poetów w barwach spranej tęczy i tylko ich nazwiskiem na okładce jakimś cudem znalazł się na półce w jednej z klas brzeskiego liceum, do którego chodziłem. Koziół kurzyła się w towarzystwie „Poezji wybranych” Rimbauda i nie sądzę, żeby ktokolwiek miał mi za złe bezceremonialne przywłaszczenie książkowego mienia.

We wstępie do wspomnianego zbioru wierszy z 1985 r. Koziół napisała: „W tym, co robię, to znaczy w swoim pisaniu, czuję się od dawna outsiderem”. I rzeczywiście, nawet dla nas, najgorszego gatunku człowieka piszącego, czyli młodych poetów, wrocławska autorka pozostawała poza zasięgiem zainteresowania, czyli sztycherstwa. Starych mistrzów traktowaliśmy brutalnie, zrzucałiśmy ich z cokołów z gracją rozbewziewionych rewolucjonistów.

Odgrywaliśmy urągliwe pantomimy do wierszy Stycznia, zwłaszcza „Zranionego pingwina”, doskonałego skryptu do młodocianych występów, pastwiliśmy się nad Konopnicką w trakcie niekończącej się domówki z dwójką przyjaciół, dzisiaj znakomitych krytyków, późne tomy Różewicza wywoływały w nas ciarki wstydu, a Szymborską postrzegaliśmy jak najgorszego z wrogów.

Wśród ofiar nie było jednak Koziół, która wymykała się naszym szczeniackim zabawom, jakby jednocześnie zbyt wielka i bliska, żeby ją złośliwie kąsać. Z największym zdziwieniem i rosnącym podziwem oglądaliśmy nagrany tosterem film z festiwalu poetyckiego w Medellin w 2002 r., na którym Koziół powoli i spokojnie czyta jeden ze swoich wierszy dla setek siedzących w totalnej ciszy, zahipnotyzowanych, słuchaczy. Nie mogliśmy uwierzyć, że to ta sama niepozorna Urszula, którą spotykaliśmy na wrocławskim Rynku, gdy z roku na rok coraz wolniej pędziła do siedziby „Odry”, w której publikuje od samego początku jej istnienia.

Antyk z Wrocławia

Tam ją poznałem, gdy wspólnie z Przemysławem Witkowskim redagowaliśmy młodoliteracki dodatek „8. Arkusz Odry” w którym nadal, już w nieco bardziej eleganckim stylu, staraliśmy się podgryzać starszyzną. Nie wiem, co o tym myślała, ale za każdym razem, kiedy wchodziłem na piętro, liczyłem, że ją spotkam. Była dla mnie jak literacka babcia, która przy herba-

cie i suchych ciasteczkach, dla których z trudem znajdowało się miejsce na jej zawalonym papierami, gazetami i książkami biurku, zamiast historii wojennych opowiada historię literatury powojennej, której – mimo bycia outsiderem – pozostawała przecież ważną częścią: lista nagród, jakie otrzymała, jest dłuższa od jej bibliografii.

Spijałem z jej ust historie o Iwaszkiewiczu, Grochowiaku czy Karpowiczu, dziwiąc się, że świat o niej zapomniał, że mimo regularnie otrzymywanych wyróżnień postrzegano ją co najwyżej jako „przyjaciółkę Szymborskiej”, literacki antyk z Wrocławia, zwożony do stolicy raz w roku, przy okazji kolejnego bankietu, do którego przyklejono jakąś nagrodę.

To także nasza wina, jako młodzi poeci nie obraliśmy sobie Koziół za patronkę, nie miała akolitów i epigonów, ale też zaciekle artystycznych przeciwników, którzy przecież w takim samym stopniu potrafili podtrzymywać pisarską legendę. Przechodni tytuł nestorki polskiej poezji, pierwszej damy, tudzież, jak to napisał Janusz Drzewucki w recenzji „Znikopisu”, „najstarszej żyjącej i tworzącej w dzisiejszej Polsce poetki”, zdawał się wciąż zajęty niczym brytyjski tron: przez Szymborską, Hartwig czy rok młodszą Miłobędzką, której znacznie bardziej sprzyjały krytyka i środowisko. Do tego stopnia, że nawet jej wiersze w trakcie warsztatów Biura Literackiego padły ofiarą niewysublimowanej parodii uczestników. Koziół nadal pozostawała poza zasięgiem naszych zainteresowań.

Coś zaczęło się zmieniać na początku poprzedniej dekady, kiedy uhonorowano ją nagrodą Silesius za całokształt – jej wiersze zebrane w monumentalnym tomie „Fuga” zdawały mi się już wtedy tytanicznym, niekończącym się wystąpieniem przeciwko śmierci. A było to rok po odejściu jej męża, tłumacza i wydawcy Feliksa Przybyłaka. Pamiętam, że dzień pogrzebu był jak na czerwiec chłodny i mroczny, niebo miało kolor brudnej kałuży i obiecywało wyłącznie zagładę. Nie znalazłem w sobie dość odwagi, żeby pójść na cmentarz przy kościele św. Wawrzyńca we Wrocławiu.

Pamięć i porządek

Kiedy odwiedziłem Urszulę pół roku później, na początku 2011 r., uprawiała już specyficzny rodzaj książkowej alokacji, potlacz starych ludzi. Sama otrzymała od Wisławy Szymborskiej należący do jej wieloletniego partnera, Kornela Filipowicza, przycisk do papieru. Znalazł się na jednej z okładek „Odry”, a w 2019 r. planowała przekazać go Fundacji Szymborskiej. Prezenty od wrocławskiej poetki służyły podtrzymywaniu pamięci o Przybyłaku: obdarowała mnie tomami Paula Celana w jego przekładach, nie jakby się żegnała, ale ofiarowała klucz do swojej przyszłej poezji.

Otwieram cieniutki „Wybór poezji” z 1973 r. i znajduję dwuwiersz: „Niegdyś, śmierć miała do ciebie dopływ, / twój schron był we mnie”. Te słowa wracają przy lekturze pierwszej książki Koziół wydanej po śmierci partnera, czyli „Klangoru” opublikowanego w 2014 r., gdzie z fraz takich jak „Niosę cię w sobie / jakbyś się schronił tu / przed niepamięcią” zbudowała poetycki nagrobek, epitaforum dla Przybyłaka, czy raczej „Felka”, jak o nim z czułością mówiła. Za książkę otrzymuje Warszawską Nagrodę Literacką, a świat sobie znowu na chwilę przypomina, że Koziół istnieje.

→ W tamtym momencie zaczyna mi chodzić po głowie pomysł, żeby uratować jak najwięcej z jej życia i czytania, bo powoli zaczyna „gubić przejrzystość zdania”, jak to sama określiła w rozmowie z Jarosławem Mikołajewskim. Chciałbym z nią zrobić wywiad rzekę, zachować jak najwięcej z jej wspomnień, ale bardziej się jednak wstydzę i boję odmowy, niż szturmuję.

Chodzi być może o to, że zawsze budziła we mnie szczególny rodzaj respektu, jaki przypisujemy gigantom literatury, otoczonym nimbem jakiejś niby to zamierzchłej, lecz nadal rezonującej świetności. Dodatkowo Koziół do tego stopnia jest wycofaną osobą, że kiedy w redakcji „Odry” pojawili się doktoranci Uniwersytetu Wrocławskiego i zapytali, jak mogą skontaktować się z Urszulą Koziół, odpowiedziała „No, ja nie wiem, ja tu tylko robię porządek”.

Mnie jednak nie unika, może widzi we mnie jakąś formę fantomowego wnuka, bo poetą byłem jednak przeciętnym. Rozmawia nam się na tyle dobrze, że prosi, żebym przed kolejną rozmową przeczytał jej prozę. Dostaję „Postoje pamięci” i robią na mnie większe wrażenie, niż jej poezja z lat 70. Ta wydana w 1964 r. autobiograficzna historia o powojennym dorastaniu w prowincjonalnym miasteczku, łagodnie wpisująca się w chłopski nurt polskiej prozy, uderza precyzyjnością i surowością, jakie rzadko charakteryzują pierwsze książki poetów.

Ostatecznie jednak nigdy o niej nie porozmawialiśmy, nasze herbaciane pogawędki meandrowały, rozmyślały się, traciły strukturę, upewniając mnie tylko w przekonaniu, że rozmowa z poetką to doświadczenie, a nie tekst. Martwiłem się, że zostawało nam coraz mniej czasu, ale z drugiej strony liczyłem, że dopóki moja o dwa lata starsza od Koziół babcia jest w formie, to czasu nam nie zabraknie. Wydawały mi się zawsze bytami równoległymi. Nieco ponad miesiąc przed Nike za „Raptularz” babcia skończyła 95 lat. Lubię sobie wyobrażać świat, w którym zamiast opowiadać historie o życiu za Bugiem pisze szalone powieści.

Sekundy życia

W lutym 2015 r. Koziół opowiada mi, jak została zatrzymana przez straż miejską za przechodzenie na czerwonym świetle koło dworca głównego we Wrocławiu, w miejscu, w którym każdy mieszkaniowiec miasta przynajmniej raz złamał przepisy: „Zostały mi sekundy życia, w każdej chwili mogę umrzeć, więc nie mam czasu na stanie na czerwonym świetle. Proszę o dowód, mówię, że nie mam, bo nie ma obowiązku nosić. Pytają o nazwisko, mówię, że nie pamiętam, mam przecież prawo zapomnieć w swoim wieku. W końcu pytają, gdzie mieszkam. Odpowiadam, że nie wiem, bo chodzę na autopilocie, jak koń”.

Te „sekundy życia” nieco mnie paraliżują, ale pamiętam, że o odchodzeniu pisała w swoich wierszach bardzo wczesnie. W poincieniu poematu „O sobie samej dla potomności” z doskonałego tomu „Żalnik” napisała: „Jeszcze przez chwilę jestem / choć

URSZULA KOZIÓŁ

jest poetką, prozaiczką oraz autorką dramatów, w tym również inscenizacji dla dzieci. Pracowała jako nauczycielka i redaktorka pism literackich. Kilkanaście dni temu odebrała Nagrodę Literacką Nike za tom poezji „Raptularz”, będący, jak uzasadniono w laudacji, wypowiedzeniem i doświadczeniem wielu wątków obecnych w całej twórczości autorki, zaliczanej do tzw. pokolenia „Współczesności”.

się ciężarem lat już niebezpiecznie przechylam / w stronę / którą mnie bliskie jutro strąci do przeszłości”. „Styl późny”, jak to określał Said, w wypadku Koziół za inaugurował się dawno temu.

Chwila, kiedy poetka jest, szczęśliwie wciąż trwa. Dla wrocławskiej „Gazety Wyborczej” udaje mi się z nią porozmawiać. Okazja jest błaha i tandetna, walentynkowa, ale w rozmowie, która miała być o miłości, dotykamy czegoś delikatnego i efemerycznego, co Koziół będzie próbowała uchwycić w kolejnych tomach wierszy. Być może istnieje spektrum wiedzy i świata, które dostępne jest tylko starym poetom, co pewnie miał na myśli przewodniczący jury tegorocznej Nagrody Nike Krzysztof Siwczyk, kiedy nazywał poetkę „posłańcem z przyszłości”.

W rozmowie sprzed lat, wytrącona z równowagi wrocławską inscenizacją „Eugeniusza Oniegina”, w której to, co delikatne i kruche, zostało zmarnowane, z naturalną erudycją opowiadała o dramacie Oniegina, Bachu, Kochanowskim, Odyseuszu i Owidiuszu. Miałem wówczas poczucie, że słucham rzeczywiście kogoś z innego czasu, a Koziół jawiła mi się jako ostatni literacki matuzalek.

Poczułem, że mi się wymyka, gdy w połowie miesiąca oznajmia mi, że wyjeżdża na stypendium do Francji. Jest umiarkowanie zadowolona, będzie rezydowała w dawnym klasztorze na północy kraju. Wiatr, izolacja i wielka cisza. Zastanawia się, co będzie tam robiła.

– Chyba mogłabym napisać kryminał – stwierdza.

– Ale kogo by pani zabiła?

– Jak to kogo? Pracowników Taurona.

Urszulka

Niedługo później wyjechałem na stałe z Wrocławia, ale nie przestałem myśleć o Urszulce, jak ją czule nazywały dziewczyny z redakcji „Odry”. I nie potrafiłem o niej myśleć źle nawet po kuriozalnym liście, jaki napisała w obronie skazanego pedofila Henryka Gulbinowicza, który w trakcie bierzmowania wytargał mnie za ucho i nazwał bezbożnikiem, co uznaję za symboliczny koniec mojej przygody z Kościołem.

Na szczęście, jak pisała Koziół w jednym z wierszy, „Śmierć Boga nie przeszkadza dojrzewać poziomem”. Nie umiałem być rozczarowany ani oburzony jej listem, bo pamiętam zaangażowanie poetki w obronie konstytucji, wolnych sądów i klimatu; może dzięki temu moralnemu wybrykowi stała mi się nieco bliższa, bardziej ludzka z tą nieładną skazą, a w ocenie i publicznym postrzeganiu Gulbinowicza nie zmieniło to zgoła nic.

Ucieszyłem się, że Nike wręczyło sobie Koziół, dodając sobie tym samym powagi. W odchodzeniu i żegnaniu się ze światem poetki, tak mocno udokumentowanym w ostatnich tomach, jest rodzaj poetyckiej prawdy i smutnego piękna, które prosiło się o ostatni snop światła. Może było nieco zbyt jasne, ale z całą pewnością zasłużone.

© BARTOSZ SADULSKI

WOJCIECH

Bonowicz: Ten uparty głos



„STARY CZŁOWIEK PRĘDZEJ DOGADA
się z wróblem / niż z bliźnim”
– tak brzmiało pierwsze zdanie
tomu „Supliki”, opublikowanego
przez Urszulę Koziół w 2005 r. Od-
tąd w jej twórczości powracać bę-
dzie temat zwątpienia, niemożno-

ści porozumienia, bycia „za burtą”. Coraz częściej pojawiać
się będą zaprzeczenia, słówka „nic”, „nikt” i „nie”, wyzna-
nia w rodzaju: „nie wiem”, „nie słyszę”, „nie mam”. „Ja” bę-
dzie się rozdawać na tę, która pisze, uczestniczy, wierzy,
i tę, która wątpi, zanika, milknie:

*Przestałam podobać się sobie
i słowom
uciekać ode mnie
chciałabym już
nie być
prawdę mówiąc
tutaj już nie ma mnie*

*„Ja” będzie się przyglądać sobie
niczym komuś obcemu, nieznanemu:*

*Tej nocy
moje ja oddaliło się ode mnie
o setki mil
w jego miejsce pojawiło się inne*

*A także:
moje ja
jest już jakby beze mnie
trzeba mi przejść z nim na „ty”
i mówić o sobie „ona”*

Ogromne wrażenie, jakie robią te wiersze – tu cytowane
jedynie we fragmentach – bierze się właśnie z owego roz-
dwojenia. Z obserwowania tej szamocącej się świadomo-
ści, która nie wie, co jeszcze do niej należy, a co już się jej
wymknęło. Nad czym panuje, a co jest poza jej kontrolą.

Przeczytajmy raz jeszcze to wyznanie: „moje ja / jest już
jakby beze mnie”. Coś mnie opuściło – coś istotnego, co
decydowało o tym, kim jestem. Czy chodzi o wolę? O to,
że wiele rzeczy ze mną dzieje się poza moim „chcę” i „nie
chcę”? Albo o ubywanie sił fizycznych, a wraz z nimi kur-

czenie się pola możliwości? Chyba nie tylko o to. Urszula
Koziół uparcie szuka języka, którym można by opisać to
paradoksalne istnienie-nieistnienie, jakim jest starość.
Kiedy człowiek uświadamia sobie, jak bardzo „nie sobą”
jest w wielu sytuacjach. Kiedy rzeczywistość nieustannie
przypomina mu, że jest go „mniej”. Kiedy myślenie coraz
częściej staje się błędzeniem – i tak dalej.

Paradoks polega na tym, że równocześnie mamy do czynie-
nia z wierszami, które porażają przenikliwością widzenia,
ostrością sformułowań. Słowa uciekają, zdradzają? Niby
tak, a jednak co jakiś czas udaje się zaprząć je do pracy,
zmusić do wysiłku nazywania, opisywania, wyrażania.
I to tego, co opisać, wyrazić najtrudniej – właśnie tej egzy-
stencjalnej niewyraźności, graniczności, tego bycia i nie-
bycia równocześnie. Kiedy udaje się znaleźć słowo, zatrzy-
mać słowo, celnie go użyć, wtedy to „mniej” już tak nie boli,
a nawet może zostać zakwestionowane:

*ja ty i ona
to wciąż jedno i to samo
ja
ni mniej ni więcej*

Mamy w poezji polskiej więcej świadectw podobnego wy-
siłku, żeby wspomnieć tylko zamknięte świadectwo Tade-
usza Różewicza czy wciąż otwarte Krystyny Miłobędzkiej.
Do nich chyba w ostatnich latach jest Urszuli Koziół naj-
bliższej. A równocześnie temperatura jej wierszy jest nieco
inna. Poetka pozwala sobie śmieiej na gesty zniecierpli-
wienia, zniechęcenia, nawet złości. Milczenie sąsiaduje tu
z krzykiem, powściągliwość z nerwowością, żal z autoiro-
nią, a nawet sarkazmem. Pisanie jest czymś, w co poetka
angażuje siebie całą; tak zresztą było zawsze:

*Jak by tu wreszcie wydukać ten wiersz
jego ciężar już mi zalega nie tylko
napięte myśli
ale nawet żołądek.*

Więc i czyta się te wiersze podobnie, niejako całym cia-
łem. Kibicując ich bohaterce. Dopingując ten żywy umysł,
który kwestionuje sam siebie, ten niemilkący, uparty głos,
który przeciwstawia się pustce. ©

Wojciech Bonowicz jest poetą i społecznikiem. Autor biografii,
rozmów rzek oraz „Dziennika pocieszenia”.



WIARA

LUDZIE WE WŁASNYM KOŚCIELE

Różnorodność to siła – mówią członkowie tworzących się oddolnie grup religijnych.
Zmagają się z pytaniami o stan Kościoła
i nie chcą być z nimi sami.

IGNACY DUDKIEWICZ



ROMAN / STOCK.ADOBE.COM

ZACZĘŁO SIĘ NA SCHODACH – MÓWI Agnieszka. Razem z mężem Adamem i synem Dominikiem wprowadzili się w zeszłym roku do nowego mieszkania w Poznaniu. Nikogo w okolicy nie znali: ona jest z innej części miasta, on – Polski. Budynek duży, mieszkań sporo, sąsiedzi mówią sobie „dzień dobry” i tyle.

W parafii dzieje się niewiele. Chodzą na mszę w większość niedziel, choć nie jest im łatwo z tym, co dzieje się w Kościele w Polsce i na świecie. Nie jest im łatwo także w tym konkretnym kościele. – Proszczę jest zamknięty, jakby zastęgl w czasie. Niczego nie zmienia, robi minimum, przy tych samych okazjach powtarza nie-

mal identyczne kazania, budynki parafialne są pozamykane – opowiada Adam. – Czasami trzeba się bardzo postarać, żeby pamiętać, że w najgłębszym sensie we mszy chodzi o co innego. Dostajemy więc Eucharystię, ale strawy w postaci Słowa tu nie uświadczysz – dodaje Agnieszka.

Rozmowa dwa razy w miesiącu

Mogliby jeździć gdzie indziej, ale z małym dzieckiem nie zawsze pozwala im na to logistyka. Są też przywiązani do idei bycia w Kościele lokalnym takim, jaki jest. Do tej pory próbowali przetrwać. Nie czuli się wystarczająco pewnie, by działać na rzecz zmiany.

A później, w styczniu 2024 r., zagadnął ich na klatce Paweł. Ma żonę Kamilę i trójkę dzieci: Hannę, Jana i Zofię.

– Jakkolwiek to zabrzmiało, postanowiłem z nimi porozmawiać, bo tylko oni i my oznaczyliśmy swoje drzwi po 6 stycznia. A w klatce jest ponad dwadzieścia mieszkań – mówi. – Przedstawiłem się, zaprosiłem na ciasto i kawę.

Agnieszka i Adam ucieszyli się, że kogoś poznali. Dominik i Jan są w podobnym wieku, co też ułatwiło wspólne spędzanie czasu. Dużo rozmawiali o dzieciach, opowiedzieli sobie, skąd są, gdzie pracują. W końcu Paweł przyznał, dlaczego ich zagadnął. – Nie chciałem, żeby uznali mnie za dewota, który ocenia ludzi po krzyżyku na szyi. Rzecz nie w tym, że z nikim innym z klatki nie chcemy gadać, ale w tym, że chcieliśmy mieć z kim pogadać o wierze, Piśmie świętym, o parafii – wspomina.

Agnieszka i Adam przyjęli to zwyczajnie. Szybko okazało się, że wszyscy mają ten sam problem z chodzeniem do parafii, że chcieliby czegoś innego dla swoich dzieci, że potrzebują z kimś porozmawiać o tym, w jakim miejscu na swojej duchowej drodze są, a także o kryzysie Kościoła. Od słowa do słowa zdecydowali, że będą się spotykać dwa razy w miesiącu, żeby rozmawiać.

Czasem punktem wyjścia jest artykuł, czasem fragment z Pisma Świętego, innym razem rozdział z książki, czasem jakieś wydarzenie. Po miesiącu Kamila zaproponowała, by na koniec spotkania wspólnie się modlili. Na początku było dziwnie – przyznają – potem stało się to zupełnie naturalne.

Dzieci w czasie rozmów się bawią, czasem same o coś pytają lub dopowiadają.

– Im dłużej tego doświadczam, im więcej rozmów przenosi się ze spotkań na kolejne dni, tym mocniej wzrusza mnie, że syn może zobaczyć we mnie osobę w drodze. Że mogę mu pokazać, że wszyscy szukamy, i możemy szukać razem. A niekiedy jego uwagi są niebywale trafne, dotykające istoty. Dają światło – mówi Adam. Agnieszka dodaje: – Wszyscy zmagamy się z pytaniami o stan naszej wspólnoty: tej małej i całego Kościoła. Fajnie nie być z nimi samemu, a nawet tylko w rodzinie. To pomaga nie stracić nadziei.

Nie potrzebujemy nazwy

Szybko okazało się, że wiele ich różni. Są po różnych stronach politycznego sporu. Na wiele spraw w państwie i Kościele – politykę migracyjną, prawa osób LGBT+, podatki, kapłaństwo kobiet – patrzą zupełnie inaczej. Czytają inne media. Gdy to odkryli, początkowo obawiali się, czy rzeczywiście uda im się rozmawiać. Dziś zgodnie przekonują, że się tego nauczyli, choć nie było to łatwe.

– Przyznaję, myślałem pakietowo. Że skoro mają „C+M+B” na drzwiach, to znajdę w nich ludzi, z którymi będę mógł się utwierdzać w moich przekonaniach, które w wielkomiejskim środowisku są coraz słabiej reprezentowane – przyznaje Paweł. – A znalazłem coś znacznie lepszego: głęboką wspólnotę mimo różnic, możliwość usłyszenia kogoś myślącego odmiennie, z którym łączymy to, co w moim spojrzeniu na świat najważniejsze: relacja z Chrystusem.

Nie chcą niczego formalizować ani nazywać, mówią, że słowo „wspólnota” jest na wyrost, choć od dwóch miesięcy jest ich więcej. Paweł i Kamila zaprosili znajomych mieszkających dwie ulice dalej, dojeżdża też znajomy Agnieszki z jej poprzedniego miejsca zamieszkania. Zajmuje mu to pół godziny w jedną stronę, ale uważa, że warto.

– Nie potrzebujemy nazwy, ramy. Po prostu spotykamy się, by rozmawiać i wspólnie się modlić. To taki nasz mały Kościół międzydomowy – mówi Paweł. – Budujemy go na trudnej nadziei, że da się być razem, że można traktować swoje chrześcijaństwo poważnie, że pośród szalejącego sztormu, jaki przeżywa Kościół, głównie z własnej winy, Jezus może do nas przyjść po wodzie. W końcu jest nas w tej łódce malutko, ale jednak więcej nawet niż „dwóch lub trzech”, prawda? →

Różnorodność to siła

→ – Spotykamy się po domach, bo potrzebujemy przestrzeni innej niż kościelna – opowiada Aneta.

Co dwa tygodnie widzą się w dziewięć osób, za każdym razem u kogo innego. Wspólnie czytają Pismo, biorąc „na warsztat” kolejne fragmenty ksiąg. Przeczytali już Księgi Rodzaju, Wyjścia, Hioba, Izaasza oraz część listów Pawła. Teraz czytają Dzieje Apostolskie. Za każdym razem jedna osoba robi wprowadzenie. Dzieli się wnioskami z poszukiwań biblistycznych – o symbolach, oryginalnym brzmieniu słów, historii księgi i tak dalej – ale przede wszystkim swoimi przemyśleniami.

Potem długo rozmawiają, starając się skupiać na tym, „co Słowo mówi do mnie”, jak je rozumieją w konkretnie swojego życia. Także w konkretnie relacji do Kościoła.

Część z nich praktykuje regularnie, przystępuje do sakramentów. Część robi to sporadycznie. Niektórzy nie są w stanie wejść do kościoła, bo odrzuca ich stan wspólnoty i instytucji, którą kiedyś uznawali za swoją. Jedna osoba zmieniła wyznanie.

– Ta różnorodność to siła – mówi Aneta. – Dzięki temu widzimy, że Słowo naprawdę żyje, skoro jest w stanie trafić do osób w tak różnych sytuacjach. I widzimy, że żyje, gdy budzi w nas opór. Najrzadziej zdarza się, by pozostawiało kogoś z nas obojętnym.

Co mówi Słowo

Często siedzą do późna, rozmawiając już nie tylko o Biblii, ale też o filmach, rodzinach, pracy, problemach. Oraz o tym, co dzieje się w Kościele. – Jesteśmy w różnych miejscach, ale wszystkich nas obchodzą Kościół rzymskokatolicki i jego przyszłość – opowiada Aneta. – Śledzimy proces synodalny, bołą nas kolejne afery, ale uważamy za nasz obowiązek o nich wiedzieć. Zastanawiamy się nad potrzebnymi zmianami. I cieszę się, że robimy to zawsze po długiej rozmowie o Piśmie Świętym. To pozwala wiele rzeczy zrozumieć lepiej.

– Na przykład? – dopytuje.

– Rozmawialiśmy o sytuacji osób LGBT+ w Kościele. Pojawiło się pytanie o to, jak w tym kontekście rozumieć znany fragment z listu do Koryntian, w którym czytamy, że „mężczyźni współżyjący ze sobą” nie odziedziczą Kró-

lestwa Niebieskiego. I okazało się, jak dobrze mieć świadomość, że bibliści spierają się o to, co dokładnie Paweł miał na myśli i czy można to jakkolwiek odnosić do współczesnego rozumienia homoseksualizmu – tłumaczy Aneta. – Uderzające jest też to, że gdy mówimy o gejach, to konserwatyści czytają ten fragment całkowicie dosłownie, ale jakoś nie piętnują na równi „złodziei, chciwych, pijaków, oszczerców i zdzierców”, którzy są przywołani w tym samym zdaniu. To pokazuje, że w szafowaniu tym cytatem nie chodzi o Pismo, lecz o władzę i kontrolę.

Czy chcemy księdza?

Długo w ich grupie byli sami świeccy, a rozmawiając o Kościele, często narzekali na księży: konkretnych i nie. Gdy więc jeden z członków grupy zapytał, czy mógłby zaprosić na spotkanie zaprzyjaźnionego duchownego, początkowo odpowiedzią była konsternacja i rezerwa. Przeważało, że to ów ksiądz zapytał, czy mógłby przychodzić, gdy usłyszał, jak te spotkania wyglądają, oraz poczucie, że nie mogą problemów z klerykalizmem rozwiązywać poprzez wykluczanie duchownych. Poprosili jednak, by ów członek grupy przekazał koledze, że wszyscy w grupie są równi i nikt nie będzie go traktował jako wyroczni.

– Gdy usłyszałem to zastrzeżenie, pomyślałem: „Mój Boże, nareszcie” – opowiada ksiądz Jacek. – Wreszcie mogę pójść spotkać się z ludźmi i po prostu z nimi porozmawiać, posłuchać, a nie występować w roli tego, który wie i który, co więcej, ma wiedzieć. Nareszcie znalazłem przestrzeń, w której mogę powiedzieć, że nie rozumiem danego fragmentu Pisma, że nie przekonuje mnie żadna klasyczna odpowiedź na temat potopu, żądania, by Abraham złożył ofiarę z Izaaka, czy cierpień Hioba. To bardzo uwalniające, że nikt nie oczekuje ode mnie odpowiedzi tylko dlatego, że otrzymałem śmieszne wykształcenie w seminarium. A słowa „śmieszne” używam świadomie.

Grupa nie żałuje, że wpuściła księdza na swoje spotkania. – To tylko zwiększyło różnorodność doświadczeń i perspektyw, z których odczytujemy dany fragment Pisma – mówi Aneta. – Znacznie więcej też zrozumieliśmy z tego, jak funkcjonują duchowni, z czym się mierzą, jakie siły na nich oddziałują, ilu z nich myśli podobnie jak my, ale nie może tego powie-

dzieć głośno. To urealnia nasze rozmowy o zmianach w Kościele.

– Macie nadzieję, że one nastąpią? – pytam.

– Im silniej jestem zakorzeniona w Piśmie, tym wyraźniej zmienia się moja perspektywa. Dostrzegam, że mój krytycyzm wobec stanu Kościoła w Polsce nie wynika tylko z mojego światopoglądu na sprawy społeczne i kulturowe. Przede wszystkim ma mocną podbudowę biblijną – odpowiada. – Wierzę, że Ewangelia to w najgłębszym sensie prawdziwa opowieść o świecie i człowieku. A skoro tak, to wierzę też, że kiedyś zwycięży.

Za stołem

Izabela Mościcka, prezeska Fundacji Przy Stole, pedagogka i założycielka Centrum Pomocy Siostrom Zakonnym, mówi: – Nie mam w sobie zgody na to, żeby nadzieja była trudna. Nadzieja musi nieść za sobą potencjał dobra. Zwłaszcza w trudnych czasach.

W centrum działań Fundacji, funkcjonującej w mieszkaniu w jednej z krakowskich kamienic, rzeczywiście stoi stół. – To miejsce, do którego każdy może przyjść, posiedzieć, posilić się: duchowo, i przyziemnie – opowiada. Deklaruje, że chce tworzyć miejsce, które może i nie zmieni świata, ale konkretnym ludziom, zwłaszcza wykluczonym, da nadzieję. I które będzie znakiem, że da się inaczej.

– Chciałabym, żeby nasz dom, nasz stół, był miejscem, gdzie każdy może się czuć bezpiecznie taki, jaki jest: ze swoją wrażliwością, przeżyciami, etapem w życiu, na którym jest, pytaniami – mówi. – Nie stawiamy warunków wstępnych, nie egzaminujemy, także z otwartości, nie próbujemy ludzi zmieniać na siłę. Za to próbujemy razem być na duchowej drodze.

Co to znaczy w praktyce? – Gdy przychodzi ktoś, z kim się nie zgadzam, na przykład w temacie praw osób LGBT+, nie mówię, że ma myśleć inaczej, bo my tu jesteśmy otwarci. Chcę usłyszeć jego wątpliwości, dopytać, zrozumieć. Gdy druga osoba widzi, że nie próbuję jej przekonywać, to nie zaczyna się przed tym bronić. Nie zaczyna się walka.

Znakiem tego ma być choćby sposób prowadzenia rozmów. – Staramy się zauważać momenty, które mogą nas w bezsensowny sposób poróżnić – mówi Mościcka. – Gdy organizujemy spotkania na temat świąt żydowskich, ich znaczenia

i zakorzenienia w Piśmie, to nie dyskutujemy o działaniach państwa Izrael. Można i trzeba rozmawiać na tematy trudne, ale pod warunkiem, że jesteśmy w stanie się wysłuchać. A sama nie wiem, czy z moimi poglądami na sytuację w Izraelu jestem w stanie dziś usłyszeć drugą stronę.

Homilię wygłasza wspólnota

Temat to zresztą często tylko pretekst. Niektórzy przychodzą dla niego, inni dla klimatu miejsca, są tacy, którzy przychodzą tu posiedzieć, bo dobrze się tu czują. A że przy tym spotyka się kogoś innego od siebie: uchodźcę, osobę transpłciową, uczestniczkę Czarnego Marszu, katolickiego tradycjonalistę? O to chodzi.

Chodzi też o to, by każdy mógł się tu zatrzymać w potrzebie. Obecnie w domu Fundacji mieszka Tajwanka, której skończyła się umowa na mieszkanie i która nie może znaleźć nowego. Na parę dni zatrzymał się Polak z Tajlandii, który przyjechał załatwić urzędowe sprawy. Niedawno zamieszkał uchodźca, który dwa lata temu przeszedł granicę polsko-białoruską i stracił nogę po pogryzieniu przez psy polskich służb. Bywają osoby w trakcie wychodzenia z kryzysu bezdomności. – Zawsze mamy też miejsce dla kobiet wychodzących z zakonów, które nie mają się gdzie zatrzymać – opowiada Mościcka, która sama ma doświadczenie zakonne.

Ludzie przychodzą też na msze. Te odbywają się przy tym samym stole, przy którym się rozmawia i je. Wszyscy siedzą dookoła, nie ma stron. Homilię wygłasza

wspólnota – każdy może się odezwać i podzielić swoim rozumieniem Słowa. Książd też, ale nie musi.

Niełatwo znaleźć księdza, który by się na to wszystko godził. Część ma problem już z odprawianiem mszy w mieszkaniu, poza kościołem. Inni – bacząc na kłopoty z przełożonymi i w środowisku – proszą, by informacja o ich udziale nie pojawiła się w mediach społecznościowych. – Czasem dostaje nam się w internecie nawet za to, że msza została odprawiona na stole bez obrusu. Nie wszyscy są w stanie unieść takie rzeczy – mówi Mościcka.

Zgadza się przy tym, że klerykalizm to problem nie tylko księży. – Wielu wierzącym też trudno pomyśleć, że można inaczej, że to nie narusza istoty, że czasami pomaga jej doświadczyć. Że jeśli siedzisz na kanapie, a nie w ławce, to Przejście nie się dokonuje tak samo, a za to możesz zauważyć, że nigdy nie byłeś tak blisko ołtarza, tak blisko tych wydarzeń. Bo to za każdym razem jest Wydarzenie, a nie pusty rytuał.

Co jest za zakrętem

Obecnie wokół Fundacji Przy Stole gromadzi się społeczność licząca około 20-25 osób, które są blisko, pomagają, przychodzą. Gdy pytam Mościcką, kim są, mówi, że to osoby, które szukają. Które często czują się na obrzeżach Kościoła. Dla których przestrzeń chrześcijańska wciąż jest ważna, ale które czują, że nie pasują do obecnego systemu i kształtu Kościoła w Polsce, bo szukają Kościoła

wspólnego, równego. Które czasami nie umieją nazwać tego, co się w nich dzieje, i potrzebują miejsca, by to poukładać. Które tęsknią za liturgią Kościoła rzymskiego, ale nie są w stanie wejść do świątyni. Które chcą usłyszeć, że nie są same ze swoimi pytaniami, że takich jak one – niepasujących do foremek głównego nurtu katolicyzmu w Polsce – jest więcej. I które odkrywają, że można do nich nie pasować z różnych powodów.

– Marzycie o reformie? – pytam.

– Idę do zakrętu. Dopiero kiedy do niego dojdę, będę myślała, co dalej. To krótkie etapy – odpowiada Mościcka. – Ale wielu z nas jest zbyt ciężko, by myśleć o reformie. Tym osobom brakuje jeszcze nadziei na zmianę, ciężar je przytłaczający jest zbyt duży. Pomalutku więc tworzymy skromną alternatywę. Ale nie przeciw Kościołowi, chcemy być w jego środku. Nie tworzymy też twierdzy fajnych katolików, superchrześcijańskiej wyspy czy arki, w której przetrwamy kataklizmy wokół nas. To bez sensu. Budujemy wioskę, w której można zamieszkać, ale do której można też przybyć, na krótko lub długo, i z której można też wyruszyć w dalszą drogę. A co dalej? Powiem ci, kiedy dotrę do zakrętu. © IGNACY DUDKIEWICZ

Imiona części bohaterów i bohaterek zostały zmienione.

Autor jest redaktorem naczelnym Magazynu „Kontakt” i autorem książki „Pastwisko. Jak przeszłość, strach i bezwład rządzą polskim Kościołem”.

TYCZNIK
POWSZECHNY



KS. ADAM BONIECKI: „TESTAMENT”

„Bądźmy wdzięczni. Dziękujmy. Warto sobie uświadomić, że jest za co” – tymi słowami ks. Adam Boniecki rozpoczyna czytany przez siebie audiobook i samą książkę.

Kończy zaś... życzeniami: „Życzę też, byśmy nie byli ponurakami. Zmartwychwstanie jest obietnicą przyszłej nieśmiertelności, więc na wszystko możemy patrzeć w perspektywie wieczności! Alleluja!”



Nudny jak biskupi synod

EDWARD AUGUSTYN

Rewolucja w Kościele nadchodzi, ale nie w sposób, jakiego się spodziewamy.

WŁAŚNIE DLATEGO NIGDY NIE PISAŁEM o synodach” – mówi Luigi, widząc moje zakłopotanie. Siedzimy w Arlu a San Pietro, małej restauracji przy Borgo Pio, niedaleko Watykanu. Zapytał, co ważnego dzieje się na synodzie, a ja nie umiałem mu odpowiedzieć, choć minął tydzień obrad. Luigi Accattoli jest najsłynniejszym włoskim watykanistą, który przez ponad trzy dekady (1976-2008) pracował dla największych włoskich dzienników. Dlaczego w tamtych czasach ani „La Repubblica”, ani „Corriere della Sera” nie interesowały się synodami?

Kościół kapeluszy

Przez pół wieku mało kto się nimi interesował. Były uważane za wydarzenia hermetyczne, nieistotne, a przede wszystkim – mało ciekawe.

Gdy we wrześniu 1965 r. Paweł VI ogłosił utworzenie nowej „centralnej instytucji, reprezentującej wszystkich biskupów, stałej co do natury, okazjonalnej co do struktury”, potraktowano jego decyzję jako naturalną konsekwencję Soboru Watykańskiego II, wciąż jeszcze trwającego. Synody biskupów miały doradzać papieżowi przy wprowadzaniu w życie postanowień soboru. I wyrażać nowy ustrój Kościoła – nie monarchiczny, nie koncyliarystyczny, ale kolegialny, włączający do rządów biskupów, ale na zasadzie *cum et sub Petro* („z Piotrem i pod jego władzą”): ich głos samodzielnie nie miał nigdy rozstrzygającego znaczenia.

Stworzone w tamtym czasie regulacje prawne („Ordo Synodi Episcoporum”) przetrwały, z nieznacznymi poprawkami, do 2018 r. W oparciu o nie przeprowadzono 26 synodów: 14 zwyczajnych (zwoływanych co 3-4 lata w celu przedyskutowania tematów dotyczących całego Kościoła), 3 nadzwyczajne (poświęcone sprawom pilnym czy aktualnym wydarzeniom) i 9 specjalnych (zajmujących się

problemami jednego regionu). Przepisy określały, kto bierze udział w synodzie i w jaki sposób wyłaniany są delegaci, regulowały obecność świeckich audytorów, w tym kobiet, oraz delegacji z Kościołów niekatolickich, ustalały zasady prowadzenia obrad, działania grup roboczych i głosowań.

Najwięcej synodów (14) odbyło się za Jana Pawła II. O. Timothy Radcliffe uczestniczył w trzech. „Nazwałem je sobie »ekleziologią kapeluszy«” – mówił w jednym z wywiadów. „W centrum był biały kapelusz, potem kilka kręgów czerwonych, potem wiele fioletowych, a na końcu tacy jak ja, bez nakrycia głowy. Każdego z nas poproszono o wygłoszenie ośmiominutowego przemówienia, po czym musieliśmy wyjść. Mówiąc krótko – nuda”.

Również pierwsze dwa synody papieża Franciszka, poświęcone rodzinie, w 2014 i 2015 r., zorganizowano w oparciu o tamte przepisy. Ale nimi już zaczął się emocjonować prawie cały świat.

Zapowiadana rewolucja

W lipcu 2013 r., podczas powrotu z Brazylii, papież powiedział dziennikarzom, że jednym z tematów, jakie musi poruszyć ze swymi doradcami, są związki niesakramentalne. I że kolejny synod biskupów powinien odpowiedzieć na pytanie, czy osoby rozwiedzione mogą przystępować do komunii. Na tej samej samolotowej konferencji prasowej padły też pamiętne słowa: „Jeśli ktoś jest gejem, ale szuka Boga i ma dobrą wolę, kimże ja jestem, żeby go oceniać”.

Nic dziwnego, że gdy dwa miesiące później Franciszek ogłaszał zwołanie synodu o rodzinie, wszyscy czekali na rewolucję. Najbardziej atmosferę podgrzewali przeciwnicy zmian, uznając każde, nawet najmniesze proceduralne odstępstwo za spisek sił liberalnych, które chcą wpływać na przebieg i wynik synodalnej dyskusji. Do mediów wyciekł też pro-



test 13 kardynałów (potem kilku sygnatariuszy zaprzeczyło swemu udziałowi) przeciwko zmianom doktryny. Przedstawiały się też, mimo tajemniczy obowiązujący uczestników, informacje o kłótniach czy wręcz awanturach, do jakich miało dochodzić na sali obrad, zwłaszcza przy tworzeniu dokumentu końcowego (na czele grupy, która go redagowała, stał abp Victor Manuel Fernández, wówczas rektor Uniwersytetu Katolickiego w Buenos Aires, dziś kardynał i prefekt Dykasterii Nauki Wiary).

Po raz pierwszy upubliczniono także wyniki głosowań, które potwierdziły informacje o podziałach wśród synodalnych ojców, ale też pokazały, że nawet najbardziej kontrowersyjne propozycje – komunია rozwiedzionych i duszpasterska troska o osoby homoseksualne – znalazły poparcie dwóch trzecich biskupów.

Pierwszym owocem synodu była papieska adhortacja „Amoris laetitia”, zezwalająca – jak pamiętamy – na udzielanie komunii parom żyjącym w niesakramentalnych związkach, pod warunkiem przeprowadzenia „duszpasterskiego rozeznania” ich sytuacji. Drugim, gorzkim, którego smak Franciszek czuje do dziś, było publiczne ogłoszenie przez pięciu kardynałów „wątpliwości” (*dubbia*) co do ortodoksji adhortacji oraz bunt środowisk konserwatywnych, które oskarżyły papieża o herezję i podważały legalność jego wyboru.



ALESSANDRA TARANTINO / AP / EAST NEWS

Msza na otwarcie synodu biskupów na temat nowej ewangelizacji, Watykan, październik 2012 r.

Dwa kroki w tył

Kolejny synod, o młodzieży (2018 r.), był okazją do wprowadzenia przez Franciszka nowych regulacji („Episcopalis communio”), które zakładały trójetapowość synodalnego procesu (konsultacje, celebrowanie i realizacja). Ale największe zainteresowanie opinii publicznej wzbudził spór o akronim LGBT, który był w „Instrumentum laboris”, a zniknął z dokumentu końcowego, oraz postulaty części biskupów, by wykazać się większym zrozumieniem wobec osób nieheteronormatywnych oraz zwiększyć rolę kobiet w Kościele. Na trzecim miejscu wśród treści wzbudzających sprzeciw pojawiła się też – po raz pierwszy – synodalność, uznana za równie wielkie zagrożenie dla katolickiej tożsamości.

Rok później, w czasie synodu specjalnego o Amazonii, najgoręcej dyskutowaną kwestią był celibat, a mówiąc ściślej – udzielanie święceń żonatym mężczyznom, przygotowanym i wypróbowanym pod względem doktrynalnym i moralnym (tzw. *viri probati*).

Powszechnie uważano, że Franciszek skorzysta z okazji, by wprowadzić tę zmianę, i że będzie ona pierwszym krokiem do zniesienia obowiązkowego celibatu księży. Tym bardziej że mógł to zrobić *ad experimentum*, ograniczając jej zasięg do jednego regionu, w dodatku powołując się na poparcie większości tamtejszych biskupów. Dlaczego nie posłuchał rad synodu?

W styczniu 2020 r., na kilka tygodni przed planowaną publikacją posynodalnej adhortacji „Querida Amazonia”, kard. Robert Sarah, prefekt Kongregacji Kultu Bożego i Sakramentów, opublikował książkę na temat wartości i świętości celibatu („Z głębi naszych serc”), której współautorem zrobił Benedykta XVI (czy za jego wiedzą, czy nie – do dziś nie wiadomo). W każdym razie tekst papieża-emeryta, stanowiący ważną część publikacji, uznano za głos sprzeciwu wobec zamiarów urzędującego papieża. Był to cios bolesny, ale najwyraźniej skuteczny – w adhortacji „Querida Amazonia” nie znajdziemy śladu po szerokiej, synodalnej dyskusji na ten temat *viri probati*.

Lęk przed schizmą

Franciszek rzadko przyznaje się do błędów, ale szybko się na nich uczy. Zdał sobie sprawę, że kwestionując otwarcie nauczanie jego poprzedników w sprawie celibatu, może doprowadzić do schizmy, której groźba wisiała nad Kościołem od czasu publikacji „Amoris laetitia”. Lęk przed rozpadem Kościoła, który towarzyszył wszystkim kolejnym papieżom po soborze i buncie abp. Marcela Lefebvre’a, okazał się silniejszy od chęci zmian. Franciszek doszedł do wniosku, że nie wszystkie rozpoczęte procesy warto kończyć. Niektórym trzeba dać dojrzeć i pozwolić, by powoli zmieniały kościelną mentalność.

Najlepszym tego przykładem jest synod, którego drugi etap właśnie dobiega końca. Także po nim spodziewano się rewolucji. Zwłaszcza w pierwszych miesiącach, gdy w fazie konsultacyjnej pojawiło się wiele postulatów z zakresu etyki, antropologii czy teologii. Zwykle łączono je, niesłusznie, z niemiecką Drogą Synodalną, która najlepiej nadawała się do straszenia katolików, choć takie same propozycje zgłaszały również inne kraje. Reformatorski charakter nadchodzącego synodu jeszcze mocniej podkreśliło oddanie jednej trzeciej pełnoprawnych miejsc niebiskupom, w tym kobietom.

Wszystko jednak wskazuje, że najważniejsze i najodważniejsze postulaty, zawarte w syntezach krajowych czy kontynentalnych, nie doczekają się merytorycznej dyskusji na synodalnym forum – zostały odesłane do prac w odrębnych komisjach albo oddane decyzji Dykasterii Nauki Wiary. Podobnie było rok temu, gdy kwestie udzielania sakramentów osobom transpłciowym i dzieciom par homoseksualnych oraz błogosławienia takich par zostały rozstrzygnięte przez dykasterię niedługo po zakończeniu obrad synodu, ale bez zasięgnięcia jego rady w tej kwestii.

I rzecz nie w tym, że synod nie spełnia oczekiwań mediów, które – jak często się słyszy, także ze strony papieża – interesują się jedynie kilkoma kontrowersyjnymi tematami. Chodzi o zlekceważenie głosu katolików z różnych stron świata, gdzie uznano te kwestie za istotne. Owszem, są to problemy tylko części Kościoła, co nie znaczy, że wierni z tej części (oraz reprezentujące ich media) nie powinni dopytywać się o los swoich postulatów.

Trening czyni mistrza

„Koncentrujemy się na treningu, nie na meczu” – mówił Paolo Ruffini, prefekt Dykasterii Komunikacji, dodając, że w synodalnym procesie nie chodzi o decyzje, tylko o inspiracje. Wygląda na to, że synod pogodził się z pomniejszeniem swojej roli – nie mówi się już nie tylko o kolejalnym rządzeniu czy nawet o doradzaniu papieżowi w kluczowych sprawach. Uczestnikom pozostało ćwiczenie się w „rozmowie w Duchu” i wzajemnym słuchaniu, czyli synodalności, która w wielu krajach od dawna działa, bez względu na synod, a w innych nie, i dużo większy wpływ na to mają przemiany →

→ społeczne niż synodalne dokumenty czy papieskie decyzje.

Codzienne relacje prefekta Ruffiniego, jedynej osoby uprawnionej do przekazywania dziennikarzom informacji o tym, co dzieje się na sali obrad, brzmią identycznie jak opisy synodów sprzed lat. Biskupi podjęli temat inkulturacji, bogactwa różnorodności w Kościele, nowych wyzwań związanych z globalizacją i cyfryzacją, formacji księży, potrzeby włączenia świeckich, w tym kobiet, w misję Kościoła, ożywienia parafii i małych wspólnot, służby najbardziej potrzebującym, w tym imigrantom – czytamy w dokumencie końcowym synodu o nowej ewangelizacji z 2012 r., ostatniego za pontyfikatu Benedykta XVI. Jednego z tych, które uchodzą za nudne.

Z synodem lub choćby mimo synodu

Czy zatem nic się nie zmieniło?

Z opublikowanych w połowie września badań waszyngtońskiego Centrum Badawczego Pew, przeprowadzonych w USA i sześciu największych krajach Ameryki Łacińskiej, wynika, że ponad połowa katolików w każdym z tych państw (z wyjątkiem Meksyku) jest za dopuszczeniem kobiet do święceń kapłańskich (w Brazylii twierdzi tak 86 proc., w pozostałych krajach 60-70 proc., w Meksyku 47 proc.). Liczba osób uznających kobiety za godne, by na równi z mężczyznami stanąć za ołtarzem i sprawować sakramenty, w każdym z badanych społeczeństw w ciągu ostatnich 11 lat wzrosła średnio o 12 punktów procentowych (najwięcej w Peru – o 23, najmniej w USA – o 2).

Podobny, choć nieco mniej spektakularny wzrost poparcia znalazł również postulat zniesienia celibatu księży. Zmiany świadomościowe katolików dokonały się w czasie pontyfikatu Franciszka, choć nie dzięki jego decyzjom (sympatia do papieża spadła w tym okresie w każdym z badanych krajów średnio o 10,5 pkt. proc., najbardziej w Argentynie – z 98 do 74 proc.).

Może więc mimo wszystko warto pisać o synodach? Choćby po to, by ważne kwestie teologiczne, antropologiczne i etyczne dojrzały do zmian. Nawet jeśli nie pojawią się na sali obrad. © P EDWARD AUGUSTYN

Chiński Kościół coraz bardziej czerwony

MARIA WIŚNIEWSKA

Franciszek chciał poprawy relacji z Pekinem i mianował biskupów wskazywanych przez komunistyczne władze. Zbliżenia nie ma, natomiast Kościół wpada w coraz mocniejszy uścisk państwa.

CO NIEDZIELĘ PRZED KOŚCIOŁEM św. Józefa w Pekinie można dostać katolicką gazetkę „Tiangguang” (Światło niebios), wydawaną przez stołeczny oddział podlegającego komunistycznym władzom Patriotycznego Stowarzyszenia Chińskich Katolików. Próżno w niej jednak szukać informacji o życiu Kościoła, czy nawet ogłoszeń parafialnych.

W wydaniu z 1 października pierwsza strona, wydrukowana na czerwono, przytacza – z okazji 75. rocznicy powstania Chińskiej Republiki Ludowej – najważniejsze myśli przewodniczącego Xi Jinpinga. Z poprzednich numerów dowiemy się z kolei o szczycie forum współpracy Chin–Afryka czy rozwoju technologicznym Państwa Środka. Za to niczego o pielgrzymce Franciszka, który na początku września pielgrzymował do Indonezji, Papui-Nowej Gwinei, Timoru Wschodniego i Singapuru.

Kościół oficjalny i Kościół podziemny w Chinach

Jeszcze żaden papież nie postawił stopy w Chinach – trasa wrześniowej pielgrzymki ominęła Państwo Środka i tym razem. Jak wskazywała jednak część komentatorów, w azjatyckiej podróży „chodziło tak naprawdę o Chiny”. Zdawało się to niejako potwierdzać wypowiedź Franciszka dla dziennikarzy na pokładzie powrotnego samolotu z Singapuru do Rzymu, w której zaznaczył, że Chiny są „obietnicą oraz nadzieją” Kościoła i wyraził – nie pierwszy raz – nadzieję, że kiedyś je odwiedzi.

Relacje Chin z Watykanem pozostają niezwykle skomplikowane, od kiedy w 1951 r. Pekin pod rządami Mao Ze-

donga, wówczas świeżo upieczonego przywódcy nowych komunistycznych Chin, zerwał relacje ze Stolicą Apostolską. Władze wydalili zachodnich misjonarzy i zdelegalizowały Kościół, a biskupi, księża i świeccy wierni papieżowi zeszli do podziemia. Komunistyczna Partia Chin zbudowała własne struktury katolickie, wierne nie Watykanowi (co wedle logiki władz w Pekinie godziłoby w suwerenność narodową), a sobie.

W 1957 r. powołano do życia Patriotyczne Stowarzyszenie Chińskich Katolików, które nie uznając zwierzchnictwa papieża, wyznaczało „swoich” biskupów, podlegających ścisłej kontroli politycznej. Związek formalnie nie przyjął też decyzji Watykanu podjętych po 1949 r., w tym reformy liturgicznej po Soborze Watykańskim II.

Choć Watykan nigdy formalnie nie uznał Stowarzyszenia za wspólnotę schizmatyczną, to w praktyce tak ono do niedawna jeszcze funkcjonowało. Dość powiedzieć, że do wczesnych lat 90. msze w większości „oficjalnych” kościołów w Chinach odprawiane były jedynie po łacinie, w rycie trydenckim.

Próby zbliżenia

Aby zapobiec jeszcze większemu rozłamowi w Kościele, Watykan od dziesięcioleci próbuje wypracować porozumienie z Pekinem. Za pontyfikatu Jana Pawła II zaczęto uznawać niektórych „oficjalnych” biskupów, co zbliżyło się z końcem maoizmu w Chinach i początkiem ery reform za przywództwa Deng Xiaopinga. Antykomunistyczne sympatie polskiego papieża były jednak dla władz w Pekinie trudnym orzechem do zgryzienia.



FLORENCE LO / REUTERS / FORUM

Świąteczna msza w katedrze pekińskiej, grudzień 2023 r.

Politykę ostrożnego otwarcia na Chiny kontynuował Benedykt XVI, który w liście z 2007 r. wyraził nadzieję na dialog z władzami, ale podkreślił zarazem, że istnienie struktur kościelnych niezależnych od Watykanu jest niezgodne z katolicką doktryną. O nawiązywaniu formalnych relacji z państwowym Kościołem nie było nawet mowy.

Papież odwraca wzrok

Zbliżenie z Chinami znacznie przyspieszyło za Franciszka, który w swej ideowej postawie skreślił wyraźnie w lewo względem swych poprzedników: wskazywał na błędy gospodarki wolnorynkowej, wypowiadał się krytycznie o NATO itp. Pekin zdaje się to zauważać i doceniać. Chińskie media rządowe poparły chociażby słowa Franciszka z marca 2023 r. o tym, że Kijów powinien mieć „odwagę białej flagi” i zacząć negocjacje pokojowe z Rosją (na Zachodzie wypowiedź ta wywołała powszechne oburzenie).

Liberalni komentatorzy krytykują papieża za zbyt uległą postawę wobec chiń-

skich władz. Według nich Franciszek, określając Chiny jako „kraj z tysiącletnią kulturą, który ma zdolność do dialogu i porozumiewania się większą niż wiele demokracji”, niejako legitymizuje autorytarne rządy Komunistycznej Partii Chin. Wytykają mu też, że w przeciwieństwie do swych poprzedników nie spotkał się nigdy z przywódcą Tybetańczyków Dalajlamą XIV, mimo że co najmniej dwa razy była ku temu okazja. A także to, że nigdy nie potępił Pekinu za prześladowanie muzułmańskiej mniejszości ujgurskiej w Sinciang, prowincji w zachodnich Chinach, gdzie przez „obozы reedukacji” miało przejść ponad milion osób.

Przed wszystkim jednak do papieża przywarł zarzut o to, że nie roztacza parasola ochronnego nawet nad samymi katolikami. W liście do chińskich wiernych z 2018 r. Franciszek zastrzegł, że „w kwestiach politycznych chińscy katolicy powinni być dobrymi obywatelami, kochać swoją ojczyznę i służyć swojemu krajowi z pilnością i uczciwością, najlepiej jak po-

trafią”. Słowa spotkały się z oburzeniem i komentarzami, że papież zdaje się nie chcieć dostrzegać trudności, z jakimi na co dzień zmagają się lojalni wobec Watykanu katolicy w Państwie Środka.

Złamane umowy

Ugodowa retoryka papieża względem Chin znajduje odzwierciedlenie we współpracy instytucjonalnej. W 2018 r. Watykan i Pekin podpisały tymczasową umowę, odnawianą co dwa lata (obecnie dopinane są ostatnie szczegóły przed kolejnym jej przedłużeniem), której celem jest zakończenie sporu w kwestii mianowania biskupów – to, czego wcześniej w sposób mniej formalny próbowali poprzedni papieże. Szczegóły dokumentu są poufne, wiemy jednak, że Franciszek uznał „oficjalnych” biskupów, a część „podziemnych” hierarchów została zaprobowana przez władze w Pekinie. Nowi mają być nominowani kompromisowo: to papież ma ostateczny głos w ich zatwierdzeniu, ale wybiera z kandydatury Pekinu.



→ Umowa wywołała duże obawy o to, że Chiny wykorzystają ją do jeszcze większej marginalizacji Kościoła „podziemnego”. Największy krytyk Watykanu, kard. Joseph Zen (w latach 2002-2009 biskup Hongkongu, aktywny na rzecz utrzymania niepodległości miasta od ChRL) – nazwał umowę „zdradą”, która „poprowadzi stado prosto w paszczę wilka”.

Architekt porozumienia, watykański sekretarz stanu kard. Pietro Parolin (przez media wskazywany jako jeden z poważnych kandydatów na następcę Franciszka) – bronił umowy, zaznaczając, że po raz pierwszy od 1949 r. wszyscy biskupi są w pełnej komunii z papieżem. Faktycznie, w ciągu ostatnich sześciu lat w Chinach wspólnymi siłami ordynowano blisko dziesięć nowych katolickich biskupów. Z kolei drugie tyle „nieoficjalnych”, wyświęconych w przeszłości poza zasadami narzuconymi przez chiński aparat, poprosiło i otrzymało publiczne uznanie ich roli także przez władze polityczne w Pekinie.

Jednak od 2018 r. Pekin kilkakrotnie złamał postanowienia umowy, instalując nowych biskupów bez uzgodnienia ze Stolicą Apostolską. Ostatnia taka sytuacja miała miejsce w kwietniu 2023 r., kiedy komunistyczne władze mianowały Giuseppe Shen Bina na biskupa diecezji szanghajskiej, pomijając przy tym papieża. Ostatecznie po paru miesiącach Franciszek, pozbawiony pola manewru, zgodził się na nominację, uzasadniając to potrzebą działania dla „większego dobra” i naprawy kanonicznych nieprawidłowości. Przeciwnicy układania się z Pekinem odnieśli zaś gorzkie zwycięstwo.

Religijny plan pięcioletni

Bezradność Kościoła wobec coraz silniejszej kontroli religii przez Pekin widać też w innym ważnym dokumencie regulującym życie Kościoła w Chinach, stworzonym przez organy KPCh: „pięcioletnim planie sinizacji chrześcijaństwa” na lata 2023-2027, będącym kontynuacją pierwszej takiej „pięciolatki” z okresu 2018-2022.

Na początku trzeba zaznaczyć, że sama koncepcja sinizacji religii, rozumianej jako akulturacja, czyli dostosowanie do miejscowych realiów, nie jest niczym nowym. Dyskusje na ten temat toczą się przynajmniej od czasów Matteo Ricciego, XVI-wiecznego jezuitę z Włoch, uważanego za ojca akomodacji, polegającej wła-

W ramach sinizacji
w chińskich kościołach
zamiast wizerunków
Chrystusa i Matki Bożej
wieszane są portrety
przewodniczącego
komunistycznej partii.

śnie na tłumaczeniu zasad chrześcijańskich z uwzględnieniem tradycyjnych wierzeń ludów.

W Chinach Ricci przybrał chińskie imię Li Ma-tou i ubierał się w jedwabne szaty godne mandarynów (cesarskich urzędników). Dzięki znajomości języka, zwyczajów oraz szerokiej wiedzy na temat buddyzmu i konfucjanizmu, Ricciemu udało się wprowadzić chrześcijaństwo na dwór cesarski w Pekinie. Jezuita uważał, że kult przodków – tak ważny w chińskiej tradycji – można przyrównać do kultu świętych. W swoim nauczaniu posługiwał się też chińską terminologią teologiczną: to dzięki niemu przetłumaczono na chiński wiele religijnych tekstów, a przede wszystkim Biblię.

Katolicyzm z chińską specyfiką

Jednak teraz bardziej niż o adaptację kulturową chodzi o upolitycznienie religii i kontrolę nad wszystkimi sferami życia, która przyspieszyła po objęciu przez Xi Jinpinga przywództwa w 2013 r. Zwłaszcza że podobne „pięciolatki” stworzono dla buddyzmu czy taoizmu, religii od wieków zakorzenionych w Chinach – trudno więc tu mówić o potrzebie przeszczepiania wierzeń na nowy grunt.

W komentarzu „Sinizacja to nie akulturacja” George Weigel, słynący z konserwatywnych poglądów amerykański pisarz katolicki, stwierdził, że ma ona w rzeczywistości być „bodźcem dla hegemonistycznych dążeń chińskiego reżimu komunistycznego” i „wezwaniami do służącego przyzwalania na reżimowy program kontroli społecznej”.

Wątpliwości rozwiązał Shen Bin, wspomniany wcześniej biskup mianowany bez zgody papieża, który stwierdził, że sinizacja „ma na celu przystosowanie Ko-

ścioła do społeczeństwa socjalistycznego i jest to podstawowym warunkiem jego przetrwania w Chinach”.

Faktycznie dokument nie zawiera żadnej wzmianki o papieżu, czy nawet o umowie z 2018 r. Za to cztery razy pojawia się imię chińskiego przywódcy, a pięć razy stwierdzenie, że katolicyzm powinien nabrać „chińskiej specyfiki”. To charakterystyczny zwrot urzędniczego języka komunistycznych władz, rządzących krajem właśnie wedle zasad „socializmu z chińską specyfiką”.

Xi Jinping zamiast Matki Bożej

Według nowego raportu amerykańskiej komisji ds. międzynarodowej wolności religijnej, wdrażaniu strategii towarzyszy usuwanie krzyży z kościołów i zastępowanie wizerunków Chrystusa i Matki Bożej portretami Xi. W analizie odnotowano też cenzurowanie tekstów religijnych, zmuszanie duchownych do głoszenia ideologii KPCh i wywieszania jej hasł w kościołach.

Chińscy katolicy, z którymi „Tygodnik” rozmawiał o sytuacji Kościoła w ich kraju, przyznają, że w ciągu ostatnich lat zauważyli znaki zacieśnienia kontroli nad życiem religijnym. Opowiedzieli o tym, że parafie wymuszają na nich udział w szkoleniach patriotycznych czy wypełnianie quizów wiedzy o KPCh na specjalnych aplikacjach.

Jednak – jak zauważyła część z nich – na samych mszach rzadko słychać elementy patriotyczne. Ba, nie wszyscy są świadomi lub nie chcą się do tego przyznać, że plan sinizacji w ogóle istnieje. Nie do końca też wiedzą, co by mógł on dla nich oznaczać. Na WeChacie (najpopularniejszym komunikatorze w Chinach) nadal wstawiają filmiki i zdjęcia z liturgii czy wyjazdów rekolekcyjnych, na których próżno szukać partyjnych wpływów.

Osobom oswojonym z wszechobecną propagandą, która spogląda na nich w drodze do pracy, na osiedlu mieszkaniowym czy w szkole dzieci, trudno odczuć zacieśnianie kontroli politycznej, jeśli nie dotyka ich ona w sposób namacalny i brutalny. Dlatego większość woli poruszać się między dwoma światami: intymnym światem własnych przeżyć religijnych a światem bardziej na pokaz. Tę sztukę Chińczycy opanowali do perfekcji.

© MARIA WIŚNIEWSKA

TOMASZ

Stawiszyński: Na własną rękę



WIELKA POPULARNOŚĆ WIMA HOFA – którego „legenda”, jak czytam w polskich i światowych mediach, na naszych oczach „upada”, wiele bowiem wskazuje, że to damski bokser, awanturnik i tyran – to oczywiście tylko jeden (choć spektakularny) składnik zja-

wiska o znacznie szerszej skali. Ów pochodzący z Holandii „człowiek z lodu”, lubujący się w temperaturach tak niskich, że wręcz urągających zdrowym zmysłom, w ostatnich latach zyskał status międzynarodowej gwiazdy. Znam co najmniej kilka osób, które dały się uwieść jego nieodpartej charyzmie i również próbowały (niekiedy z sukcesem) wykonywać na mrozie rozmaite akrobacje, biegać maratony albo ekstatycznie tarzać się w śniegu. Po co? Oczywiście po to, żeby się wzmocnić, zahartować, uodpornić. Słowem: uzbroić przeciwko siłom rozpadu, dybiącym zewsząd na ludzkie życie i zdrowie.

Moda na takie rzeczy nie zaczęła się wprawdzie od pandemii (pamięta ktoś jeszcze ten osobliwy czas?), niemniej właśnie wtedy uległa niebywałej intensyfikacji. Widoczne to było zwłaszcza w mediach społecznościowych, gdzie nagle zaroilo się od fotografii przedstawiających (często na co dzień poważnych i spokojnych) obywateli, którzy w samych tylko slipkach bądź kostiumach kąpielowych zanurzają się w przerwach, rzekach lub morzach. Z obowiązkowym uśmiechem (nierzadko noszącym wszakże, gdy się mu przyjrzeć, delikatne znamiona przymusu). W towarzyszących komentarzach ogłaszano – mniej lub bardziej wprost – że takie radykalne chłodzenie w sposób bezprecedensowy aktywizuje obronne rezerwy organizmu. I dzięki temu nie mają doń przystępu żadne bakterie czy wirusy – ze wskazaniem na tego, ma się rozumieć, który zbierał wówczas ponure żniwo.

Nie trwało to, owszem, zbyt długo. Stopniowo, wraz z rozpraszaniem się epidemiologicznego zagrożenia, rozpraszać zaczęła się również owa moda. Ale tylko do pewnego stopnia. Równolegle rosła bowiem – i to skokowo – liczba poradników i podkastów propagujących inne cudowne techniki wzmocnienia organizmu, poprawy zdrowia czy też w ogóle zwiększenia wydolności tam, gdzie to tylko możliwe. Sztandarowym przykładem jest kariera innego internetowego celebryty, który – zdaje się – również ma obecnie wizerunkowe kłopoty. Chodzi naturalnie o Andrew Hubermana, neuronaukowca, którego kanał na YouTube bije rekordy klikalności, a poświęcony jest – mówiąc najkrócej – temu, jak nieustannie, z pomocą suplementów, diet, ćwiczeń oraz innych praktyk poprawiać parametry efektywności.

We wrześniowym numerze miesięcznika „ZNAK” Krzysztof Kornas dokonał dość gruntownego przeglądu zarzutów stawianych Hubermanowi, na czele z tym, że w swoim programie coraz częściej reklamuje metody, których status naukowy jest, mówiąc delikatnie, problematyczny. Nawiasem mówiąc, nic w tym dziwnego. Popularny youtuber uwięziony w trybach algorytmicznej maszyny musi przecież – jeśli pragnie zachować status i dochody (to znaczy: liczbę odsłon) – regularnie publikować kolejne treści. Przy czym każda następna powinna być co najmniej tak samo rewolucyjna i nadzwyczajna jak poprzednie. Nie ma wyjścia: w pewnym momencie po prostu trzeba sięgnąć po pseudonaukę, bo inaczej dość szybko wyczerpią się zasoby tych wszystkich substancji i ćwiczeń. Nauka i medycyna nie znają ich tak znowu wiele, a do tego są one zazwyczaj mało spektakularne: wysypiaj się, nie przejadaj, ogranicz używki, stosuj umiarkowany wysiłek fizyczny itp.

Ale nie o tych dwóch dżentelmenach chciałem tak naprawdę pisać, a w każdym razie nie wyłącznie o nich. Zarówno Hof, jak i Huberman zdają mi się, jak wspomniałem na początku, symptomem pewnego głębszego procesu. Jakiego? Dodajmy do tych mód na poprawę kondycji – choć to się może niektórym wydać zaskakujące – krążące od pewnego czasu po świecie widmo wojny. Czy nie jest tak, że każda poważniejsza rozmowa o sprawach globalnej – i nie tylko – polityki zaczyna dziś ciążyć w stronę wielkiego konfliktu? Światowego lub lokalnego, nuklearnego albo konwencjonalnego? Skoro nawet szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, gen. Wiesław Kukula, mówi publicznie (4 października, podczas inauguracji nowego roku w Akademii Wojsk Lądowych), że „jesteśmy tym pokoleniem, które stanie z bronią w rękę w obronie naszego państwa”, znaczy to bez wątpienia, że temat jest w ścisłym centrum debaty publicznej. Nie tylko w Polsce.

Jak to się ma jednak do rosnącej popularności suplementów, diet i ćwiczeń? Łącznikiem jest tu pojęcie immunologii, aktywizacji sił, które mają nas chronić przed zniszczeniem. Niemiecki filozof Peter Sloterdijk postawił jakiś czas temu tezę, że cała ludzka kultura, włączając w to sztukę, sport, naukę, medycynę i wojskowość, jest jednym wielkim wysiłkiem budowania odporności, zbrojeniem się, mobilizacją. I kiedy wspólnota jest mocna, wówczas wytwarza, zbiorowym staraniem, struktury odpornościowe, na których jednostki mogą polegać, bo mogą polegać na sobie nawzajem. Kiedy jednak wspólnota i więzi są słabe, wówczas każdy musi sobie radzić tak, jak umie. Morsując, suplementując i w ogóle wzmacniając się – ale wyłącznie na własną rękę. W czym oczywiście chętnie pomaga zawsze czujny rynek. Właśnie dlatego widzę w opisywanych w tym felietonie modach swoiste odbicie (nie najlepszego) stanu naszych współczesnych społeczeństw czy może raczej: naszych współczesnych wspólnot. ©

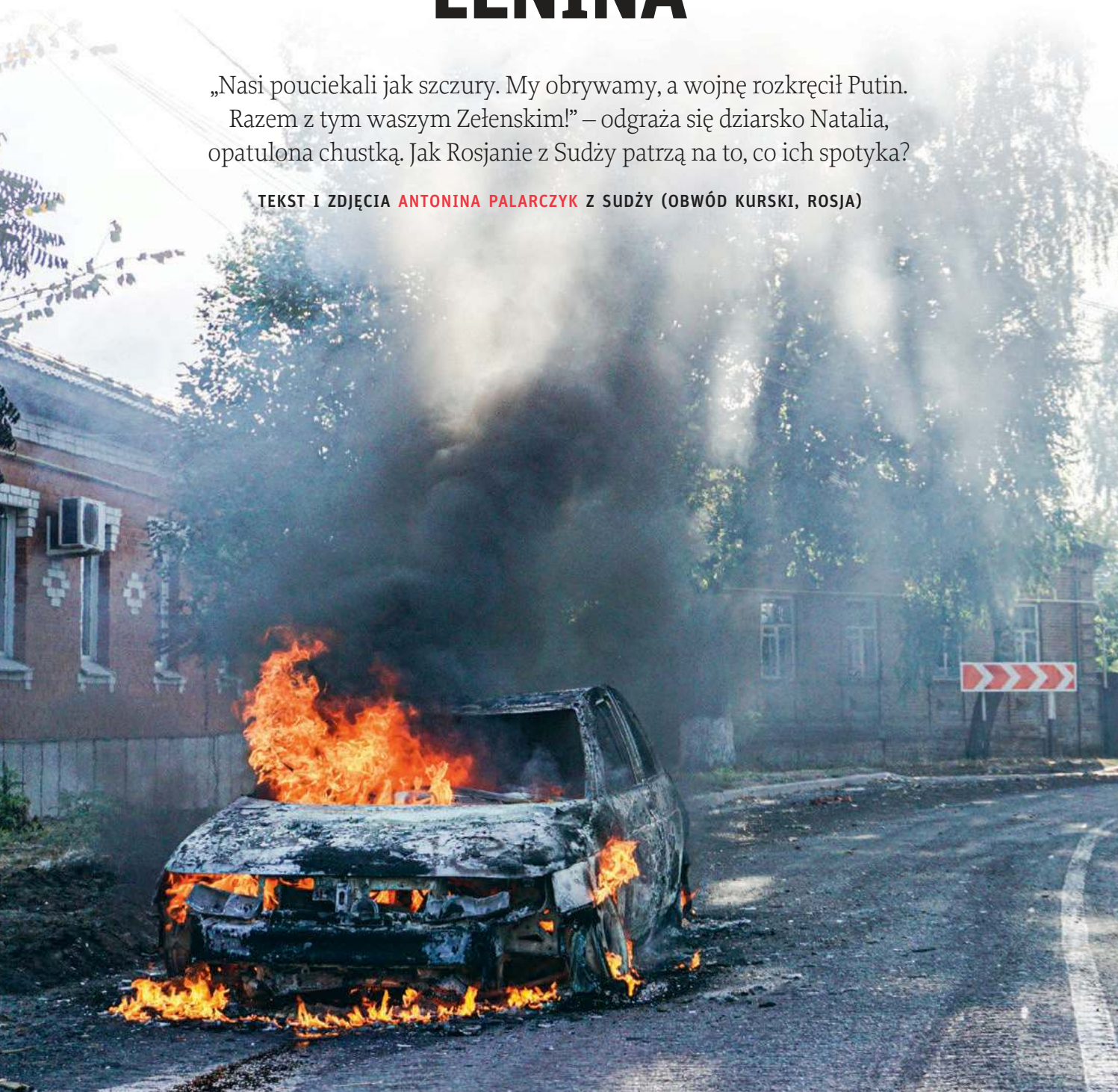
Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd”. Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem”, „Ucieczki od bezradności” i „Reguła na czas chaosu”.

SIEDEM PORTRETÓW LENINA

„Nasi puciekali jak szczury. My obrywamy, a wojnę rozkręcił Putin.

Razem z tym waszym Zełenskim!” – odgraża się dziarsko Natalia, opatulona chustką. Jak Rosjanie z Sudży patrzą na to, co ich spotyka?

TEKST I ZDJĘCIA **ANTONINA PALARCZYK** Z SUDŻY (OBWÓD KURSKI, ROSJA)



WSUDŻY CZAS STANĄŁ 6 SIERPNIA. Na tej dacie zatrzymał się czerwony znacznik na kalendarzu, który wydał Zarząd Federalnej Służby Bezpieczeństwa w obwodzie kurskim. Kalendarz wisi w domu przy ulicy Komsomolskiej, przecznicy Lenina – jednej z głównych ulic miasteczka.

W zatęchłym powietrzu czuć rozgardiasz nagłej ucieczki. Rozwleczone ubrania, niepozmywane gary. Nadgryziona drożdżówka na blacie kuchennym, teraz pokryta bujną pleśnią. Wszystkie opuszczone pomieszczenia, czy tu, czy w Ukrainie, jednoczy odór zepsutej żywności w pozbawionych prądu lodówkach. Prąd i bieżąca woda padły 6 sierpnia.

BYŁO WARTO? | Tego dnia zaczęła się ukraińska ofensywa na terytorium Rosji. Od początku miała swoich sceptyków: argumentowali, że wojska użyte w tej operacji byłyby bardziej potrzebne do odpierania

Rosjan w obwodzie donieckim. Tam właśnie upadł Wuhłedar, bo jego obrońcy nie otrzymali posiłków.

Dziś, po dwóch miesiącach, po stronie ukraińskiej opadła już zupełnie euforia, jaką zaraz po 6 sierpnia wywołał sam fakt, iż wojna prowadzona jest także na terytorium wroga. Coraz częściej można usłyszeć pytanie: czy było warto?

Zwłaszcza że operacja kurska, w pierwszych dniach manewrowa i spektakularna, dziś przybrała charakter pozycyjny. Jak wszędzie. Strony się zaryły w ziemi, a kierunek ten stał się jednym z wielu „zwykłych” odcinków frontu.

Tymczasem w obwodzie donieckim Ukraińcy utracili nie tylko Wuhłedar – w ciągu ostatnich dwóch miesięcy musieli oddać łącznie kilkaset kilometrów kwadratowych ziemi, wróg podszedł pod Pokrowsk, Myrnohrad, Selydowe, Kurachowe. Jaki sens trzymać kilkadziesiąt tysięcy ludzi w obwodzie kurskim, gdy tracimy miasta i wsie – mówią sceptycy.

TRÓJKĄT WE KRWI | A Sudża, nieświadoma tych kontrowersji, wciąż jest pod ukraińską kontrolą. Choć, ściśle rzecz biorąc, prawdziwą kontrolę nad nią mają rosyjskie drony FPV: drony-kamikadze używane na masową skalę, tanie i szybkie.

O ostatniej z tych cech świadczą wraki aut, którym nie udało się przed nimi uciec. Przybywa ich tu codziennie. Zaryte w pobocze, noszą ślady krwi lub pożaru. Te, które należą do armii ukraińskiej, poznać łatwo: na burtach mają namalowany trójkąt, znak rozpoznawczy operacji kurskiej. Zdobi czołgi, bojowe wozy piechoty, a także zwykłe pikapy czy kombiaki – ten główny środek transportu ukraińskiej piechoty zmotoryzowanej.

– Każdy ma nadzieję, że ucieknie. Każdy ma nadzieję, że trafi w kogoś innego – mruczy pod nosem Idris, jeden z czeczeńskich ochotników, którzy operują na tym odcinku, gdy wieczorem pędzimy asfaltem między przejściem granicznym a Sudżą.

DRONY KONTRA REB | Idris pochyla się nad kierownicą, zerka na inne wojskowe auta. Te, które pędzą szybciej od nas, i te, które stoją na poboczu, już wypalone.

*Pożar samochodu trafionego dronem FPV.
Sudża, Rosja, 20 września 2024 r.*

– Ten jest dosyć świeży – komentuje. – Mijałem go zaraz po tym, jak w niego uderzyli. Jak wracałem tą samą drogą, tego samego dnia, ktoś zdążył go już wystrzelić.

Idris ma w aucie REB-a, ale się boi: – Nie wiem, co Rosjanie wymyślili, ale nic się nie ima ich dronów. Wiele z tych trafionych aut miało na dachu REB-y, a i tak zslag je trafił.

Urządzenie REB to w dobie „wojny dronów” obowiązkowe (w wersji idealnej) wyposażenie wojskowego pojazdu: czy to czołg, czy busik. Pożądane przez wszystkich, o które jednak starać trzeba się samemu. Albo przez rodzinę czy wolontariuszy. To zagłuszarka sygnału między dronem a jego operatorem, wykorzystująca falę elektromagnetyczną (polski odpowiednik tego skrótu to WRE: środki walki radioelektronicznej). Jednak zagłuszarka nie zawsze jest skuteczna – nie pomoże, jeśli operatorowi drona uda się znaleźć wolną, niezakłóconą częstotliwość.

Prócz REB-a na drona pomagać ma coś jeszcze: prędkość, tak aby jechać szybciej, niż leci dron FPV. Niektórzy twierdzą, że, bagatela, 200 km/h to byłaby prędkość już bezpieczna. Ale żeby ją rozwinąć, potrzebna jest dobra droga, bez dziur.

KTO ZACZĄŁ? | Przed 6 sierpnia Sudża miała ponad 6 tys. mieszkańców. Dziś jej ulice to głównie: stada porzuconych psów, pędzący na złamanie karku ukraińscy żołnierze, a także nieliczni pozostali rosyjscy mieszkańcy. Ci ostatni nie spieszą się pchać swoje rowery i wózki. Im nie grożą rosyjskie drony. Ale bomby lotnicze, które codziennie spadają w okolicy i nie mają celności drona – już tak.

– Wańka jestem – przedstawia się starszy mężczyzna w ogródku (prawie wszyscy, którzy zostali, są starsi wiekiem). – Jest źle, ale cóż robić, żona przykuta do łóżka. Potrzeba czterech ludzi, żeby ją gdziekolwiek przenieść. Nie było jak uciec. Teraz drugi miesiąc bez chleba w sklepie i bez bieżącej wody. I bez papierosów.

– W centrum działa wojskowa komendantura, tam dają wam wszystko – przekonuje go Abu, ochotnik z Turkmeni-stanu walczący po stronie Ukrainy.

– Nawet nie wiem... Chcieliśmy wyjechać. Szóstego, o dziewiątej rano, powiedzieli, że przyjadą po nas wieczorem. A potem, jak zaczęli bombardować... ➔



Garaz jednego z domów wypełniony podobiznami Lenina.



Pożar jednego z budynków przy placu Sowieckim.

→ – Kto zaczął? – dopytuje Abu.

– Nie wiem.

– A ja wiem. Ruskie.

– Dobry masz ten automat – Wańka uchyla się od tematu i przygląda się broni, którą trzyma Abu.

– Tak, rosyjskiej produkcji. Widzicie? Rosja robi wszystko. Wszystko związane z wojną.

– No ładnie. Idziecie już? Choć pomidorów sobie weźcie – Iwan gestem głowy wskazuje grządkę za plecami. – Papierosów nie macie? Wasi żołnierze zawsze się ze mną dzielą.

– Straszili nas wcześniej tymi Ukraińcami – dodaje. – Ci na tych, tamci na tamtych. Gadali w telewizji. Już nie rozumiem, kto na kogo napada. Ale o waszych chłopakach złego słowa nie powiem. Dali mi chleba i sucharów.

POUCIEKALI, ZOSTAWILI | Miejscowi twierdzą, że w Sudży połowę domów zamieszkiwali ludzie z organów: straży granicznej, FSB, policji. 6 sierpnia mieli zrzucić mundury i w cywilnych ubraniach opuścić miasteczko. Właśnie to budzi największą chyba frustrację

wśród cywilów, którzy czują się pozostawieni sami sobie.

– Pouciekali stąd jak szczury. Obrywamy my, a wojnę rozkręcił Putin. Razem z tym waszym Zeleńskim – odgraża się dziarsko Natalia, opatulona chustką babuszka. – Czemu nie chcą zrobić dla nas korytarza?

– Babciu, słysząc drona, gdzie można się u was schować? – przerywa raptownie Abu.

Wciskamy się pod blaszany daszek na podwórzu. Natalia nie ucieka. Niespokojnym wzrokiem wodzi po niebie.

ZIMA IDZIE | Cóż robić w Sudży? Lepiej się nie wychylać. Olga, jedna z niewielu młodych, znudzona towarzystwem emerytów, przesiaduje na plastikowym krześle przed budynkiem ukraińskiej komendantury. Twarz wystawia do słońca.

– To nie jest dobre życie. Codziennie bombardowania. Dziś o czwartej w nocy tak zdrowo rąbnęło, że życie po raz kolejny przeleciało mi przed oczami. Wszyscy pobiegliśmy do piwnicy. Każdego dnia coraz straszniej tu siedzieć.

Jeszcze ten pożar... Baliśmy się, że ogień dopełni nas – wzdyga się na wspomnienie.

Tej nocy w śródmieściu naprawdę bardzo płonęło, luna zdawała się zastępować niedziałające oświetlenie uliczne.

Olga: – Wszyscy się boją. I czekają na ewakuację. Albo w głąb obwodu kurckiego, albo gdziekolwiek. Ale nikt nie chce zająć się utworzeniem dla nas korytarza. Porzucili nas. W najbliższych miesiącach nie ma szans na żadną zmianę, to już nam dano do zrozumienia.

– Zbliża się zima – rzucam.

Olga: – Zbliża się. Ludzie kopią ziemniaki, ocieplają domy, czym się da. Szukają w sklepach ciepłych rzeczy. Komu wybiło okna, ten stara się coś w nie wstawić. Nikt nie myślał o tym wcześniej. Wojna była obok. Czuliśmy to, słuchaliśmy wiadomości. Ale kto sądził, że przyjdzie do nas.

OBRAŻONA NA ROSJĘ | – Dziewczyno, gdzie po lekarstwa? – zagaduje nas starsza kobieta w walmach.

– Zapytajcie u chłopaków – Olga wskazuje komendanturę. Po czym dodaje:

Pomoc na zimę dla Ukrainy

„Niech każdy liczy tylko na siebie”: taki komunikat wydała niedawno jedna z ukraińskich firm energetycznych. Zniszczenia w infrastrukturze na skutek nalotów są tak duże, że nie tylko ta jedna firma nie może gwarantować odbiorcom, że jesienią i zimą będą mieć prąd. Bliżej frontu, w obwodzie donieckim i części charkowskiego, już dziś energię zapewniają głównie mobilne kotłownie i agregaty.

Ale nie tylko w sferze energetyki może to być najcięższa wojenna zima dla Ukrainy. **Chcemy pomóc naszym ukraińskim przyjacielom** – ludziom, do których już jeździliśmy z pomocą podarowaną przez czytelniczki i czytelników „Tygodnika” – i zebrać środki, za które będziemy mogli kupić **agregaty inwerterowe, stacje zasilania i materiały z zakresu medycyny ratunkowej** (np. opaski hamujące krwawienie). Chcemy je zawieźć, tak jak wcześniej, przede wszystkim na wschodnią Ukrainę.

Zbiórkę prowadzi współpracujące z nami Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka, a „Tygodnik” jej patronuje.

Numery kont:

– w złotych: 20109025900000000150440623

– w euro: 64109025900000000150440898

Odbiorca: Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka.

<https://inicjatywawasiedzka.org>

Dziękujemy!
„Tygodnik Powszechny”
i Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka

– Z ukraińskimi żołnierzami wpadam porozmawiać. Zawsze robią mi herbatę, pośmiejemy się. Fajne chłopaki, po sąsiedzku. Wcześniej, przed szóstym sierpnia, po mieście włoczyli się Czeczeńcy Kadyrowa. Stali na granicy. Upijali się, rozbijali autami, napastowali siedemnastoletnią dziewczynę.

Artykuł 49. Konwencji Genewskiej zabrania przymusowych przesiedleń cywilów z terenów okupowanych. Jednak ewakuacja z terenu okupowanego jest wręcz wskazana przez Konwencję, jeśli wymaga tego bezpieczeństwa cywilów. Sudzę trudno uznać za miejsce dla nich bezpieczne.

Olga: – Zapisalam się na ewakuację do obwodu sumskiego i czekam. Czemu chcę na Ukrainę? Chcę tam zamieszkać, bo na Rosję się bardzo obraziłam. Putin mówi, że w Sudży nikogo nie ma. Dziś żołnierze przekazali nam podawaną przez Rosję informację, że Ukraińcy trzymają nas tu w piwnicach jak zakładników. Pokazali mi screena z rosyjskich mediów. A nam niczego nie brakuje, jest i chleb, i kiełbasa była, i wszystko.

CZEKAJĄ NA „NASZYCH” | Olga wspomina, jak to przed wojną często jeździła do Ukrainy. Jak zresztą wszyscy mieszkańcy pogranicza. – Z obu stron – wyjaśnia. – Ukraińcy też przyjeżdżali do nas.

Olga: – Chcę tam pojechać. Jak dotąd udało się stąd wyjechać jednej dziewczynie z Odessy i jednej z Charkowa, ale one miały ukraińskie paszporty. Czekam na ewakuację i status uchodźcy.

Olga twierdzi, że wielu miejscowych też czeka, ale nie tak jak ona, lecz na powrót armii rosyjskiej: – Czekają na „naszych”. Ilu? Myślę, że połowa. Rozmawiam z nimi, pytam, czy wiedzą, kto nas ostrzeliwuje? Czy wiedzą, kto nas porzucił i nie przejmuje się tym, żeby zaproponować jakiś korytarz humanitarny?

GARAŻ | Zmierzcha. Sudża idzie wcześniej spać. Bo co robić na zimnych już ulicach, które za kilka godzin będą ciemne jak smoła – dziś nic nie spłonie.

Idziemy przez plac Sowiecki, przez ulice Krasnoarmiejską i Róży Luksemburg. Mijamy porzucone resztki życia dawnego lokatora. Może oficera FSB, który powiesił ten kalendarz?

Odprowadzają nas spojrzenia siedmiu Leninów. Siedem jego portretów wisi w garażu opuszczonego domu. Ten mieszkaniec, może również funkcjonariusz rosyjskich organów, miał chyba naturę kolekcjonera.

© ANTONINA PALARCZYK

Natalia
na swoim
podwórku.



Abu obok
noszącego
ślady krwi
samochodu
na poboczu,
trafionego
przez
drona FPV.

Na
drzwiach
trójkątny
znak
operacji
kurskiej.



Iwan
w swoim
ogrodzie.



Isa
codziennie
zestrze-
liwuje
przynajmniej
jednego
rosyjskiego
drona FPV.
Sudża,
18 września
2024 r.





JAGODA GRONDECKA x2

Od lewej: wolontariuszka Nada z psem uratowanym z Ad-Dahiji. Reem Sadek i Maggie Shaarawi z uratowanymi kotami. Bejrut, 9 października 2024 r.

Zwierzęta Libanu

JAGODA GRONDECKA Z BEJRUTU

Ryzykowanie dla nich życiem nie zawsze spotyka się ze zrozumieniem. Niektórzy komentują: to tylko zwierzęta, co z pomocą dla ludzi? Opowieść o Libańczykach, którzy w czas wojny ratują psy i koty, a nawet lwa.

NA MISJE RATUNKOWE JADĄ Z SAMEGO rana, aby zdążyć przed trzynastą, gdy naloty stają się intensywniejsze. Te środki ostrożności nie zawsze wystarczają. Kiedy przed kilkoma dniami członkowie Animals Lebanon penetrowali południowe przedmieście Bejrutu – jak co dzień od dwóch tygodni – bomba trafiła w budynek obok.

– To było przerażające – przyznaje Maggie Shaarawi, wiceprezesa organizacji. – Ale stało się codziennością.

Członkowie Animals Lebanon od przeszło roku pomagają zwierzętom, które cierpią na skutek wojny między Izraelem a Hezbollahem. Początkowo działali na południu kraju, które zaczęło wydłubniać się w miarę izraelskich bombardowań. Reem Sadek, dawniej wolontariuszka, a teraz menadżerka organizacji, zobaczyła skalę problemu, gdy pojechała odwiedzić bliskich. – Gdy pojechałam od-

wiedzić rodzinę w mojej wsi przy granicy, zobaczyłam ogromną liczbę porzuconych zwierząt. Postanowiliśmy, że musimy im pomagać – opisuje.

Najpierw zajmowali się dokarmianiem opuszczonych zwierząt i ewakuacją tych, które były ranne. W miarę, jak sytuacja w Libanie się pogarszała, a wojna dotarła do Bejrutu, stanęli przed nowym wyzwaniem. – To, co dzieje się od kilku tygodni, to coś nowego, niespodziewanego – opowiada mi Sadek w swoim biurze. Dziś w nocy spała kilka godzin. Z siedziby organizacji wyszła o drugiej, aby od szóstej znów koordynować misję ratunkową.

WOJNA | 23 września był dla Libańczyków najbardziej śmiertelnym dniem od czasu zakończenia wojny domowej w 1990 r. Naloty, według Izraela wymierzone w Hezbollah, zabiły co naj-

mniej 492 osoby, w tym wielu cywilów. Trwająca przez kolejne dni kampania powietrzna, a potem także ofensywa lądowa sprawiły, że co najmniej 1,2 mln ludzi musiało opuścić domy. Wielu z całego dobytku ratowało jedynie ukochane zwierzęta, z którymi teraz nie mieli gdzie się podziać.

– 24 września zaczęliśmy otrzymywać mnóstwo telefonów z prośbą o pomoc. Ludzie przychodzili do naszego biura i błagali: musieliśmy uciekać, straciliśmy domy, nie mamy gdzie trzymać zwierząt. Niektórzy trzymali je w ramionach. Zwierzęta były przerażone, ludzie też, dorośli mężczyźni płakali. To było szaleństwo – opowiada Sadek.

Gdy Maggie Shaarawi przed rokiem zaczęła obserwować sytuację w Gazie, myślała, jak bardzo chciałaby móc być tam i pomóc. – Teraz, kiedy to samo dzieje się w moim kraju, nie mogę siedzieć z założonymi rękoma – deklaruje.

Członkowie Animals Lebanon zareagowali. Choć w dotychczasowych pomieszczeniach zaczynało brakować miejsca – pod opieką mieli już ponad 150 zwierząt – udało im się pozyskać kolejne mieszkanie w kamienicy, gdzie mieści się siedziba organizacji.

– Zaczęliśmy przyjmować coraz więcej zwierząt od ludzi, którzy mieszkają w szkołach zamienionych na schroniska i nie mogą trzymać ich ze sobą. Niedawno otrzymaliśmy sygnał o mężczyźnie, który

nocuje na ulicy i ma ze sobą kota. Oczywiście, że musieliśmy mu pomóc.

WYJAZD | Szybko okazało się, że pomoc tym, którzy szukają miejsca dla swoich zwierząt, nie jest jedynym wyzwaniem. Wielu ludzi opuszczało domy w pośpiechu po tym, jak otrzymali wezwanie do ewakuacji i nie byli w stanie zabrać przerażonych pupili. Teraz zwracają się do Animals Lebanon z prośbą o pomoc w uratowaniu ich z bombardowanych terenów.

– Mamy w naszej bazie już prawie 700 zgłoszeń. Musieliśmy zatrudnić nowe osoby, by odbierać telefony, nie byliśmy przygotowani na taką katastrofę. Nie wiedziałam, że tak wiele osób opiekuje się kotami – z uśmiechem mówi Shaarawi. Ale to uśmiech przez łzy.

Od kilkunastu dni trzysobowy zespół wyjeżdża codziennie (czasem po kilka razy) do Ad-Dahiji, intensywnie bombardowanych południowych przedmieść Bejrutu. Każdy wyjazd to ryzyko, grupa podchodzi więc do tego metodycznie. Dla każdego zgłoszenia tworzy osobny plik z informacjami: ile jest zwierząt, jak wyglądają, jak je znaleźć, jak wejść do mieszkania. Wiele osób przekazuje im klucze; inni proszą, by wyważyć drzwi.

Shaarawi dzieli zwierzęta na grupy według ich lokalizacji, tak aby w jak najkrótszym czasie uratować ich jak najwięcej. Muszą monitorować sytuację, dostosować się do tego, co dzieje się na ulicach: – Wcześniej zostawialiśmy jeden samochód na granicy Ad-Dahiji, a drugim jechaliliśmy po zwierzęta. Teraz poruszamy się tam na motocyklach, które trudniej namierzyć.

Shaarawi: – Ad-Dahija wygląda jak miasto duchów, nie ma tam już nic poza zwierzętami. Jedziesz i widzisz tylko koty na ulicach i balkonach.

MOTTO | Ryzykowanie życiem, by ratować zwierzęta, nie zawsze spotyka się ze zrozumieniem. Niektórzy komentują: to tylko zwierzęta, co z pomocą dla ludzi? – Rzecz w tym, że ludziom pomaga mnóstwo osób, podczas gdy zwierzętom niewiele – mówi Shaarawi. – Poza tym pomagając zwierzęciu, pomagamy człowiekowi. To ludzie do nas dzwonią, nie zwierzęta. Od początku to było nasze motto: dobrostan zwierząt to dobrostan ludzi, bo jesteśmy w tym razem.



Członkowie Animals Lebanon wyjeżdżają na swoją misję. Bejrut, 10 października 2024 r.

Niektórzy opiekunowie sami ryzykują i wracają na zagrożone tereny, by nakarmić czy uratować swoich pupili. Shaarawi opowiada o starszym małżeństwie, które codziennie odwiedza swoją kotkę w siedzibie organizacji: – Płakaliśmy, jak usłyszeliśmy ich historię. Oni otrzymali nakaz ewakuacji, próbowali złapać kotkę, ale była w panice, uciekała i nie udało im się zabrać jej ze sobą. Następnego dnia kobieta wróciła po nią między spadającymi bombami. Powiedziała nam, że kotka zaraz przybiegła w jej ramiona, jakby rozumiejąc, że jest uratowana.

Małżeństwo odwiedza ją regularnie. Podobnie postępuje wiele rodzin, które nie mogą być razem ze swoimi zwierzętami. Na korytarzu spotykam Anan i jej męża, którzy musieli opuścić dom w miasteczku Srifa w południowym Libanie. Przyszli, by zobaczyć swojego kota Cookie. – Widzę, że cierpi z powodu rozłąki – mówi Anan. – Cała ta sytuacja go strumatyzowała, bał się tak, że mnie drażał – pokazuje nadgarstki. Ma nadzieję, że ich wizyty pomogą Cookiemu oswoić się z tą sytuacją.

HISTORIE | Zwierzęta w tej wojnie cierpią tak samo jak ludzie. Przerażone odgłosami bomb, często chowają się przed ratownikami. – Nawet po przybyciu w bezpieczne miejsce są zestresowane, nie chcą jeść – opowiada Shaarawi. – A przecież to zwierzęta domowe, były

blisko z człowiekiem. Nie wiedzą, co się dzieje.

Uratowanie kolejnego życia lub połączenie zwierząt z opiekunami to chwile satysfakcji. Jednak nie zawsze się udaje. Shaarawi pokazuje mi kolejne nagranie: pracownicy organizacji przedzierają się przez zawaloną gruzem klatkę schodową. Mężczyzna, który musiał opuścić dom, poprosił o pomoc w uratowaniu jego trzech kotów.

Budynek został jednak zbombardowany w noc przed tym, jak ratownicy tam dotarli. Mieli nadzieję, że kotom udało się przeżyć. Jak w wielu przypadkach, po wejściu do ruin mieszkania zadzwonili do ich opiekuna, licząc, że zwierzęta wyjdą ze schronienia, gdy usłyszą jego głos. Wkrótce później znaleźli jednak ich ciała.

Shaarawi łamie się głos, gdy opowiada tę historię. – Miałam poczucie winy, choć próbowałam logicznie wytłumaczyć sobie, że nie damy rady pomóc wszystkim.

Inna sytuacja, którą przeżyła emocjonalnie, to historia mężczyzny, który mimo ryzyka codziennie wracał do domu w Ad-Dahiji, by nakarmić swoje koty.

Shaarawi: – Zwracał się do nas po pomoc, ale nie mieliśmy miejsca, by je przyjąć. Pewnego dnia zadzwoniłam do niego, powiedział: jak dobrze, że dzwoniś, przyjechałam właśnie dać im jedzenie, nikt nie chce przyjąć mnie z dwójką kotów. Nie wiedział, co ma robić. Powiedziałam

→ mu: dobrze, bierz koty i przyjeżdżaj. Kiedy do nas dotarł, był roztrzęsiony. Jego budynek został zbombardowany. Poczułam wtedy, że uratowałam mu życie.

LWICA | Ostatnie dni są dla nich wyczerpujące. Często pracują na okrągło, do domów wracają tylko, by chwilę odpocząć. Shaarawi: – Niedawno dwoje pracowników zemdlalo. Patrzę na Reem i widzę, jak jest zmęczona. Ale wiem, że jeśli pójdziemy teraz do domu, jakieś zwierzę nie otrzyma pomocy.

Cały czas zgłaszają się nowi wolontariusze.

I tak, działanie na rzecz zwierząt daje Nadzie, emerytowanej pracowniczce belgijskiej ambasady, poczucie, że jest pożyteczna. – Zawsze chciałam pracować ze zwierzętami i obiecywałam sobie, że zrobię to na emeryturze. Nie sądziłam, że stanie się to w takich okolicznościach – opowiada i uspokaja psa, który przyjechał właśnie z Ad-Dahiji. – Zespół ratunkowy dopiero co go przywiózł. Ludzie z obrony cywilnej mówili, że widzą go na ulicach od trzech dni. No już, dobry chłopiec, nie bój się – zwraca się do owczarka.

Kobieta chciałaby go przygarnąć, ale opiekuje się już trzema kotami. Wielu członków organizacji ma w domach zwierzęta.

Z Maggie Shaarawi mieszka pięciomiesięczna lwica Sara. Ratowanie dzikich zwierząt, które padają ofiarą przemytu, rozpowszechnionego w tym regionie, to od lat jedna z misji ich organizacji. Sara została skonfiskowana mężczyźnie z doliny Baalbek, który kupił ją od przemytnika. Miała zostać przyjęta przez Republikę Południowej Afryki, ale linie, które zgodziły się sponsorować jej podróż, zawiesiły w tej chwili loty do Bejrutu.

Szukają więc teraz sposobu, by zorganizować bezpieczną podróż dla lwicy, zanim stanie się za duża, by Shaarawi mogła bezpiecznie żyć z nią pod jednym dachem. – Albo zgine w nalocie, albo zabita przez lwa – żart Shaarawi brzmi jednak gorzko. © JAGODA GRONDECKA

Mołdawskie paradoksy

PIOTR OLEKSY

Mieszkańcy tego małego kraju na peryferiach Europy często mieli wrażenie, że niewiele od nich zależy. Jednak w decydujących momentach popychali swój kraj na Zachód. Teraz znów muszą wybrać.

LEB ŚWINI SPOGLĄDAŁ NA MNIE ZZA SZYB sklepowej lodówki. Był upał, na zewnątrz powietrze drgało z gorąca. Na opustoszałych ulicach mołdawskiego miasteczka Nisporeni można było dostrzec jedynie szukających skrawka ciepla aktywistów. Próbowali prowadzić kampanię przed wyborami.

Kilka dni później, 11 lipca 2021 r., proeuropejska Partia Aktywności i Solidarności (PAS) zdobyła samodzielną większość w parlamencie. Musiałem przeczuwać ten rezultat, bo wtedy, spoglądając na dorodny okaz w sklepowej lodówce, pomyślałem, że niedługo takich widoków już nie będzie. Europeizacja zmiecie je z krajobrazu.

PERYFERIE | Kilka godzin później, gdy siedziałem już w autobusie do Kiszyniowa, naszła mnie autorefleksja: dlaczego, do licha, akurat patrząc na świński łeb pomyślałem o nieuchronności zbliżenia Mołdawii z Unią Europejską?

Wtedy zdałem sobie sprawę, że trwa to już od jakiegoś czasu. Gdy w 2008 r. odwiedziłem ten kraj po raz pierwszy, widziałem w nim peryferie świata posowieckiego, którego centrum jest w Moskwie. Mówiło o tym wiele szczegółów z otoczenia, a także ludzkie zachowania. Potem minęło 13 lat – i w roku 2021 w mojej głowie Mołdawia przesunęła się na mapie: stała się peryferiami zjednoczonej Europy, z jej centrami w Brukseli, Berlinie, Paryżu czy Warszawie.

Teraz, w niedzielę 20 października, Mołdavianie pójdą do urn, by wybrać prezydenta i głosować w referendum



w sprawie integracji z Unią. Okaże się, czy tamta moja wizja ze sklepu w Nisporeni nie była po prostu fantasmagorią zmęczonego upałem analityka.

ZAGROŻENIE | To referendum wcale nie jest konieczne. Co prawda Unia w czerwcu 2022 r. nadała Mołdawii status kandydatki, a później otworzyła negocjacje akcesyjne. Jednak Bruksela nie wymaga takiego poparcia dla integracji. Owszem, referenda akcesyjne odbywały się w wielu państwach, w tym w Polsce, ale nie są one obowiązkowe. I co najważniejsze: dotąd odbywały się już po zamknięciu negocjacji, a nie na ich starcie. Obywatele powinni wiedzieć, na jakich warunkach wchodzi do Unii.

Jednak referendum było potrzebne urzędującej prezydentce Mai Sandu i jej obozowi, skupionemu w PAS. Wielu Mołdavian jest rozczarowanych rządami tej proeuropejskiej ekipy. Pierwotną tego przyczyną są, jak to często bywa, nadmierne oczekiwania. Mołdavianie liczyli, że Sandu i PAS w kilka lat odmieńnią ich kraj. Tymczasem przyszło im mierzyć się z wyzwaniem od nich niezależnymi – w tym z szantażem gazowym Moskwy i jej inwazją na Ukrainę, która sąsiaduje z Mołdawią.

Na początku inwazji były wręcz obawy o przyszłość mołdawskiej państwowości.



Kandydująca na drugą kadencję prezydentka Mołdawii Maia Sandu podczas wiecu inauguracyjnego jej kampanii wyborczej w Kiszyniowie, 20 września 2024 r.

ELENA COVALENCO / AFP / EAST NEWS

Możliwy wydawał się scenariusz, że Rosja zdobywa Odessę, a potem, dzięki Nadnistrzu (to w istocie protektorat Rosji) i stacjonującym tam żołnierzom szantażuje Mołdawię, po czym układa jej ustrój na swoją modłę. Tak się nie stało, ale władze w Kiszynowie musiały mierzyć się z napływem uchodźców, skokowym wzrostem cen gazu i ciągłym poczuciem zagrożenia, które Rosja podsycala. Nie były to warunki dla cudu gospodarczego.

PRZYSZŁOŚĆ | Poza tym proeuropejska ekipa nie ustrzegła się błędów. Jednym z jej haseł było uczciwe i sprawne państwo. Jednak reforma wymiaru sprawiedliwości wlecze się, a liczne działania władz budzą wątpliwości prawne i etyczne. Nie ustrzeżono się też błędów w komunikacji i zarządzaniu, co potwierdza stereotyp, że PAS to idealisci bez doświadczenia. Choć obóz władzy i eksperci powtarzają, że Mołdawia jest stale celem ataków hybrydowych Rosji, to np. decyzja o zamknięciu wszystkich prorosyjskich kanałów TV wzbudziła rozgoryczenie lub co najmniej niesmak (podjęto ją przy pomocy wybiegów prawnych).

Po pięciu latach prezydentury i trzech latach rządów PAS, Maia Sandu nadal jest najjaśniejszą gwiazdą tego obozu. W połowie tego roku cieszyła się największym zaufaniem społecznym z wszystkich poli-

tyków: ufało jej 33 proc. badanych. Kilka procent więcej chciało głosować na nią w wyborach prezydenckich, co dawało jej pierwszeństwo w wyścigu. Nie gwarantowało jednak sukcesu już w pierwszej turze. Biorąc pod uwagę spadające poparcie dla PAS i fakt, że latem 2025 r. są wybory parlamentarne, obóz władzy chciał więc zrobić wszystko, by zapewnić jej jednoznaczne zwycięstwo.

Stąd pomysł referendum europejskiego. Maia Sandu ogłosiła go w orędziu noworocznym. Użyto prawnej ekwilibrystyki, by powiązać je z wyborami prezydenckimi. W ten sposób Sandu i PAS wysyłają sygnał społeczeństwu: to nie jest plebiscyt poparcia dla władzy, lecz głosowanie nad przyszłością Mołdawii.

NEUTRALNI | Często uważa się, że Mołdawianie (jest ich ok. 2,5 mln) są prawie równo podzieleni między zwolenników integracji z Zachodem i tych, którzy widzą swój kraj u boku Rosji. Ostatnie badania socjologiczne (m.in. realizowane przez think tank Watchdog.md) pokazują jednak, że ten obraz dwóch obozów jest daleki od rzeczywistości.

W istocie mamy tu trzy grupy. Pierwsza zdecydowanie popiera integrację z Zachodem, dopuszcza nawet myśl o zbliżeniu z NATO. Na drugim biegunie są zwolennicy bliskich więzi z Rosją. Między nimi

zaś jest trzecia grupa – i to jej nastroje są kluczowe dla przyszłości kraju. Charakteryzuje się ona niechęcią wobec jednoznacznych decyzji w kwestiach polityki zagranicznej. Są tu zarówno zwolennicy neutralności i balansowania między geopolitycznymi blokami, jak też ci, którzy sądzą, że cała ta dyskusja jest niepotrzebna.

W latach 2020-21, gdy władzę przejęli Sandu i PAS, ta grupa „neutralnych” była podatna na opowieść proeuropejską, bo obiecywała ona lepsze życie, walkę z korupcją, sprawne państwo i wizję dobrobytu. Z kolei po rosyjskiej inwazji na Ukrainę i bohaterskiej jej obronie powstała przestrzeń dla opowieści o konieczności wzmacniania więzi z Zachodem, który jest gwarancją bezpieczeństwa – zaś przestrzeń dla narracji prorosyjskiej się skurczyła.

Jednak im dłużej trwa wojna na Ukrainie, tym silniej uwidaczniają się emocje typowe dla wielu Mołdawian: obawy przed nadmiernym zaangażowaniem, chęć cichego przeczekania wielkiej zawieruchy i wiara, że najlepiej jest trzymać równy dystans do wszystkich.

PROROSYJSCY | Dziś jawnie prorosyjską narracją posługuje się tylko grupa skupiona wokół zbiegłego z kraju oligarchy Ilana Șora. Powstanie jego najnowszego projektu – platformy Zwycięstwo, która łączy kilka małych partii – ogłoszono w rosyjskiej stolicy. Oligarcha ten, ściągany za udział w kradzieży miliarda dolarów z trzech mołdawskich banków, mieszka dziś w Moskwie. Stąd finansuje i koordynuje podległych sobie polityków.

Ma w tym pewne sukcesy: w czerwcu 2022 r. zdołał umieścić swoją protegowaną na czele Gagauzji (to 150-tysięczny region autonomiczny). Choć wymiar sprawiedliwości robi wiele, by ograniczyć jego możliwości (m.in. wskazując, że posługuje się on korupcją polityczną i rosyjskimi pieniędzmi), Șorowi i jego grupie udaje się przekonać zwłaszcza najbardziej i najbardziej rozgoryczoną część społeczeństwa.

Pozostali liderzy tej części sceny politycznej zmienili retorykę. Miejsce →

→ otwartej prorosyjskości zajęła troska o zwykłego człowieka (jego los rzekomo nie obchodzi Sandu i PAS), a także oskarżenia wobec rządzących o łamanie reguł demokracji oraz o podległość „zachodnim mocodawcom”.

Ich opowieść brzmi mniej więcej tak: nie jesteśmy za Rosją i przeciw Europie, po prostu Mołdawia jest za mała, by włączać się w gry geopolityczne; Sandu i PAS dbają o interes Kijowa i USA, a nie zwykłych ludzi; współczujemy Ukraincom, wojna jest straszna, ale Zachód też ugrywa na niej swoje interesy; jednoś Zachodu się kruszy, Trump wygra, a my zostaniemy z Zełenskim jak z ręką w nocniku.

KONKURENCI | Na ciekawe zagranie zdecydowała się Partia Socjalistów, która rządziła w latach 2019-21 i przez lata promowała swą bliskość z Kremlem. Zamiast swojego lidera i byłego prezydenta Igora Dodona, jako kandydata na prezydenta wystawiła byłego prokuratora generalnego Alexandru Stoianoglo.

Jest on postrzegany jako profesjonalista i państwowiec, daleki od polityki (wcześniej nie był związany z socjalistami), a do tego „ofiara rządów PAS”. Został bowiem pozbawiony funkcji prokuratora generalnego po przejściu władzy przez tę partię. Wytyczono mu też szereg procesów. Niestety żaden z nich nie zakończył się dotąd wyrokiem.

Stoianoglo wygrał sprawę przed Europejskim Trybunałem Praw Człowieka, który stwierdził, że władze naruszyły jego prawo do sprawiedliwego procesu. Fakt, że pochodzi z mniejszości narodowej – jest Gagauzem – również może pomóc mu w tej sytuacji. Kandydat socjalistów podkreśla, że nie jest przeciwnikiem integracji z Unią, ale że sprzeciwia się wykorzystywaniu tej kwestii w walce politycznej (cokolwiek by to miało znaczyć).

Natomiast minusem Stoianoglo – z punktu widzenia jego zwolenników – jest brak charyzmy. Sympatycy widzą w nim solidnego urzędnika, a nie lidera, który pociągnie tłumy.

Kandydatów na prezydenta jest jeszcze kilku, wśród nich są osoby o głośnych nazwiskach. Nie wydaje się jednak, by byli realnymi konkurentami w tej walce. Raczej robią szum, podgryzają Maie Sandu i próbują budować swą pozycję na przyszłość.

Zacieśnianie więzi z Unią postępuje dziś w Mołdawii równoległe ze słabnięciem wpływów Rosji.

BURMISTRZ | Połączenie wyborów prezydenckich z referendum pozwoliło zneutralizować najtrudniejszego rywala: Iona Cebana, burmistrza Kiszyniowa. Wywodzi się on z Partii Socjalistów, ale od jakiegoś czasu rozwija własny projekt, tym razem o proeuropejskim charakterze. Autentyczność jego zwrotu jest często podważana. Politycy PAS widzą w nim „ukryty projekt Kremla”, inni zaś zwyczajny koniunkturalizm.

W 2023 r. Ceban zapewnił sobie reelekcję na burmistrza stolicy już w pierwszej turze. Coraz więcej Mołdawian widzi w nim alternatywę dla obozu władzy. Gdyby jednak zdecydował się kandydować na prezydenta, musiałby połączyć swój przekaz z krytyką Sandu, którą otwarcie popierają unijni liderzy. Nie przypadkiem w ostatnich tygodniach Kiszyniów odwiedzali premier Tusk i kanclerz Scholz. Ceban uznał, że w tej sytuacji lepiej jest czekać.

SONDAŻE | Przeprowadzenie referendum wraz z wyborami prezydenckimi przysłużyło się więc obozowi władzy. Pytanie, w jaki sposób odbije się na procesie integracji europejskiej Mołdawii?

Badanie Międzynarodowego Instytutu Republikańskiego z czerwca 2024 r. pokazało, że za wstąpieniem do Unii chciało wtedy głosować 53 proc. badanych. Jednak kilka miesięcy wcześniej ten wynik był o kilka procent wyższy. Poparcie sondażowe waha się więc w okolicy 50 procent. Wielu ekspertów uważa, że negatywnie odbija się na nim stosunek wyborców do partii rządzącej.

Nadrzędne pytanie przed niedzielnym głosowaniem brzmi więc: czy Mołdawianie kupili opowieść o głosowaniu nad przyszłością państwa w oderwaniu od bieżących ocen politycznych? Nie chodzi tu tylko o to, aby „za” opowiedziała się co najmniej połowa głosujących. Europejscy partnerzy, którzy sceptycznie podchodzili do pomysłu tego głosowania, chcieliby silnego mandatu społecznego, który nie pozostawia miejsca dla spekulacji.

PARADOKSY | Alexandru Flanchea, były wicepremier ds. reintegracji Mołdawii, a obecnie wzięty analityk, podzielił się ze mną niedawno opinią, że gdy idzie o integrację europejską, niewiele zależy od samej Mołdawii.

Podał przykłady: w 2014 r. Bruksela nie podpisała Umowy Stowarzyszeniowej, gdyż rządzący tym państwem oligarchowie łamali wszelkie reguły gry. Jednak jej zawarcie było wówczas odpowiedzią na rosyjską aneksję Krymu i agresję w Donbasie. Gdy zaś po inwazji Ukraina złożyła wniosek o członkostwo w Unii, mołdawskie władze zachowywały się wstrzeźliwie. Dopiero unijni dyplomaci uświadomili im, że nie mogą przegapić tej okazji.

W jego słowach jest wiele racji. Położenie międzynarodowe tego małego państwa, a nawet kwestie polityki wewnętrznej są często ustalane ponad głowami Kiszyniowa.

Lecz w wielu decydujących momentach Mołdawianie popychali swoje państwo na Zachód. Tak było w 2003 r., gdy masowo protestowali przeciw porozumieniu, które na długo związałoby ich kraj z Rosją. Tak było też w latach 2020-21, gdy – wymęczeni rządami oligarchów, którzy budowali kleptokratyczny reżim, wymachując przy tym unijną flagą – dali szansę formacji nowej i autentycznej proeuropejskiej.

WYBÓR | Od 2004 r. to właśnie proeuropejska retoryka pozwala utrzymać władzę kolejnym ekipom rządzącym Mołdawią. Wyjątkiem, który jednak szybko musiał się zakończyć, było półtora roku rządów socjalistów.

Zacieśnianie zależności z Unią – gospodarczych, społecznych, kulturowych – postępuje dziś równoległe ze słabnięciem wpływów Rosji. Doskonale widać to po ruchach na scenie politycznej: otwarcie za Kremlem opowiadają się już tylko zwolennicy skompromitowanego oligarchy, a ambitny burmistrz Kiszyniowa powtarza, że jego celem jest „ochronić europejski wybór Mołdawii”.

Jest nadzieja, że 20 października Mołdawianie zrobią kolejny krok na tej drodze.

© PIOTR OLEKSY

Autor jest analitykiem w Instytucie Europy Środkowej w Lublinie oraz adiunktem na UAM w Poznaniu. Stale współpracuje z „TP”.



RYAN COLLERT / AFP / EAST NEWS

Polscy Amerykanie czekają na prezydenta Andrzeja Dudę przed odsłonięciem pomnika Solidarności na cmentarzu przy Sanktuarium Matki Boskiej Częstochowskiej w Doylestown. Na tym cmentarzu spoczywa 5 tys. Amerykanów polskiego pochodzenia – weteranów, działaczy społecznych itd. Pensylwania, 22 września 2024 r.

Co dla Polonii jest ważne

MARTA ZDZIEBORSKA

Na ostatniej prostej kampanii wyborczej Kamala Harris i Donald Trump walczą o poparcie Amerykanów polskiego pochodzenia. Pytamy ich, na kogo zagłosują.

NIEDZIELA, 6 PAŹDZIERNIKA. NA SWOjej platformie Truth Social Donald Trump publikuje życzenia z okazji zbliżającego się Dnia Pamięci Generała Pułaskiego, bohatera walki o niepodległość USA, poległego w bitwie z Anglikami pod Savannah w 1779 r.

W niespełna minutowym nagraniu Trump chwali Pułaskiego za „siłę i odwagę”, aby następnie przekonywać, że kocha Polskę i Polaków. „Nie ma nikogo lepszego. Są wspaniali, silni i mądrzy. Uczynimy Amerykę znów wielką” – kończy swoim kampanijnym hasłem.

Pierwsza niedziela października była zresztą dla Trumpa pełna polskich akcen-

tów. W swoim wieżowcu Trump Tower spotkał się z przedstawicielami środowiska polonijnego, którzy organizowali na Manhattanie Paradę Pułaskiego. Udzielił też wywiadu Michałowi Rachoniowi z Telewizji Republika. W krótkiej rozmowie nazwał Andrzeja Dudę „świątynnym facetem”, zapewnił znów o swej miłości do Polaków i przekonywał, że gdyby to on był teraz przywódcą USA, Putin nie zaatakowałby Ukrainy.

„Relacje z Polakami są po prostu niezwykłe. Mam nadzieję, że pójdą na wybory i zagłosują na mnie, bo druga strona nie lubi Polaków, nie lubi religii, nic jej się nie podoba” – mówił Trump.

Reklama skrojona pod Polonię

Był to największy jak dotąd wyborczy gest Trumpa wobec Polonii. W wyrównanym wyścigu o Białą Dom jej głosy liczą się zwłaszcza w kluczowych dla wyniku stanach: Pensylwanii, Michigan i Wisconsin. Amerykanie polskiego pochodzenia stanowią tam 5-8 proc. ludności. Mieszkają też w Arizonie, Nevadzie i Karolinie Północnej – kolejnych „stanach wahających się”, gdzie walka toczona jest o każdy głos. Z wyborów na wybory mieszkańcy tych stanów głosują raz na kandydata Demokratów, a raz Republikanów.

Rękę w stronę Polonii wyciąga też Kamala Harris. Podczas wrześniowej debaty z Trumpem, zwracając się do 800-tysięcznej społeczności polonijnej w Pensylwanii, straszyła, że Trump oddałby Putinowi Ukrainę bez mrugnięcia okiem, gdyby tylko dostał za to jakąś przysługę.

Wątek bezpieczeństwa Europy pojawia się też w jej spotach wyborczych. Jeden z nich zaczyna się od hejnału mariackiego i legendy o trębaczu, ostrzegającym Kraków przed najazdem wroga. ➔

→ „Dziś kochający wolność Polacy i Ukraińcy ostrzegają nas przed nowym zagrożeniem. Donald Trump zachęcał Władimira Putina do ataku na naszych sojuszników. Kamala Harris usłyszała dźwięk trąbki i będzie bronić sojuszników: za wolność ich i naszą!” – mówi lektor. Spot emitowano na YouTube i w stacjach telewizyjnych w Pensylwanii.

„Milton” nie przerywa kampanii

Portal „Foreign Policy” podaje, że na połowę października Harris planuje spotkanie z wyborcami polskiego (i szerzej: wschodnioeuropejskiego) pochodzenia w pensylwańskich miastach Doylestown i Wilkes-Barre. To drugie położone jest w hrabstwie Luzerne, w którym polskie korzenie deklaruje co szósty mieszkaniec. Z kolei w Doylestown mieści się ważne dla Polonii sanktuarium maryjne (to tutaj we wrześniu Trump miał spotkać się z Dudą; spotkanie jednak odwołano).

Na ostatniej prostej w Pensylwanii Republikanin i jego rywale dosłownie depczą sobie po piętach. Aby walczyć o głosy, były prezydent powrócił nawet do 13-tysięcznego miasteczka Butler, gdzie w lipcu próbował go zabić zamachowiec. Cztery dni później zorganizował dwa wiece w czasie, gdy nad inny stan – Florydę – nadciągał potężny huragan „Milton”. Cała Ameryka żyła w tym momencie „Miltonem”. Kampanii nie przerwał także sztab Kamali Harris: następnego dnia w Pittsburghu elektorat na rzecz Demokratki mobilizował były prezydent USA Barack Obama.

„Wolę Demokratów”

Małgorzata Kamińska, 62-latką z Filadelfii w Pensylwanii, na żadnym wiecu nie była, ale mówi, że Harris może już liczyć na jej głos. Tłumaczy, że jest zmęczona słuchaniem, jak to Trump ze swoim transakcyjnym podejściem do polityki zagranicznej szybko zakończy wojnę w Ukrainie.

– W Polsce mam dwie siostry i wściekam się, gdy słyszę od znajomych Polonusów, że nawet jeśli Ukraina trafi w ręce Putina, nasz kraj będzie bezpieczny. To krótkowzroczne i niebezpieczne – denerwuje się Małgorzata, całym sercem podpisująca się pod listem przedstawicieli środowiska polonijnego w Pensylwanii, którzy pod koniec września poparli Harris. Z kolei Coalition of Polish Americans ze stanu Illinois kibicuje Trumpowi,

Wbrew stereotypom Amerykanie polskiego pochodzenia nie są jednorodną grupą stojącą murem za Republikanami.

w swoim liście przekonując, że Harris osłabia wizerunek USA, co może wzmocnić Rosję.

O preferencjach wyborczych Małgorzaty Kamińskiej decyduje nie tylko sprawa bezpieczeństwa w Europie. Tłumaczy, że nie wyobraża sobie poparcia dla skazanego za fałszowanie dokumentów biznesowych Trumpa, który jako prezydent nominował do Sądu Najwyższego trzech konserwatywnych sędziów. Ci w czerwcu 2022 r. znieśli orzeczenie gwarantujące federalne prawo do aborcji.

Do Polski już nie wróć

Kamińska boi się też, że jako prezydent Trump zarządzi cięcia w programie ubezpieczeń zdrowotnych dla seniorów Medicare. To dla niej ważna kwestia, bo planuje przejść na emeryturę za pięć lat. Dobrze wie, jak słono kosztuje w USA brak dobrej polisy, bo pracuje w dziale windykacji w szpitalu i była świadkiem wielu dramatów.

– Choć znam tylko nazwisko, adres i kwotę zadłużenia pacjentów, jest mi ich zwyczajnie szkoda. Ostatnio trafił mi się przypadek mężczyzny, który miał wycinane kamienie żółciowe. Zabieg kosztował 26 tys. dolarów, z czego ubezpieczyciel pokrył 12 tys., a resztę pacjent musi włożyć z własnej kieszeni. Zgodziliśmy się rozłożyć mu płatność na miesięczne raty po 100 dolarów. Proszę policzyć, ile zajmie mu oddanie tej kwoty... – Małgorzata dodaje, że po zabiegu z narkozą mężczyzna nie został nawet na noc w szpitalu.

Do Polski Małgorzata jednak już nie wróci. W USA ma dom ze spłaconym kredytem. Z rodzinnej Warszawy wyjechała w 1998 r., by leczyć rany po rozwodzie: spakowała walizki i przyjechała do Filadelfii z 4-letnim synem. Jak wiele Polek zaczynała od sprzątania domów. Przez lata harowała za dwoje, bo w filadelfijskiej dzielnicy Port Richmond, gdzie

mieszkała, szkoły publiczne oferowały kiepski poziom.

Jak mówi, właśnie za sprawą drogiej edukacji syna odwróciła się od Republikanów. Po zdobyciu obywatelstwa USA zarejestrowała się jako wyborca Demokratów, bo ci w Filadelfii obiecywali wyższe ulgi podatkowe dla rodziców dzieci uczących się w szkołach prywatnych. – Zrozumiałam, że Demokraci lepiej dbają o klasę pracującą – mówi Małgorzata Kamińska.

„Potrzebuję spokoju”

Podobnego zdania jest Gosia Rotfeld, 45-letnia producentka filmów dokumentalnych mieszkająca w Broomall. To przedmieście Filadelfii, które w 2020 r. pomogły Bidenowi zwyciężyć w Pensylwanii.

Aby pomóc Demokratom w powtórzeniu tego sukcesu, Gosia zaangażowała się ostatnio w kampanię Harris. Jako wolontariuszka wypisywała pocztówki zachęcające wyborców do pójścia 5 listopada do urn. W USA mieszka od niemal 20 lat. Do USA przyjechała po skończonych studiach dziennikarskich w Warszawie.

Jak mówi, boi się, że Trump pociągnie Partię Republikańską w stronę autorytaryzmu. Tak jak wiele Amerykanek wściekła jest też na restrykcje aborcyjne, które na fali werdyktu Sądu Najwyższego wprowadziło wiele stanów rządzonych przez Republikanów. Wreszcie, podoba jej się poparcie Kamali Harris dla zastrzeżenia przepisów dotyczących posiadania broni palnej. Gosia boi się o 9-letniego syna, który już od pierwszej klasy podstawówki uczestniczy w szkoleniach na wypadek strzelaniny. Te w amerykańskich szkołach nie należą do rzadkości.

– Ludzie mówią, że Kamala Harris nie jest przebojową polityczką. Ale ja nie potrzebuję charyzmy, tylko spokoju. Zagłosowałabym dziś na każdego, byle tylko nie dopuścić Trumpa do władzy – mówi Gosia Rotfeld.

Reagan, a potem Bill Clinton

Wbrew stereotypom Amerykanie polskiego pochodzenia, których w USA jest ok. 9 mln, nie są jednorodną grupą stojącą murem za Republikanami. Wyraźnie pokazały to ostatnie dekady.

I tak, choć Polonia pomogła zwyciężyć w wyborach prezydenckich m.in. Ronaldowi Reaganowi i jego następcy George'owi H.W. Bushowi, to później

poparła Demokratów: Billa Clintona i Baracka Obamę. W 2016 r. polonijny elektorat skreślił znów na prawo, a konkretnie mieszkańcy Pensylwanii, Wisconsin i Michigan – ich głosy pomogły wygrać Trumpowi. W tych trzech stanach pokonał on Hillary Clinton przewagą ok. 80 tys. głosów. Jednak, według danych amerykańskiego Piast Institute, cztery lata później większość wyborców polskiego pochodzenia poparła Bidena.

Mało się dziś o tym mówi, ale aż do końca lat 70. XX w. Polonia była wręcz twardym elektoratem Partii Demokratycznej, która swoim programem trafiała do nowo przybyłych imigrantów.

Polacy do USA docierali w trzech dużych falach: na przełomie wieków XIX i XX, po II wojnie światowej i po upadku komunizmu w 1989 r. Przodkowie Amerykanów polskiego pochodzenia pracowali w fabrykach, zakładach tekstylnych i kopalniach. Stąd duża społeczność o polskich korzeniach we wspomnianym hrabstwie Luzerne w Pensylwanii.

„Mam dość spamu”

Prawie 4 tys. km na zachód od Pensylwanii, w Arizonie, mieszka Ewa Gryc. Do USA dostała się dzięki loterii wizowej. Dziś, 30 lat później, jest łakomym kąskiem dla sztabów Harris i Trumpa: mieszka w Surprise w hrabstwie Maricopa, gdzie w 2020 r. rozegrała się zażarta walka między Trumpem a Bidenem. Demokratą wygrał tu przewagą zaledwie 2,2 pkt. proc., co uruchomiło falę pozwów zwolenników Trumpa: twierdzili, że przy liczeniu głosów doszło do nieprawidłowości. Dziś w Arizonie Trump minimalnie prowadzi w sondażach.

Ewa Gryc mówi „Tygodnikowi”, że prawie codziennie jest bombardowana esemesami od obu sztabów i ma dość kampanijnego spamu. – Wciąż czytam, że Trump ma na koncie wyrok albo że Harris wspiera operację korekty płci dla nastolatków i za jej rządów takie zabiegi rzekomo będą wykonywane masowo. Obie strony starają się, jak mogą, ale nic nie ugrają. W tych wyborach głosować nie będę – zarzeka się Ewa, która jest wyborcą niezależnym, czyli nieidentyfikującym się z konkretną partią.

Cztery lata temu głosowała na Bidena, a osiem lat temu na Trumpa. Dziś uważa, że żaden kandydat nie zasługuje na jej poparcie. Trump odpycha ją arogancją i nie-



GOSIA ROTFELD z Pensylwanii zaangażowała się ostatnio jako wolontariuszka w kampanię Kamali Harris.



ANDY HOFFMAN z Las Vegas po raz kolejny zgłasza na Trumpa. Wierzy, że rozkręci on gospodarkę.



EWA GRYC z Arizony poparła 8 lat temu Trumpa, a 4 lata temu Bidena. Nie weźmie udziału w tegorocznych wyborach prezydenckich.

spełnionymi obietnicami z 2016 r., gdy mówił, że wskrzesi przemysł w USA. Harris zaś nie przekonuje jej zapowiedziami cięcia podatków dla małych firm i uzdrowienia sytuacji na granicy USA-Meksyk.

– Mogła to zrobić przez ostatnie lata w administracji Bidena. Taka kiełbasa wyborcza do mnie nie trafia – Ewa Gryc zapewnia, że nie kieruje się tu emocjami. A mogłaby, bo jako właścicielka jednoosobowej firmy dostała mocno w kość. Jest agentką nieruchomości i ma mniej klientów, bo przy wysokich cenach domów i oprocentowaniu kredytów amerykańską klasę średnią coraz rzadziej stać na kupno domu. – Nie wierzę, że któryś z kandydatów zmieni moją sytuację, dlatego będę

głosować tylko w wyborach do Kongresu i w wyborach lokalnych – tłumaczy.

„Murem za Trumpem”

Do głosowania na prezydenta zachęcać nie trzeba za to Andy’ego Hoffmana, programisty z Las Vegas w stanie Nevada. Andy to Andrzej z Kędzierzyna-Koźla, który po przyjeździe do Stanów pod koniec lat 80. zmienił w sądzie imię i nazwisko. Tłumaczy, że zrobił to, bo jego polskie nazwisko było trudne do wymówienia dla Amerykanów.

Dziś deklaruje, że po raz kolejny zgłasza na Trumpa, bo niezmiennie od 2016 r. postrzega go jako człowieka spoza waszyngtońskiego establishmentu, który potrafi rozkręcić gospodarkę. Andy wścieka się na wysokie ceny produktów w sklepach i zawirowania na giełdzie, do jakich doszło za rządów Bidena. Uderzyło to w niego, bo – jak twierdzi – od lat inwestuje w firmy technologiczne.

Andy’emu nie podobają się populistyczne obietnice Harris, takie jak rządowe dopłaty do kredytów hipotecznych czy federalny zakaz zawyżania cen żywności. – To jakieś komunistyczne pomysły, które zaszkodzą gospodarce – przekonuje Andy, który tak jak Trump uważa, że Kamala Harris nie jest zdolna stawiać czoła światowemu dyktatorom.

Co przeważa?

Andy’emu nie przeszkadza, że w przeszłości Trump wielokrotnie powątpiewał w NATO, a nawet zachęcał Putina do najechania na te kraje Sojuszu, które nie płacą wystarczająco dużo na obronność.

– Taki jest Trump. On po prostu chce zmusić Europę, aby przestała być pasażerem na gapę – twierdzi Andy.

Programista z Las Vegas szanuje Trumpa także za to, że w 2019 r. zniósł wizy turystyczne dla Polaków. Według analizy autorstwa dwójga politologów, Anne M. Gurnack i Jamesa M. Cooka, to m.in. właśnie obietnice zniesienia wiz przyciągnęły w 2016 r. Polonię do Republikanina.

Pytanie, co przeważa tym razem: troska o bezpieczeństwo Polski i Europy, zagrożonych rosyjską agresją, czy też sprawy wewnętrznoamerykańskie – jak zmęczenie rosnącymi cenami.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press”.

BOSKA GORYCZ

Ziarna kakaowca były walutą, ofiarą dla bogów i afrodyzjakiem. Gdy w XVI w. trafiły do Europy, w ich historii pojawiły się aranżowane małżeństwa, skrytobójstwa, a nawet próby ekskomuniki.

BARTEK KIEŻUN

HISTORIA CZEKOLADY MA Z GRUBSZA pięć tysięcy lat, choć jeszcze niedawno wydawała się znacznie krótsza. Wszystko zmieniło się jednak w 2018 r., gdy wyszło na jaw, że czekolada wcale nie pochodzi z Ameryki Środkowej. Po zbadaniu ceramicznych artefaktów historycy orzekli, że kakaowiec pochodzi z Ekwadoru i że po udomowieniu szybko zyskał status rośliny kultowej. Nasiona i sadzonki były transportowane Amazonką oraz drogą morską i przyczyniły się do upowszechnienia upraw w południowej i środkowej Ameryce.

Badacze odkryli także, że przedstawiciele kultury Mayo-Chinchiپی używali ziaren, ale wykorzystywali także słodki miąższ ze strąków, który – dzięki fermentacji – pozwalał uzyskać napój o niewielkiej zawartości alkoholu.

Jednak głównym powodem popularności kakaowca była siła pozbawionego procentów koktajlu powstającego z bardzo gorzkich ziaren, który jak nic innego stawiał na nogi i zwiększał zdolności intelektualne. Jest to tylko nieco niezgodne z ustaleniami psychologa Neila Martina z Middle-

sex University, który, badając aromaty różnych roślin, odnotował, że nic tak dobrze jak czekolada nie osłabia koncentracji. Pięć tysięcy lat temu nikt tego jednak nawet nie przezuwał.

Święte ziarno

Dekoracje na liczącej cztery tysiące lat ceramice pozwoliły historykom ustalić, że napój, którego bazą były roztarte w wodzie ziarna, stał się pretekstem spotkań towarzyskich ówczesnych elit społecznych. Dla Olmeków był to napój rytualny, wykorzystywany podczas składania ofiar bogom. Niewielka liczba artefaktów nie pozwala na postawienie tezy, jak ów-

czesna czekolada powstawała, ale Majowie, którzy zwyczaj jej popijania przyjęli od Olmeków, uważali, że nie jest to napój odpowiedni dla kobiet i dzieci z uwagi na pobudzającą moc i rzekome halucynogenne właściwości.

Ówczesny napój różnił się od tego, co dziś znamy jako czekoladę. Przede wszystkim Majowie nasiona kakaowca fermentowali. Następnie suszyli je i prażyli. Kolejnym krokiem było rozbicie skorup i roztarcie ziaren na ogrzanych kamiennych żarnach. Powstałą pastę mieszano z wodą i aromatycznymi dodatkami, a przed podaniem przelewano do niewielkich naczyń i ubijano specjalną trzepaczką zwaną *molinillo*. Podczas degustacji należało obserwować kolor

piany, wielkość bąbelków i aromat napoju.

Być może z powodu owych halucynogennych właściwości drzewom rodzącym wyjątkowe ziarno Majowie przypisali boskie pochodzenie. Patronem ka-



kaowca stał się bóg Ek Chuah, opiekun podróżników i handlarzy, co sygnalizuje, że ziarno kakao było do imperium Majów sprowadzane. Przyczyną importu były słabe gleby na Jukatanie, półwyspie, gdzie rozkwitała majańska kultura.

W wielkich miastach Jukatanu czekoladę spożywano w trakcie oficjalnych ceremonii i religijnych rytuałów. Podawano ją także podczas uroczystości weselnych i pogrzebowych, a naczynia, w których przyrządzano napój, podobnie jak samo ziarno, składano w świątyniach w ofierze. Specjalne ceremonie na cześć boga czekolady organizowali także właściciele oddległych gajów kakaowych.

Na tym związek kakao i bogów się nie kończyły. W ziarna kakaowca wyposażano zmarłych, którzy mieli ofiarować je panom podziemnego świata. Nowo narodzone dzieci witano na świecie, składając cenne

nasiona w ofierze. W trakcie rytuału przejścia z dzieciństwa do dojrzałości również wykorzystywano kakao, a młodych u progu dorosłości nacierano czekoladową pastą. Na ścianach piramid, które pozostawili po sobie Majowie w Ameryce Środkowej, widnieją przedstawienia ziaren kakao jako symbolu życia i płodności.

Wojownicy i kochankowie

W świecie Majów kakao świetnie sprawdzało się jako środek płatniczy. Do dziś zachowały się szczegółowe rejestry, gdzie czarno na białym stoi, że za jedno ziarno kakao można było dostać dużego pomidora; żeby kupić królika, wystarczyły cztery ziarna; za wizytę u kurtyzany płacono dziesięć, a za niewolnika należało zapłacić aż sto. W ziarnach kakao można było także zapłacić podatki.

Aztekowie także uznawali, że *xocolatl* pity ze specjalnych czarek jest napojem wyjątkowym i pochodzi od boga Quetzalcōātl wiążanego ze sztuką, rzemiosłem, wiedzą i nauką, a także podróżami i handlem. W słynącym z waleczności żołnierzy azteckim imperium czekolada była dostępna tylko dla arystokracji, kapłanów i wojowników. Ci ostatni mieli z niej czerpać siłę do walki, ale Aztekowie byli również przekonani o wielkiej sile czekoladowego napoju, ujawniającej się podczas harców w sypialni. Poza tym nie

zawierał alkoholu, który osłabia zarówno zapał do walki, jak i do seksu. Król Montezuma II długo wyjaśniał żądnemu złota Hernánowi Cortésowi, że cenny kruszec w sypialni mu nie pomoże. Z opinią ostatniego azteckiego króla należy się liczyć, słynął bowiem ze sporego seksualnego apetytu i wielkiego haremu.

Także Napoleon Bonaparte, który twierdził, że jedną najważniejszych rzeczy dla żołnierza jest żołądek, zalecał swojej armii wcinanie czekolady. Podobnym tropem poszli także Brytyjczycy i Amerykanie, którzy dzienne racje żywnościowe żołnierzy uzupełniali o czekoladę. Niestety, niewdzięczni amerykańscy wojacy twierdzili, że czekolada szkodzi im na zęby.

Wróćmy jednak do nieco bardziej oddległej przeszłości. W kulturze Azteków kakao było symbolem ludzkiego serca składanego bogom w ofierze po wyrwaniu z ludzkiej piersi – prawdopodobnie dlatego, że jedno i drugie uważano za zbiorniki cennych płynów: serce wiązano z krwią, kakao z czekoladą. Nieco czekoladowego napoju pozwalano wypić skazanym na śmierć. Leczone nim bóle brzucha, kaszel i gorączkę. Z powodu ziaren kakao wybuchały wojny, a region Soconusco Aztekowie podbili wyłącznie z powodu tamtejszych drzew kakaowca. Rosło tam ponad milion kakaowych drzew, a tragarze przenosili ziarna do stolicy w paczkach ważących około 30 kilogramów.

Aztekowie nieco zmienili skład czekoladowego napoju w porównaniu z wersją wypracowaną przez Majów. Przede wszystkim podawano go na ciepło, a smak podkreślano sporym dodatkiem chili i wanilii. Biedniejsi również czasem mogli sięgnąć po przysmak elit, ale głównie w postaci kukurydzianej kaszki doprawionej odrobiną roztartych kakaowych ziaren.

Cystersi słodzą

Europejczycy długo uczyli się pić czekoladę. Uważali ją za niesmaczną, a za szczególnie obrzydliwą uznawali piankę. Jednak Hiszpanie, którzy osiedlali się na terenach dzisiejszego Meksyku, żenili się z miejscowymi kobietami, a te przyrządzały im czekoladę. I tak powoli, z roku na rok, coraz więcej jej amatorów miało europejskie korzenie. Małżeństwa przybywające z Hiszpanii też nie miały innego wyjścia jak polubić czekoladę, bo zatrudniając miejscowe służące, musieli

liczyć się z obecnością spienionego napoju na stole.

Przywiezione przez Cortésa ziarna nie zachwyliły hiszpańskiego dworu od razu, mimo iż wielki admirał zachwalał: „jest to napój wzmacniający odporność i zwalczający zmęczenie. Filizanka tego cennego płynu sprawia, że można maszerować przez cały dzień bez jedzenia”. Argument z maszerowaniem mógł być nieco nietrafiony, bo po cóż europejska szlachta miałaby się tak wysilać? Ziarna kakaowca zaintrygowały za to farmaceutów z Europy, którzy poszukiwali roślin leczniczych i usiłowali wymyślić sposób na ich wykorzystanie. Na próżno jednak.

Opowieści o popularnym w Ameryce ziarnie dotarły też do zakonników na Półwyspie Iberyjskim. W 1534 r. w kuchni cysterskiego klasztoru w Piedrze po raz pierwszy w Europie przyrządzono gorącą czekoladę. Była wyjątkowa: zawierała cukier trzcinowy, równie co ona drogą nowinkę kulinarną. Całość obficie doprawiono cynamonem i wanilią. Powstało coś, co z grubsza przypominało dzisiejszą gorącą czekoladę i co bardzo prędko zostało przebojem nie tylko na madryckim dworze, ale także w rezydencjach hiszpańskiej szlachty.

Podbój Europy

Odtąd poszło już z górki. Hiszpanie witali gorącą czekoladą delegacje przybywające do stolicy, a te, wracając w rodzinne strony, roznosiły plotkę o wspaniałym napoju szybciej niż Cortés wirusa ospy po drugiej stronie oceanu, co zresztą przyczyniło się do ogromnego czekoladowego kryzysu w XVII wieku.

Mniejsze i większe, książęce i królewskie rody w Europie zaczęły snuć marzenia o własnej czekoladzie. Wielkie Księstwo Toskanii było zapewne bardzo dumne ze swego poddanego, któremu udało się wykraść recepturę na boski eliksir. Sprytni Francuzi podeszli do problemu czekolady dyplomatycznie i postanowili ożenić Ludwika XIII z hiszpańską księżniczką Anną, zwaną Austriaczką. Nie jest oczywiście wykluczone, że za mariażem tym stały również inne, być może polityczne względy.

Co jednak zabawne, francuski lud chyba nie od razu uwierzył w smak i pozytywną moc kakao, bowiem przez lata w Paryżu przekazywano sobie z ust do ust plotkę o kobiecie, która wypila tyle



WIKIPEDIA / DOMENA PUBLICZNA

→ czekolady, że urodziła dziecko o czarnej skórze. Można przypuszczać, że fakt ten rzeczywiście miał miejsce, ale zupełnie inne były jego przyczyny.

Na Wyspy Brytyjskie po raz pierwszy czekolada trafiła przypadkiem. Kiedy wojska brytyjskie przejęły hiszpański statek, który zboczył z kursu, dowódca zajrzał do ładowni i uznał ziarna kakaowca za owcze odchody. Przeklął własne nieszczęście i wydał polecenie spalenia statku wraz z zawartością. I tak czekolada przez kolejne sto lat była na wyspach kompletnie nieznana. Dopiero w XVII w. zaczęto ją podawać w kawiarniach w Londynie, choć trzeba przyznać, że mieszkańcy i tego wielkiego miasta byli nieco sceptyczni wobec nowinki zza oceanu.

Chwilę zaledwie zajęło czekoladzie dotarcie również na watykańskie salony. Samego papieża Piusa V zaangażowano, by orzekł, czy picie gorącej czekolady łamie zakazy dotyczące postów. Papież poprosił o jej przygotowanie. Jego kucharz Bartolomeo Scappi, słynący z wyjątkowych bankietów, na których podawano siedemdziesiąt deserów, zabrał się do dzieła. Po degustacji Pius V uznał, że napój nie łamie absolutnie żadnych zakazów. Argumentował przy tym całkiem konsekwentnie. Twierdził bowiem, że czekolada jest tak obrzydliwa, że picie jej jest raczej karą niż niemoralnym nawykiem. „Dlatego nie ma potrzeby, abym jej zabraniał” – ogłosił.

Walka kakao z postem

W 1572 r. jezuici wezwani przez Camillo I Gonzagę i jego żonę Barbarę Borromeo do zbudowania klasztoru w No-

Obrazek umieszczony na ceramice z epoki Majów przedstawiający scenę, w której władca Majów nie chce przyjąć pojemnika z pianką czekoladową. Ok. VI-VII w n.e.

vellara, niedaleko Reggio Emilia, otworzyli tam aptekę znaną jako Imperium Czekolady. Działała aż do 1773 r. Jezuici importowali kakao z Ameryki i wykorzystywali je do przyrządzania wyjątkowego napoju na post, powołując się na opinię Piusa V – a dni postnych w ówczesnym kalendarzu było na tyle dużo, że zakonnicy mieli pełne ręce roboty.

Kontrowersje wróciły w XVII w. Choć wielu zakonników z kolonii hiszpańskich trzymało się interpretacji św. Tomasza z Akwinu, że tylko stałe pokarmy przerywają post, a w Rzymie kardynał Brancaccio żarliwie bronił tej tezy, to historyk Antonio de Leon twierdził jednak, że czekolada jest bardzo odżywcza i dlatego należy jej unikać w okresach postu, zwłaszcza wymieszanej z mlekiem i jajkami.

Ojciec Jean-Baptiste Labat był innego zdania. Po wielu podróżach do hiszpańskich kolonii orzekł zaś, że nic tak dobrze człowiekowi nie robi, jak kawałek biskopka zanurzonego w czekoladzie. Argument wydawał się logiczny: zakonnik, broniąc słodkiego napoju, twierdził, że zanieczyszczenia w żołądku przyklejają się do chleba i czekolady, a następnie szybciej przechodzą przez organizm.

Biskup Chiapas miał zupełnie innej natury problemy z czekoladą. Zmęczony zbyt długą liturgią wierne chwytaly za filiżanki gorącego napoju, by wytrzy-

mać do końca mszy. Padła więc groźba ekskomuniki, a dotyczyć miała każdego, kto będzie jadł lub pił podczas liturgii. Po tej groźnej zapowiedzi biskup wrócił do domu, sięgnął po czekoladę i wyzionął ducha – najprawdopodobniej otruty przez poirowanych zakazem wiernych. Inną ofiarą czekolady był, według plotek przekazywanych z ust do ust, Benedykt XIV, któremu miano podać truciznę w filiżance czekolady. Medycy z Watykanu zarzekają się jednak, że przyczyną śmierci tego papieża była dna moczanowa, a nie zemsta za kasatę zakonu jezuitów.

Plotki wokół pochodzących z Meksyku ziaren nie były w stanie zepsuć doskonałej opinii, jaką cieszyła się czekolada. O ile alkohol uznawano za domenę robotników, a kawę wiązano z mieszczaństwem, o tyle czekolada była uznawana za napój właściwy dla chrześcijan i arystokracji. Choć robotnicy i mieszczaństwo również, jak się zdaje, wierzyli w Boga.

Makaron z czekoladą

Czekolada stawiała się coraz bardziej popularna. Choć technika jej produkcji była nadal bardzo podobna do tej stosowanej przez rdzennych Amerykanów, czekoladę spożywano również w postaci pastylek, w których produkcji wyspecjalizowały się zakonnice w Meksyku. Dodawano ją do lodów i deserów, ale wysoka cena będąca wyznacznikiem statusu sprawiła, że czekolada pojawiała się także w daniach głównych i tych, które za swoją bazę miały makaron.

Związków czekolady z religią nie uniknęli również dziennikarze opisujący życie Milтона S. Hersheya, twórcy amerykańskiej czekoladowej potęgi The Hershey Company – firmy, która stworzyła czekoladowe pastylki M&M's. Upierali się bowiem, że to boskie moce powstrzymały go przed wejściem na pokład Titania tuż przed wypłynięciem w dziewiczy i ostatni dla tego statku rejs.

Powiązania ziaren kakao i drzewa je rodzącego z bogami przetrwały stulecia. Szwedzki przyrodnik i lekarz, profesor Uniwersytetu w Uppsali Karol Linneusz, dodając kakaowiec do tworzonego przez siebie systemu klasyfikacji organizmów, nazwał go *Theobroma cacao*. Co oznacza: kakao – napój bogów.

© BARTEK KIEŻUŃ



Kadr z filmu „Ślepowrony”, nakręconego wspólnie przez Joannę Rajkowską i Roberta Yerachmiela Snidermana

Jesień w galeriach i muzeach

PIOTR KOSIEWSKI

Za nami 14. edycja Warsaw Gallery Weekend, na której zaprezentowało się aż 37 galerii. Wszystkie przygotowały specjalne wystawy, które wciąż można odwiedzać. Do końca listopada trwa także program towarzyszący: wykłady, spotkania i performanse.



Wystawa
w BWA
Warszawa
„I w puszczy”
poświęcona
sytuacji
na naszej
wschodniej
granicy

→

Program wystawienniczy WGW – nadal obecny w galeriach – jest bardzo różnorodny. Galeria **Import Export** prezentuje powstałe w latach 1943-1949 prace na papierze Teresy Żanower, jednej z najważniejszych twórczyń polskiej awangardy, rzadko pokazywanej w Polsce. Nie brakuje artystów i artystek kluczowych dla naszej sztuki po 1989 r., dziś już klasyków współczesności (wystawa trwa do 26 października).

Fundacja Galerii **Foksal** przygotowała wystawę Piotra Uklańskiego „Kwiaty zła”, dla której punktem wyjścia stały się słowa z zeznania Hermanna Göringa przed Trybunałem Norymberskim: „W pełni przyznaję, że miałem pasję do kolekcjonowania rzeczy... A jeśli miały zostać skonfiskowane, chciałem mieć w tym swój mały udział”. Piotr Uklański namalował obraz na podstawie opisów nieodnalezionych do dziś obrazów zrabowanych przez nazistów (wystawa czynna do 15 listopada).

Galeria Ewa Opałka pokazuje prace Zbigniewa Libery z lat 90., przedstawiające, w jaki sposób mogłyby wyglądać maszyny, które rozwijałyby się same, podlegając prawom ewolucji (do 9 listopada). Galeria **lokal_30** prezentuje „Ślepowrony” Joanny Rajkowskiej, niezwykły, nieznany szerzej film nakre-

cony przez artystkę wspólnie z Robertem Yerachmielem Snidermanem, opowiadający o trudnych relacjach między ludźmi a światem zwierząt i ptaków. To jedno z najważniejszych wydarzeń artystycznych tej jesieni (można oglądać do 30 listopada). **Raster** zaś wystawia prace fotograficzne Anety Grzeszykowskiej (do 16 listopada).

W galeriach nie brakuje dzieł przedstawicieli najmłodszego pokolenia. Będzie można zobaczyć m.in. malarstwo Grzegorza Pieniaka eksportującego świat fantazji i nieakceptowanych pragnień (**HOS Gallery**, do 16 listopada), subtelne, niepokojące rysunki Iwo Panasewicza (**Piktogram**, do 30 października) czy zaskakujące rzeźby Piotra Kowalskiego, w których artysta wykorzystał zużyte przedmioty (**Turnus**, do 16 listopada).

WGW pokazał, że polskie galerie coraz częściej prezentują twórczość artystek i artystów wywodzących się z innych krajów, zwłaszcza naszego regionu. Czasami już osiadłych nad Wisłą – być może trzeba mówić już nie o sztuce polskiej, lecz tworzonej w Polsce, bo tylko w ten sposób można opisać jej różnorodność. **Biuro Wystaw** prezentuje białoruskiego artystę, aktywistę i kuratora Sergeja Shabohina (do 29 października). **LETO** w trakcie trwania WGW zapre-

zentowała zaś niewielkie, baśniowe obrazy pochodzącej także z Białorusi Lery Dubitskiej. **BWA Warszawa** zorganizowała wystawę o intrygującym tytule „Plotkarze”, na której niemiecki artysta Phillip Gufler, Estończyk Jaanus Samma i Karol Radziszewski opowiadają o postaciach i wydarzeniach ważnych dla historii społeczności queerowej w ich krajach. Znanych, jak jedna z najwybitniejszych lekkoatletek Stanisława Walasiewicz, czy długo zapomnianych, jak malarz i pisarz Elisar von Kupffer (można oglądać do 29 października).

Otwarcie na sztukę spoza Polski jest ważne, bo galerie, poza nielicznymi wyjątkami, jak warszawska **Galeria Dawid Radziszewski** czy poznańska **Rodríguez Gallery**, rzadko współpracowały dotąd z zagranicznymi artystkami i artystami. Dziś zaś dla niektórych, jak Import Export, jest to jedna z zasadniczych części programu.

Warsaw Gallery Weekend na stałe wpisał się w pejzaż kulturalny Warszawy, ale też stał się kluczowym wydarzeniem na mapie artystycznego życia w naszym regionie. Co więcej, przyciąga tłumy. W ubiegłym roku w trakcie czterech głównych dni wydarzenia odwiedziło wystawy 14 tys. osób (nie ma jeszcze danych dotyczących tegorocznej edycji).



„W blasku
tańczących
owadów”
Zuzy
Piekoszewskiej,
BWA Warszawa

Sama impreza pokazuje, jak w ostatniej dekadzie sprofesjonalizował się ruch galerii prywatnych w Polsce. WGW przez pierwsze lata był nieformalną inicjatywą. Jednak w 2018 r. powstała spółka organizująca to wydarzenie; instytucje, dla których rynek nie jest głównym polem działania, wycofały się, a udział w WGW stał się coraz bardziej limitowany.

Swoistą odpowiedzią na elitarność weekendu jest inicjatywa Fringe Warszawa. Odbyła się ona po raz trzeci, w dniach 26-29 września 2024 r., jak piszą organizatorzy, jej zasadą jest inkluzywność i powszechna dostępność. W jej pierwszej edycji brało udział 9 inicjatyw, w tym roku zaś zostało pokazanych aż 80 projektów realizowanych w niezależnych galeriach, art space'ach etc. Można było m.in. wejść do pracowni nieżyjącej już Wandy Czelkowskiej, jednej z najciekawszych przedstawicielek polskiej neoawangardy, i obejrzeć zdjęcia Karola Pałki w Domu Lacherta, jednym z arcydzieł architektury Dwudziestolecia. Zobaczyć intrygujące malarstwo Agaty Nowosielskiej na wystawie zorganizowanej przez **Galerię m²** lub wybrać się do **Ośrodka Sztuki Lescer** w podwarszawskim Zalesiu Górnym, by obejrzeć prace Marcina Zonenberga, ale też *alter ego* artysty Martina Sonnenberga (ta ostatnia wystawa czynna jest do 28 października).

WGW przez lata pokazywało centralizację życia artystycznego w Polsce, z dominacją powstałych w latach dwutysięcznych stołecznych galerii. W ostatnich latach sytuacja zaczyna się zmieniać, czego przykładem jest rosnąca liczba uczestników WGW pochodzących spoza Warszawy. W tym roku były to: wrocławska **Krupa Gallery**, działająca w Krakowie **Piana i Widna**, poznańskie **Łęctwo** i **Molski** oraz **Galeria Esta** z Gliwic. Zróżnicowanie, także geograficzne, ruchu galleryjnego w Polsce jest ważne, a lista ciekawych, działających poza Warszawą instytucji jest znacznie dłuższa, choć zapewne niemożliwe będzie przełamanie prymatu stolicy.

Nie mniej istotne jest zróżnicowanie pokoleniowe. Pojawienie się w ostatnich latach galerii tworzonych przez młodych, które często skupiają się na twórczości swoich rówieśników, jak działająca bardzo prężnie od 2021 r. Piana w Krakowie czy warszawski Turnus, szybko dostrzeżony i doceniony – w ubiegłym roku otrzymał nagrodę specjalną Fundacji Sztuki Polskiej ING przyznawanej podczas Warsaw Gallery Weekend.

– Nasz pomysł na nowy model galleryjny wiąże się ze zmieniającymi się, według naszych obserwacji, potrzebami odbiorców sztuki – wyjaśniają Kamila

Falęcka i Marcelina Gorczyńska prowadzące galerię. – Nie są oni kolekcjonerami, a osobami pragnącymi zaangażowania i społeczności. Wymyśliłyśmy naszą galerię tak, aby była miejscem dla większej publiczności, poszerzając ją o kawiarnię i udostępniając lokal za darmo na przeróżne wydarzenia.

Falęcka i Gorczyńska dodają, że mocno stawiają na aspekt kulturotwórczy i społeczny, starając się lawirować pomiędzy światem galleryjnym a instytucjonalnym: – W październiku jedziemy na targi Paris International, a zaraz potem jesteśmy jednymi z otwierających nowy gmach Muzeum Sztuki Nowoczesnej.

Ostatnie lata były dobrym czasem dla galerii prywatnych. Udało im się poszerzyć grono kupujących – nabywanie sztuki, także współcześnie powstającej, przestało być zajęciem dla wąskiego grona osób. Co więcej, galerie prywatne zdobyły zaufanie klientów, znacząco wzrosło też zainteresowanie nimi publiczności. W zorganizowanych po raz pierwszy w Warszawie w maju tego roku targach Villa Nada Warsaw wzięło udział 11 tys. osób. Odbywający się na początku września tego roku po raz kolejny Hotel Warszawa Art Fair w ciągu trzech dni odwiedziło ponad 10 tys. osób (dla porównania w 2022 r. było to 4,5 tys.).

© PIOTR KOSIEWSKI

MATERIAŁY PRASOWE
CINEMA FOUNDATION OF ARMENIA X2Kadry z filmu „Sajat-Nowa” („Barwy granatu”),
reż. Siergiej Paradżanow, 1969 r.

PARADŻANOW. CHCĘ MINĄĆ SWÓJ CIEŃ

Wystawa poświęcona jednemu z najwybitniejszych reżyserów XX w. osadza twórczość artysty zarówno w ówczesnym, jak i aktualnym kontekście politycznym i artystycznym. W ramach ekspozycji i towarzyszącego jej programu zostaną zaprezentowani także współcześni twórcy wywodzący się z Ukrainy, Gruzji i Armenii.

Trzon wystawy stanowią sceny wybrane ze zrekonstruowanej wersji „Barwy granatu”, najważniejszego dzieła Paradżanowa z 1969 r. Film przez wiele lat znany był jedynie w wersji ocenzurowanej. Dziś uznawany jest za arcydzieło kina światowego. Na wystawie zaprezentowane zostaną także inne filmy reżysera oraz jego rysunki, kolaże i asamblaże.

Ważnym wątkiem ekspozycji jest niezwykła biografia twórcy. Urodzony w Tyflisie jako Ormianin, tworzył przez większość swojego życia w granicach Związku Radzieckiego, pomiędzy Gruzją, Ukrainą i Armenią. Zmagał się z systemem politycznym, który dotkliwie ograniczał jego wolność. Najboleśniej tego wyrazem są prace powstałe w łagrze, gdzie spędził kilka lat. Wystawie towarzyszą prace innych wybitnych twórców działających w czasach reżimu sowieckiego w Armenii i Gruzji: artyści wideo Hamleta Hovsepiana i malarza Karła Kacharavy.

Niejednoznaczny życiorys Paradżanowa – biseksualność, nieoczywista przynależność etniczna – stanowią pretekst do postawienia pytań o tożsamość. Odpowiedzi na nie poszukują prezentowani w ramach wystawy lub towarzyszącego jej programu współcześni twórcy wywodzący się z Ukrainy, Gruzji i Armenii: David Apakidze, Jan Bačynskij/Yana Bachynska, Uta Bekaia, Rosana Palazyan czy Roza Sarkisian.

Wystawa trwa do 12 stycznia 2025 r.

Równolegle z wystawą w Zachęcie w kinie Iluzjon odbędzie się przegląd filmów „Siergiej Paradżanow. Barwy kina” (19-24 października).

PRINZ GHOLAM

Od 7 września w Zachęcie można oglądać wystawę berlińskiego duetu artystycznego Prinz Gholam: fotografie, rysunki, maski oraz rzeźby.

Prinz Gholam to zbitka nazwisk dwóch artystów: Wolfganga Prinza i Michela Gholama, działających w duecie od 2001 r. Pochodzą z różnych kultur – niemieckiej i libańskiej – nie są jednak przywiązani do kontekstu narodowego. Posługują się performansem, choreografią realizowaną w obecności widzów lub za pomocą fotografii i zapisu filmowego. Tworzą unikatowe, wielkoformatowe rysunki, małe obiekty rzeźbiarskie z kamieni i charakterystyczne maski.

Wystawa w Zachęcie pokazuje różnorodne dzieła duetu artystów, skupia uwagę na realizowanym przez nich modelu symbiotycznej współpracy. Istotnym elementem są tu praktyki performatywne. Performanse Prinz Gholam przywołują statyczne pozy dawnego malarstwa i rzeźby, ale w odróżnieniu od tych historycznych odniesień wnoszą do nich konkretną obecność.

Artyści posługują się wykonywanymi przez siebie prostymi maskami, które traktują jako komentarz na temat tożsamości i krytykę standaryzacji społeczeństwa uwarunkowanego obowiązującymi normami. Do masek nawiązują zbiory kamyków z różnych kontynentów, z których artyści wykonują portrety. Wiszące na ścianie w większej liczbie stają się pozbawionym indywidualności tłumem. Zza masek patrzą na widzów postaci zaludniające wielkoformatowe rysunki Prinz Gholam. Prace wykonywane kolorowymi kredkami są wyrazem spontanicznej ekspresji i wyobraźni.

Działania artystycznego duetu oparte są na symbiotycznej współegzystencji, tworząc dzieła jednorodne, jakby pojedynczego autora. Wyrażają osobiste doświadczenia, ale też społeczną wyobraźnię kulturową.

Wystawa trwa do 3 listopada 2024 r.

Prinz Gholam „Sierp księżycy nad Morzem Śródziemnym”, fragment, 2024 r.



KUBA CELEJ



Zdjęcie ze spektaklu: „Moje serce mówi: żyj, krzycz, oddychaj”, który zainauguruje tegoroczną edycję festiwalu.

„Moje serce mówi”: Festiwal Korczak Dzisiaj

W świecie fake newsów i dezinformacji teatr może stać się antidotum na informacyjny chaos i coraz większe oddalenie między ludźmi.

Jako medium opierające się na bezpośrednim doświadczeniu oferuje młodym widzom autentyczność.

Po wpisaniu w wyszukiwarkę hasła „młodzi dorośli” wyskakują sugerowane pytania: „ile lat ma młody dorosły?”, „kim są młodzi dorośli?”, „kiedy człowiek jest dorosły?”. Odpowiedzi nie są jednoznaczne, czasem zaskakują, a niekiedy wzajemnie się wykluczają. Najczęściej dotyczą procesu kształtowania siebie, szukania tożsamości i rozpoznania tego, co lubię, a czego nie. Podobnie jest z pytaniem: „jaki jest teatr dla młodzieży?”. Oddaje on głos tym, których dotyczy, pozwala wyrazić emocje – od żalu i złości, po szczęście i euforię. Mówi o sprawach, które dla starszych dorosłych wydają się niepoważne, podkreśla dr Marta Bryś, jurorka festiwalu.

Dlatego w ramach Focusu: Szwecja na Festiwalu Korczak Dzisiaj będzie można poznać zupełnie nowe na naszych scenach teksty przetłumaczone przez kuratorkę Dominikę Górecką, a także osoby autorskie, które opowiedzą o pisaniu dla nastoletniej publiczności.



**LAUREATÓW FESTIWALU
KORCZAK DZISIAJ
poznamy 25 października
w Ambasadzie Szwecji.**

Podczas panelu (21 października, Nowy Teatr w Warszawie) odbędzie się premiera antologii nowych sztuk dla młodzieży, wydanej przez Centrum Sztuki Dziecka, z tekstami Dimen Hama Abdulli, Mattiasa Anderssona, Atheny Farrokhzad, Åsy Lindholm, Robin N Spegel, Talajeh Nasiri oraz Erika Uddenberga w tłumaczeniu Dominiki Góreckiej. Drugim punktem Focusu będzie prezentacja wyników badań przeprowadzonych na Uniwersytecie Sztokholmskim, „Staging Migration: Rhetoric, Representation and Reception in Swedish Children’s Theater” oraz prezentacja czytania dramatu Rebeki Örtman „Dzisiaj jest dzisiaj”, inspirowanego tekstami Janusza Korczaka.

O swoich doświadczeniach pracy z teatrem dla dzieci i młodzieży opowiedzą nam zaproszeni dramatopisarze i dramatopisarki, dramaturdzy i dramaturżki oraz badaczki teatru dla dzieci i młodzieży ze Szwecji: Dimen Hama Abdulla, Rebecka Brinch, Åsa Lindholm, Anna Lund, Ylva Lorentzon, Hedda Krausz Sjögren, Erik Uddenberg, Stefan Åkesson oraz Rebecca Örtman.

Przedstawienia będzie można obejrzeć na scenach warszawskich teatrów, instytucji, w Ambasadzie Szwecji, a nawet hotelu. Spektaklom towarzyszyć będzie Klub Dobrej Rozmowy, czyli spotkania prowadzone w duchu pedagogiki teatru.

Program dostępny na
www.korczak-festival.pl

Sześć polskich spektakli repertuarowych z teatrów z całej Polski będzie ocenianych przez dwa grona jurorskie:
JURY MŁODYCH i JURY DOROSŁYCH.

JURY MŁODYCH tworzą osoby nastoletnie, wyłonione w ramach otwartego naboru (w tym roku są to: Szymon Karbowy, Alisiia Tyszczenko, Hanna Gołoś, Jan Napiontek, Natalia Kowalczyk, Lena Wróblewska i Dorota Szustak). Zgłaszające się pasjonatki i pasjonaci teatru nie tylko oceniają spektakle. Pod okiem koordynatorki merytorycznej Sandry Szwarc, dramatopisarki i kierowniczki literackiej Teatru Lalka, Jury Młodych przyzna Nagrodę im. Haliny i Jana Machulskich oraz wyróżnienia.

Natomiast **JURY DOROSŁYCH** w składzie: dr Marta Bryś, Paul Harman i Rebecca Örtman przyzna Grand Prix im. Janusza Korczaka oraz Nagrodę im. Stefani Wilczyńskiej.

NAGRODY NOBLA 2024

Dwa miliony struktur

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Funkcja białek zależy od ich budowy. Prace tegorocznych laureatów chemicznego Nobla pozwalają poznać przestrzenną strukturę białek i precyzyjnie je projektować. Dla medycyny to gwarancja rewolucji.

WIĘKSZOŚĆ KOMENTATORÓW ODNOSZĄCYCH SIĘ DO TEGO-rocznej Nagrody Nobla w dziedzinie chemii skupiła się na tym, że kluczowym elementem opracowanym przez jej twórców były algorytmy sztucznej inteligencji. Ale warto też zwrócić uwagę na fakt, że tegoroczny chemiczny Nobel jest kolejnym elementem układanki, która pozwoli nam przebudowywać naszą własną biologię od jej fundamentów.

Układ otwarty

Biochemik, genialny informatyk oraz złote dziecko szachów i gier komputerowych. To ludzie, którzy zostali uhonorowani tegorocznym Noblem z chemii. David Baker, John Jumper i Demis Hassabis rozwiązali jedną z najtrudniejszych zagadek chemicznego świata. I otworzyli drogę do nowej rzeczywistości. Takiej, w której nie tradycyjna inżynieria, a manipulacja cząsteczkami stojącymi u podstaw życia może stać się podstawą naszej cywilizacji.

Zacznijmy od początku. Białka to podstawa całego żyjącego świata. Odpowiadają za wszystko – od budowy struktur naszych organizmów, po regulowanie delikatnych, chemicznych procesów sprawiających, że śpiewamy, tańczymy, piszemy i żyjemy. Składają się z łańcucha setek lub tysięcy aminokwasów, który zwija się i składa, tworząc niezwykle skomplikowane formy.

– Białka odpowiadają za niemal wszystkie, jeśli nie wszystkie procesy zachodzące w naszych komórkach, a ich funkcje wynikają ze struktury przestrzennej. Z kolei ta struktura przestrzenna jest pochodną sekwencji aminokwasów, z których są zbudowane – mówi „Tygodnikowi” prof. Jacek Jemielity z Centrum Nowych Technologii Uniwersytetu

Warszawskiego. – Można sobie wyobrazić nieskończoną liczbę różnych konfiguracji, ale białka z jakiegoś powodu przyjmują jedną – dodaje.

Oznacza to, że jeśli chcemy wyhamować albo podkręcić tempo procesów sterowanych przez konkretne białko, musimy precyzyjnie poznać jego kształt.

– Wiemy na przykład, że w procesie nowotworzenia uczestniczy patogenne białko. Chcemy wiedzieć, jak ono wygląda, żeby móc zaplanować związek, który do tego białka się przyklei, zwiąże je i powstrzyma jego działanie – tłumaczy prof. Jan Barciszewski z Instytutu Chemii Bioorganicznej PAN w Poznaniu i Centrum Nanobiomedycznego UAM.

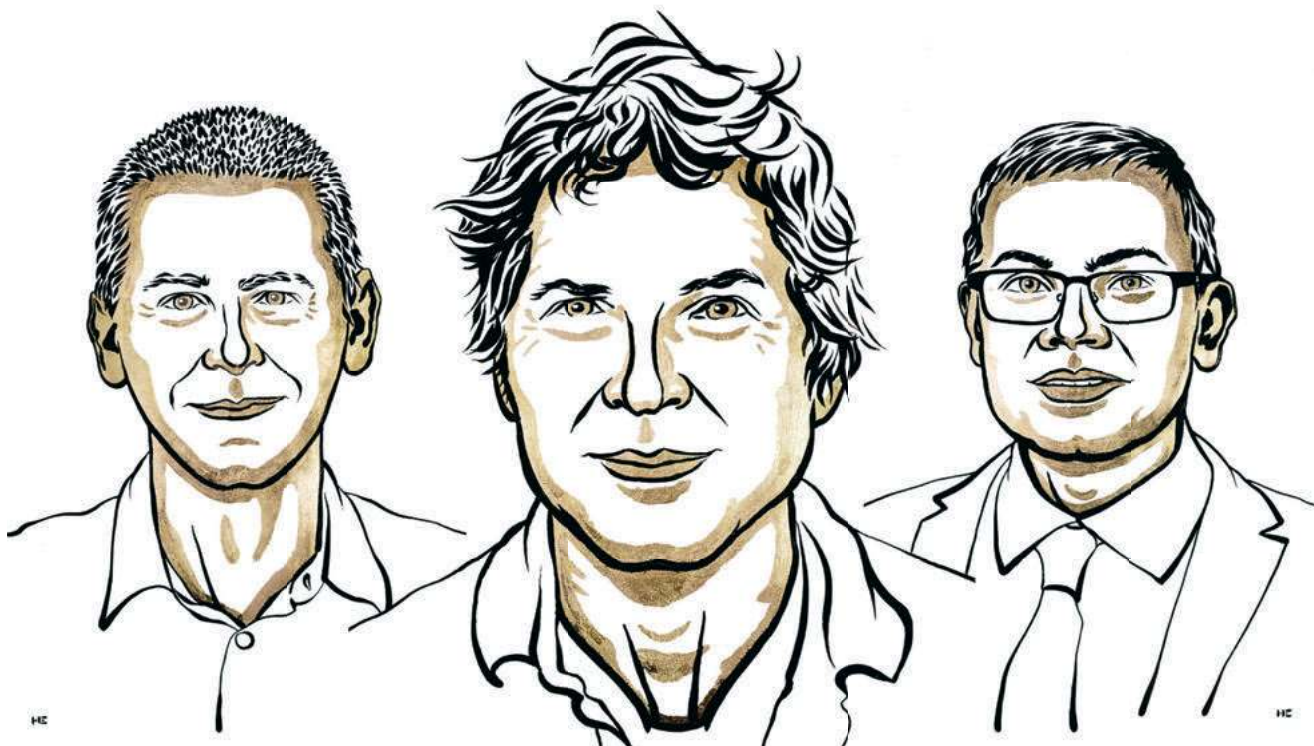
Naturalna baza, sztuczna nadbudowa

Naukownicy od dziesięcioleci wiedzieli, że kształt cząsteczki białka jest dyktowany przez konkretną sekwencję aminokwasów w łańcuchu. Odkrycie tej zależności przez Christiana Boehmera Anfinseana zostało uhonorowane Noblem z chemii w 1972 r. Ale wiedzieć, że zależność istnieje, a wykorzystać ją w praktyce – to dwie zupełnie różne sprawy. „Nawet dla średniej długości sekwencji, składającej się z może 100 cząsteczek, liczba możliwych struktur jest astronomicznie wielka” – tłumaczył podczas ceremonii członek komitetu noblowskiego z chemii, prof. Johan Åqvist.

Ustalenie struktury przestrzennej konkretnego białka wymagało do niedawna 2-3 lat pracy zespołu naukowców, a skuteczność stosowanych metod sięgała w 2018 r. zaledwie 40 proc. Przez dziesięciolecie udało się jednak w ten sposób mozolnie zbudować sporą bazę wiedzy o trójwymiarowych formach białek. Bazę, która mogła następnie posłużyć do wyszkolenia sztucznej inteligencji.

Właśnie w 2018 r. brytyjskie laboratorium Google DeepMind opublikowało narzędzie, które miało zupełnie zrewolucjonizować ten proces. Oparty na sieciach neuronowych i uczeniu maszynowym AlphaFold i jego kolejne wersje potrafią przewidywać formy przybierane przez białka z nawet 90-procentową skutecznością (przewidywaną strukturę można zweryfikować mozolnymi metodami eksperymentalnymi). DeepMind opublikowało dostępną za darmo bazę ponad 200 mln trójwymiarowych modeli białek wygenerowanych przez system, z której korzystają dziś naukowcy na całym świecie.

– Jeśli sztuczna inteligencja oszczędza nam 2-3 lata w dojściu do struktury przestrzennej, to niezwykle przyspieszy



Laureaci Nagrody Nobla z chemii w 2024 r. W środku: David Baker, z lewej: John M. Jumper, z prawej: Demis Hassabis

rozwój nowych białek o pożądanym właściwościach – podkreśla prof. Jemielity.

Złamany kod

To właśnie za to narzędzie Nobla otrzymali 38-letni John Jumper i 48-letni Demis Hassabis. Jumper to amerykański chemik i informatyk, który jeszcze na studiach zajmował się próbami przewidywania kształtów protein. Hassabis to były mistrz szachowy, współtwórca kilku niezwykle popularnych w latach 90. gier komputerowych (np. „Theme Park” czy „Syndicate”), który porzucił dwie dekady temu branżę rozrywkową, by zająć się sztuczną inteligencją. Stworzone przez niego DeepMind jest jednym z najważniejszych na świecie ośrodków zajmujących się AI. To tam powstał m.in. AlphaGo, czyli pierwszy program, który zdołał pokonać ludzkiego arcymistrza w go. Ten pozornie błahy wyczyn stworzył podstawy pod AlphaFold. A ten jest może najlepszym dotąd dowodem, że sztuczna inteligencja może rozwiązywać realne problemy ludzkości. „Hassabis i Jumper złamali kod” – podkreśla przewodniczący komitetu noblowskiego z chemii, prof. Heiner Linke.

Trzeci z laureatów, 62-letni David Baker, to biochemik i bioinformatyk, który jeszcze w 2003 r. stworzył metodę pozwalającą naukowcom tworzyć białka „na zamówienie”. Opracowany przez niego program Rosetta umożliwia zaprojektowanie struktury, a algorytm na jej podstawie tworzy taką sekwencję aminokwasów, która po zsyntetyzowaniu w laboratorium powinna dać zamierzony kształt białka.

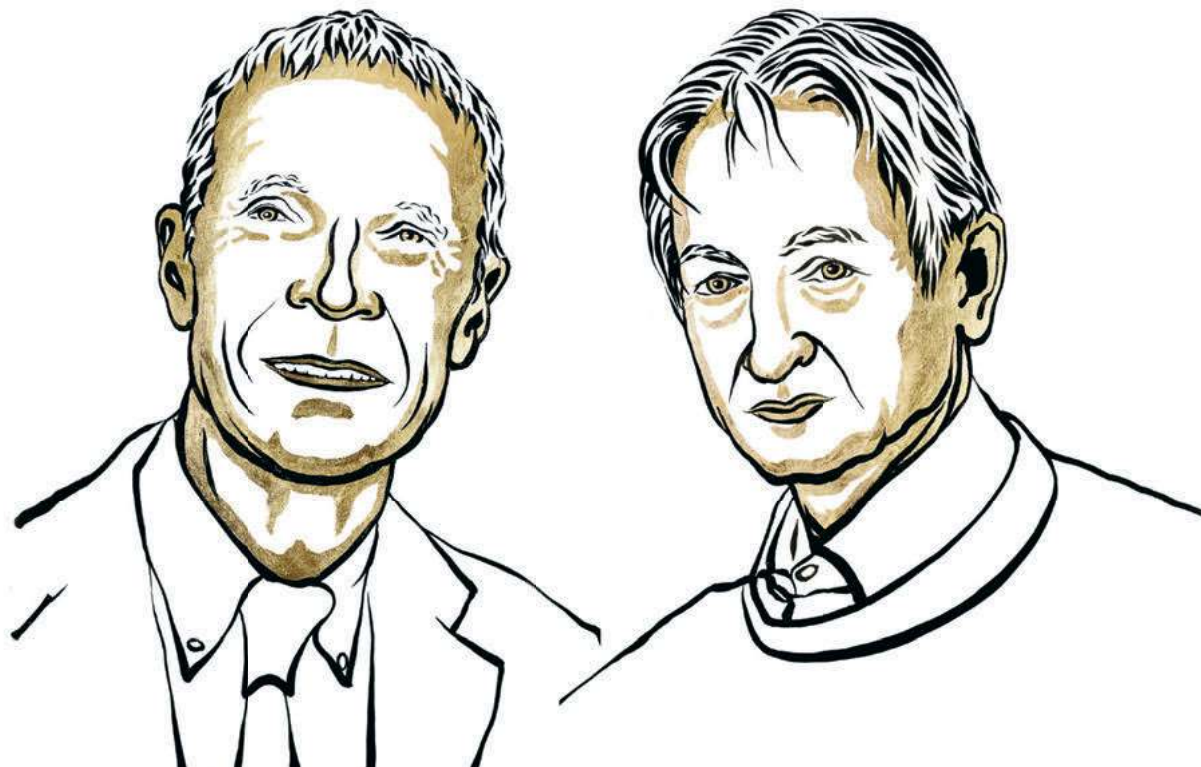
Ta technika już dziś jest szeroko stosowana w zaawansowanych badaniach biomedycznych. Pozwala np. – po wcześniejszym rozpoznaniu struktury białka wirusowego – tworzyć inhibitory, które łączą się z kluczowymi elementami cząsteczkowych puzzli i np. uniemożliwiają wirusowi skuteczne namnażanie. „David Baker otworzył zupełnie nowy

świat struktur białkowych, jakich dotąd nie widzieliśmy” – podkreślił prof. Åqvist. Ale choć zastosowania medyczne są najpilniejsze i najbardziej oczywiste, obie nagrodzone Nobelami techniki, w połączeniu, mają o wiele większe, wręcz rewolucyjne możliwości.

U progu rewolucji

– Białka możemy tworzyć po to, by kiedyś w przyszłości modyfikować organizmy czy uzyskiwać organizmy o pewnych zmodyfikowanych cechach. Nie chodzi tu o coś z filmów Marvela, ale np. o to, że możemy wprowadzać enzymy, by pozwalać ludziom trawić pokarm, którego dziś nie są w stanie przyjmować – wyjaśnia prof. Jemielity. – Nowe białka pozwolą leczyć choroby, ale też tworzyć nowe materiały i struktury, które mogłyby zastąpić tworzywa sztuczne. Albo modyfikować bakterie tak, by te degradowały zanieczyszczenia, które już umieściliśmy w środowisku. Oczywiście, wszystko będzie wymagało poważnego podejścia do kwestii etyki i potencjalnych zagrożeń – dodaje badacz.

Nagroda z dziedziny chemii jest kolejną w tym roku, po Noblu z fizyki, przyznaną za pionierskie badania związane ze sztuczną inteligencją. Ale jest też dowodem na to, że w cieniu rewolucji AI trwa druga, biologiczna. W 2020 r. Nobla otrzymały Emmanuelle Charpentier i Jennifer Doudna za opracowanie techniki CRISPR-Cas9, pozwalającej na precyzyjną edycję DNA. W ubiegłym roku medyczny Nobel powędrował do Katalin Karikó i Drew Weissmana za odkrycia umożliwiające wykorzystanie cząsteczek mRNA jako podstawy zaawansowanych terapii. Te wszystkie odkrycia, w połączeniu z badaniami tegorocznych laureatów, pozwalają nie tylko lepiej zrozumieć fundamenty biologii, ale i precyzyjnie manipulować najmniejszymi cegiełkami życia. A to otwiera drogę do kolejnych przełomów w medycynie – i nie tylko w niej.



John Hopfield i Geoffrey Hinton, laureaci Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki w 2024 r.

Fizyka to podstawa

ARTUR MIROSZEWSKI

Nie byłoby Nagrody Nobla dla Johna Hopfielda i Geoffreya Hintonu bez współczesnej rewolucji w sztucznej inteligencji. Ale nie byłoby również tej rewolucji bez wielu lat pracy tegorocznych laureatów.

JOHN HOPFIELD Z PRINCETON UNIVERSITY W NEW JERSEY i Geoffrey Hinton z University of Toronto w Kanadzie dołączyli do grona 224 laureatów Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki. Naukowcy podzielą się po równo 11 mln koron szwedzkich (ok. 4 mln złotych).

Ta decyzja komitetu Królewskiej Szwedzkiej Akademii Nauk na pierwszy rzut oka może zaskakiwać: wyróżniono naukowców, którzy położyli fundamenty pod powstanie współczesnej sztucznej inteligencji. Są więc przede wszystkim gigantami informatyki – twórcami systemów nazywanych sztucznymi sieciami neuronowymi, których działanie inspirowane było postęпами neurobiologii. Gdzie tu fizyka? W oficjalnym komunikacie i w wypowiedziach przedstawicieli komitetu noblowskiego zwrócono uwagę, że współczesne systemy oparte na sztucznych sieciach neuronowych mają ogromne znaczenie w badaniach fizycznych – np. w modelowaniu klimatu (za co przyznano w 2021 r. Nagrodę Nobla), a także w badaniu struktur cząsteczek czy opracowywaniu nowych materiałów. Kluczowe jednak było to, że obaj

laureaci w budowaniu systemów opartych na sieciach neuronowych zastosowali narzędzia fizyki.

Zapamiętaj i ucz się

Sztuczne sieci neuronowe, będące centralnym tematem Nagrody, są jednym z podejść do uczenia maszynowego. Podejście to w ostatnich latach odnosi ogromne sukcesy. To dzięki sieciom neuronowym mamy takie aplikacje jak duże modele językowe z ChatGPT na czele czy modele generacji obrazu, takie jak Dall-E.

Uczenie maszynowe różni się od tradycyjnych algorytmów komputerowych tym, że nie polega na stałym zestawie zaprogramowanych instrukcji do rozwiązywania problemów. Konwencjonalne oprogramowanie wymaga wyraźnych, podawanych krok po kroku reguł opracowanych przez programistów, co utrudnia radzenie sobie ze złożonymi lub nieprzewidywalnymi sytuacjami. Uczenie maszynowe prezentuje inne podejście – algorytmy szkolą się na przykładach i z czasem poprawiają swoją wydajność, dzięki temu, że coraz sprawniej identyfikują wzorce w danych. Modele uczenia maszynowego korzystające z danych z przeszłości mają zdolność do adaptacji i obsługi bardziej zniuansowanych zadań.

Inspiracją dla tej technologii była pierwotnie struktura mózgu – zbudowanego z obwodów połączonych w złożone sieci neuronów. Sztuczne sieci neuronowe składają się z węzłów – abstrakcyjnych odpowiedników biologicznych neuronów – pomiędzy którymi występują połączenia, których siła może być wzmacniana lub osłabiana. Taka sieć może być trenowana, co sprowadza się do zmiany siły połączeń pomiędzy pewnymi węzłami. Można ją także układać w warstwy – np. węzły („neurony”) z jednej warstwy będą reagować tylko wtedy, gdy w poprzedniej warstwie „neurony” osiągną określony stan.

Tegoroczni laureaci badali zjawiska występujące w sztucznych sieciach neuronowych od lat 80. XX w. Starszy z nich – John Hopfield – to fizyk z rodzinnymi tradycjami. Jego ojciec w USA znany był jako John Joseph Hopfield (urodził się w Królestwie Kongresowym jako Jan Józef Chmielewski) i pracował na kilku uczelniach oraz w prywatnych laboratoriach, prowadząc m.in. badania z optyki. Hopfield junior parał się różnymi działami fizyki i biofizyki, choć największą sławę przyniosły mu prace nad sieciami neuronowymi. Wykorzystał w nich metody fizyki statystycznej, opisującej układy, które mają zbyt wiele części, by można było je śledzić indywidualnie.

Fizyczne fundamenty

Tzw. sieć Hopfielda, do której wprost odwołał się komitet noblowski, pozwala na przechowywanie wzorców danych pod postacią stanu sieci o niskiej energii. Przełomowe jest to, że układ taki potrafi odtworzyć zarejestrowany wzorec – np. prostą ilustrację – nawet korzystając z jego zniekształconej lub zaszumionej wersji. Własność ta stała się znana jako pamięć asocjacyjna (skojarzeniowa), ponieważ sposób, w jaki sieć „przypomina” sobie rzeczy, jest podobny do tego, w jaki mózg próbuje zapamiętać słowo lub pojęcie na podstawie powiązanych informacji.

Drugi noblista, Geoffrey Hinton, to gigant wielu dziedzin nauki: jego publikacje z psychologii, sztucznej inteligencji, informatyki i kognitywistyki cytowane były ponad 850 tys. razy (przeszło dwa razy częściej niż wszystkie prace Alberta Einsteina i Karola Darwina łącznie). Do jego doktorantów należał m.in. Ilya Sutskever – współzałożyciel i przez lata główny naukowiec OpenAI. Hinton przez dekadę pracował w Google DeepMind, z którego odszedł w 2023 r. Argumentował wówczas, że chce móc swobodnie mówić o ryzykach związanych z niekontrolowanym rozwojem sztucznej inteligencji.

Jednym z przełomowych osiągnięć Hintona na polu uczenia maszynowego była (stworzona z informatykiem i neurobiologiem Terryem Sejnowskim) sztuczna sieć neuronowa nazwana maszyną Boltzmanna – na cześć XIX-wiecznego au-

striackiego fizyka, badacza m.in. zachowania gazów. Stanowi ona modyfikację sieci Hopfielda, w której twórcy zdołali wyeliminować pewne zakłócenia i zwiększyli jej możliwości. Ta sieć potrafiła już nie tylko zapamiętywać i odtwarzać wzorce, ale też rozpoznawać charakterystyczne elementy w konkretnym typie danych, klasyfikować obrazy lub generować nowe przykłady wzorców, na których jest wytrenowana.

Przełom wymagał mocy

Maszyna Boltzmanna jest inspirowana wiedzą z fizyki: poszczególnym stanom całej sieci przypisywane jest pewne prawdopodobieństwo w zależności od energii wprowadzonej do całego układu, zgodnie z równaniem matematycznym zwanym rozkładem Boltzmanna, rządzącym także różnymi zjawiskami fizycznymi. Wprowadzanie danych jednej z warstw sieci powoduje zmianę jej stanu, a im więcej razy te same dane zostaną wprowadzone, tym większe prawdopodobieństwo, że sieć będzie przyjmować ten sam lub podobny stan w przyszłości. Na tym zjawisku opiera się trenowanie sieci i uczenie jej rozpoznawania wzorców.

Początkowo maszyna Boltzmanna wzbudzała zainteresowanie, ale zastosowania budowanych w ten sposób sieci neuronowych były bardzo ograniczone, ponieważ działały wolno i były podatne na błędy. Hinton poświęcił wiele czasu na optymalizację algorytmów rządzących zachowaniem węzłów – przełomowym osiągnięciem na tym polu był tzw. algorytm propagacji wstecznej błędu, pozwalający bardzo precyzyjnie dostosowywać wagi połączeń między węzłami. Ten algorytm doprowadził do wznowienia zainteresowania naukowemu sieciami neuronowymi i gwałtownego rozwoju ich możliwości oraz zastosowań.

Swoją niezwykle potężną sztuczne sieci neuronowe zaczęły ujawniać w ostatniej dekadzie, gdy możliwe stało się trenowanie ich na potężnych zbiorach danych, przy wykorzystaniu superszybkich komputerów. Dzięki temu aplikacje takie jak AlphaZero zaczęły pokonywać szachistów, ChatGPT zaczął z nami prowadzić rozmowy, a AlphaFold odkryła strukturę niemal wszystkich znanych białek – za co przyznano Nagrodę w dziedzinie chemii. ©

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkanie Klubów „Tygodnika Powszechnego”

-  **LUBLIN**, piątek, 18 października, godz. 17.00
 ilustrowany wykład prof. Dobrosława Bagińskiego, artyści i teoretyka sztuki „Medialna natura obrazów sakralnych”, aula klasztoru oo. Dominikanów (ul. Złota 9).
-  **GRUDZIĄDZ**, poniedziałek 21 października, godz. 18.00
 spotkanie autorskie z Zofią Zarębianką o sztuce, artystach i życiu, „Człowiek – twórca, człowiek – tworzywo”, Spichlerz 57.



-  **TRÓJMIASTO**, poniedziałek 21 października, godz. 18.00,
 spotkanie z udziałem Sławiny Kosmulskiej, Bogdana Wałęsy oraz Marii Mrozińskiej. Moderacja: Marcin Wozikowski.
 „O dwóch Lechach”, Biblioteka Manhattan (al. Grunwaldzka 82, Gdańsk).
 Projekt współfinansowany przez Urząd Miasta Gdańsk
-  **OGÓLNOKLUBOWE**, poniedziałek 21 października, godz. 20.00,
 pierwsze spotkanie z cyklu „Wspólne czytanie” wokół książki Marka Kity „Zostać w Kościele/Zostać Kościołem” (wyd. Więź). Spotkanie online, link dostępny na stronie www.klubtygodnika.pl

REZERWUJ
CZAS!

ZESKANUJ I SPRAWDŹ



więcej informacji na KlubTygodnika.pl/wydarzenia



Victor Ambros i Gary Ruvkun, laureaci Nagrody Nobla w medycynie w 2024 r.

Noble przynosi nicięć

BARTOSZ KABAŁA

Za badania prowadzone na maleńkim robaku *C. elegans* nagrody otrzymali już twórcy techniki znakowania białek i genetycy. W tym roku – odkrywcy mechanizmu kontroli aktywności genów.

NAGRODĘ NOBLA W DZIEDZINIE FIZJOLOGII LUB MEDYCYNY otrzymali dwaj amerykańscy naukowcy, Victor Ambros i Gary Ruvkun, za odkrycie mikroRNA (miRNA) i jego roli w potranskrypcyjnej regulacji genów. Tak jak w ubiegłym roku najwyższe naukowe wyróżnienie przyznano za badania nad kwasem rybonukleinowym (RNA), który dla funkcjonowania komórki okazał się nie mniej istotny, co DNA.

Rok życia w vanie

Gary Ruvkun nie zaprzecza, że w przeszłości wczesnym rankiem pierwszego dnia tygodnia noblowskiego kilkakrotnie otrzymywał fałszywe telefony o przyznaniu Nagrody. Tym razem połączenie ze Sztokholmu było prawdziwe, co potwierdziła jego żona, która pierwsza podniosła słuchawkę, wołając „on ma szwedzki akcent!”. Drugi nagrodzony, Victor Ambros, o 4.30 nad ranem nie był tak łatwo dostępny. Już po ogłoszeniu oświadczenia komitetu noblowskiego do syna naukowca zadzwonił dziennikarz z prośbą o komentarz ojca. Syn zadzwonił do matki, Ro-

salind Lee (która pojawi się jeszcze w tej opowieści), a ona poinformowała Ambrosa. Jego telefon rozgrzewany przez setki wiadomości i połączeń leżał w tym czasie poza zasięgiem wzroku i słuchu.

Obaj spotkają się wkrótce w Sztokholmie na oficjalnej ceremonii wręczenia nagrody, ale ich wspólna ścieżka naukowa ma dłuższą historię. Po raz pierwszy poznali się pod koniec lat 80. Victor Ambros, syn polskiego uciekiniera wojennego i żołnierza U.S. Army Longina Bohdana Ambrosa, obronił w 1979 r. doktorat pod kierunkiem noblisty Davida Baltimore’a (nagroda w 1975 r. za badania nad interakcjami wirusów wywołujących nowotwory i komórek gospodarza) i wkrótce rozpoczął pracę w laboratorium kolejnego późniejszego laureata Nagrody Nobla Roberta Horvitz. Młody i ambitny biolog był skazany na sukces.

Nieco później do zespołu Horvitz dołączył również Gary Ruvkun, którego naukowa kariera nie była taka pewna. Dopiero po roku samotnych podróży vanem przez zachodnie wybrzeże USA, w trakcie których zasadził ok. 50 tys. drzew w stanach Oregon i Washington, oraz po epizodzie pracy jako DJ w radiu podjął decyzję o zajęciu się nauką.

Przepisowa kontrola

Głównym obiektem badań w laboratorium Roberta Horvitz, który wraz z Sydneyem Brennerem i Johnem Sulstonem otrzymał Nobla w 2002 r. za odkrycie mechanizmów genetycznych, które u organizmów wielokomórkowych odpowiadają za rozwój narządów, był jednomilimetrowy nicięć *Caenorhabditis elegans*. Dotychczas to drobne żyjątko pozwoliło na zdobycie Nobla trzykrotnie i było również wiodącym tematem badań tegorocznych noblistów.

Każda komórka organizmu wielokomórkowego zawiera taki sam materiał genetyczny w formie DNA, czyli te same

przepisy na białka, hormony, neuroprzekazniki itd. Dotyczy to zarówno *C. elegans*, jak i *H. sapiens*. Wszystkie komórki naszego ciała posiadają gen kodujący insulinę, ale produkują ją tylko wyspecjalizowane komórki w trzustce. Odpowiednia kontrola komórek nad ekspresją, czyli – mówiąc prościej – działaniem odpowiednich genów ma również ogromne znaczenie w rozwoju embrionalnym i w trakcie formowania się narządów. Kluczowe jest włączenie odpowiedniego genu w odpowiedniej komórce i w odpowiednim czasie. Skąd zatem bierze się ta różnorodność komórek, ich wyspecjalizowanie i wybiórczość w korzystaniu z życiodajnych przepisów zawartych w DNA?

Na te pytania próbowali odpowiedzieć tegoroczni nobliści, początkowo pracując wspólnie w laboratorium Horvitz, a później w dwóch niezależnych ośrodkach na dwóch odmianach *C. elegans*. Mutanty *lin-4* i *lin-14*, biorące swoje nazwy od uszkodzonych genów, wykazywały zaburzenia czasowe w procesie rozwoju od larwy do dorosłego organizmu. Kilka lat wcześniej Ambros odkrył, że to gen *lin-4* hamuje ekspresję genu *lin-14*. Mutantem *lin-4* w swoim laboratorium zajął się Ambros, a *lin-14* Ruvkun.

Mechanizm wyciszania

Ambros odczytał gen *lin-4* i odkrył, że koduje on drobny fragment RNA, czyli jednoniciowego materiału genetycznego, co było niemałym zaskoczeniem. Okazuje się, że „hamulcowym” dla genu *lin-14* nie było białko, jak można by podejrzewać, ale drobny fragment kodu genetycznego.

W tym czasie Ruvkun prześledził losy genu *lin-14*. Krótka powtórka z biologii: wszystkie przepisy na białka zawarte są w DNA, a gdy potrzebne jest konkretne białko, fragment tego DNA przepisywany jest na mRNA (co nazywane jest transkrypcją) i dopiero na jego podstawie z odpowiednich aminokwasów powstaje docelowy produkt. Znanym mechanizmem wyciszania genów jest hamowanie produkcji mRNA, a przez to syntezy białka, ale, co opisał Ruvkun, w przypadku *lin-14* blokada zlokalizowana była pomiędzy mRNA a białkiem. Co zatem blokowało ten proces?

Ambros i Ruvkun posiadali dwa idealnie pasujące do siebie fragmenty całości, które połączyła wyrta w pamięci obu noblistów rozmowa telefoniczna – gen *lin-4* produkuje krótką nitkę mikroRNA, zbudowaną z zaledwie ok. 20 nukleotydowych klocków, która poza jądrem komórkowym wiąże się z pasującym, bliźniaczym fragmentem mRNA *lin-14* i powoduje zablokowanie produkcji odpowiedniego białka. Swoje odkrycie opisali w 1993 r. w czasopiśmie „Cell”, w artykule, którego pierwszą autorką jest Rosalind Lee, późniejsza żona Ambrosa.

Badania podstawowe

Ruvkun w wywiadzie dla portalu komitetu noblowskiego zwierza się, że swojego odkrycia długo nie traktował jako przełomowe. Od lat 90. odkryto tysiące tego typu regulacji przy pomocy mikroRNA, w tym kilkaset u ludzi. Okazuje się, że wiele genów kontrolowanych jest przez kilka cząstek mikroRNA, a relacje pomiędzy genami, mikroRNA i innymi mechanizmami regulującymi ekspresję genów tworzą gęstą i skomplikowaną mapę życia komórki. „Wraz z dynamicznym rozwojem tej dziedziny, czemu przyglądanie się jest prawdziwą przyjemnością – mówi w wywiadzie Ruvkun – pojawiło się poczucie, że to właśnie ten rodzaj przełomu, która zdobywa nagrody i wyróżnienia”.

Ubiegłoroczna medyczna Nagroda Nobla została przyznana za rzecz bardzo praktyczną – opracowanie technologii, która uczyniła z mRNA skuteczne szczepionki i leki. Szczepiąc się przeciwko wirusowi SARS-CoV-2 wszyscy mogliśmy z tej nowości skorzystać. Do powszechnego wykorzystania mikroRNA w medycynie jeszcze daleko. Obecnie trwają badania nad lekami wykorzystującymi mikroRNA i kontrolę nad ekspresją genów w przypadku chorób wątroby, jelit, infekcji wirusem HCV czy niektórych białaczek. Być może szybciej uda się opanować skuteczne metody wykrywania we krwi cząstek mikroRNA specyficznych dla niektórych chorób nowotworowych, co pomoże w ich diagnozowaniu i nadzorowaniu leczenia. ©

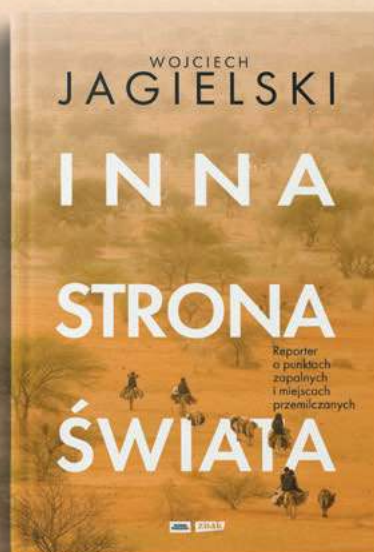
REKLAMA

WOJCIECH JAGIELSKI

o punktach zapalnych i miejscach przemilczanych

PREMIERA 23 PAŹDZIERNIKA

TYGODNIK
POWSZECHNY **znak** **znak**
KSIĘGARNIA



SZTUKA PORAŻKI

Lars Saabye Christensen stworzył opowieści,
w których Norwedzy nie tylko chętnie się przeglądają,
ale również chcą być widziani na zewnątrz.

Paradoks, który jest możliwy
wyłącznie w przypadku Skandynawów.

MICHAŁ SOWIŃSKI

UCZESTNICY SPOTKAŃ LITERACKICH i czytelnicy wywiadów z pisarzami doskonale to wiedzą: prozaicy wzdychają w stronę poezji (nie przychodzi mi do głowy żaden przykład sytuacji odwrotnej). Tęsknią, bo jawi im się ona nie tylko wzniosła, jako najszlachetniejsza odmiana literackiego rzemiosła, ale również przyziemnie, jako materia mniej zmuśna w obróbkę.

O ile zazwyczaj w takich przypadkach mamy do czynienia z formą kokieterii, o tyle najchętniej czytany dziś na świecie Norweg (tak, chętniej od Karla Ove Knausgård), Lars Saabye Christensen, faktycznie swoją przygodę z pisaniem zaczynał od poezji – w 1976 r. tomikiem „Historien om Gly”. Później wydał jeszcze kilka innych tomików oraz dramatów, scenariuszy filmowych i tekstów piosenek. Można więc zaryzykować stwierdzenie, że wie, na czym polega różnica między poetyckim a prozatorskim użyciem słowa – a raczej, w jego przypadku, że granica między nimi jest umowna. A być może wcale jej nie ma.

W „Mojej chińskiej babci” (2020) Christensen przytacza fragmenty swojej biografii, bez wątpienia dobrze znanej (w swoich literackich wariantach) czytelnikom jego powieści. Píše mię-

dzy innymi o tym, jak w młodości dorbiał jako chłopiec na posyłki, przemierzając bez ustanku ulice Oslo na rowerze. „Uświadamiam sobie, że wszystkie te prace (...) polegają na jednym i tym samym, mianowicie na podnoszeniu, dzwiganiu i dostarczaniu. I kontynuowałem to przez resztę życia, jako pisarz; podnosiłem, dzwigałem i dostarczałem kolejno kwiaty, walizki, meble, a na koniec powieści” – pisze w swoim autobiograficznym esej.

Zapewne większość czytelników Christensena dostrzeże w tym, skądinąd bardzo poważnym wyznaniu, cień autoironii – jako że ze względu na liczbę i objętość wszystkich wydanych przez autora powieści (po polsku wciąż dostępna jest jedynie ich część), przewiezienie ich mogłoby być trudniejsze niż w przypadku niejednego mebla. Jednak to wyliczenie, które ewidentnie ustawione jest rosnąco ze względu na ciężar, zwieńczone zostaje dopowiedzeniem: „a w szczęśliwszych momentach poezję”. Mówiąc inaczej: codzienną orkę dostarczania ludziom komód i opasłych historii o nieszczęśliwych rodzinach co jakiś czas przerywały szczęśliwsze chwile, gdy można było podarować komuś cienki, prawie nic nieważący wiersz.

Czym jest norweskość

W powieściach Christensena wydarzenia i motywy nie tyle się powtarzają, co są do siebie ludzko podobne. Jak sam twierdzi, dzieli ze swoimi bohaterami wiele – począwszy od miejskiej topografii, przez rodzinne perypetie, aż po oglądane filmy czy słuchaną muzykę. Klucz autobiograficzny oczywiście otwiera w tym przypadku →



NEJAD ARASH A / IT NEWSAGENCY / FORUM



LARS SAABYE CHRISTENSEN

(ur. 1953) jest norweskim pisarzem. Autor powieści, poezji, dramatów, scenariuszy filmowych. Laureat Nagrody Norweskich Krytyków Literackich, Nagrody Księgarzy Norweskich, Nagrody Rivertona, Brageprisen oraz Nagrody Doblouga. W 2006 r. został odznaczony komandorią Orderu Świętego Olafa za zasługi dla literatury norweskiej. Jego powieści ukazały się w 36 krajach.



Spotkanie
z **LARSEM SAABYEM CHRISTENSENEM**
odbędzie się
24 października o godzinie 20.00
w Małopolskim Ogrodzie Sztuki
przy ulicy Rajskiej 12

→ wiele drzwi, ale zazwyczaj nie prowadzą one do szczególnie interesujących miejsc.

Gdy w 1984 r. wydał powieść „Beatlesi”, został jednomyślnie okrzyknięty wielkim kronikarzem norweskiego społeczeństwa, skrzyżowaniem Ibsena z Hamsunem, który potrafi zarówno dokonywać wnikliwej analizy ludzkiej duszy, jak i budować rozległe panoramy świata, który owe duże zamieszkuje. Słowem – pisarz totalny.

Co więcej, „Beatlesi”, historia dorastania czwórki przyjaciół w powojennej Norwegii, których rytm życia wyznaczają premiery kolejnych albumów brytyjskiego zespołu, okazała się olbrzymim sukcesem na całym świecie i otworzyła mu drogę do kariery trwającej do dziś. Smaczku dodaje fakt, że pisarz ma także duńskie korzenie – choć w przypadku akurat tych dwóch tożsamości narodowych, z zawiłych powodów historycznych, nie do końca można mówić o podwójności, co raczej właśnie o rozszerzaniu i pogłębianiu jednej przez drugą. Christensen dzięki nim umiejętnie balansuje między swojskością i obcością.

„Beatlesami” Christensen stworzył również matrycę dla swoich kolejnych fabuł. Jednostkowe historie zaszczerpione w szerszym, bardziej uniwersalnym kontekście zyskują nie tylko nową głębię, ale też stają się czytelniejsze, bardziej zrozumiałe. Co wyjątkowe, Christensen nie jest pisarzem, który jedynie eksportuje literackie zasoby swojej ojczyzny, nie jest też wyłącznie jej ambasadorem – dokonuje translacji kodów kulturowych w obie strony. Stworzył opowieść, w której sami Norwedzy nie tylko chętnie się przeglądają, ale również chcą być widziani na zewnątrz. Paradoks, który jest możliwy wyłącznie w przypadku Skandynawów.

Jego „norweskość” zawiera się także w samym tym przechodzeniu, ruchu od peryferii w stronę centrum. Historię Norwegii XX w. wyznaczają dwa wielkie wydarzenia – pierwsze z nich to II wojna światowa, czyli skomplikowany okres, w którym kolaboracja z III Rzeszą przeplata się z heroiczną walką z okupantem.

Przez wojnę wtargnęła tu wielka historia.

Przez odkrycie ropy – wielkie bogactwo. To one stworzyły nowoczesną Norwęgę i są kluczowe dla opowieści Christensena.

Drugie to odkrycie olbrzymich złóż ropy na Morzu Północnym w latach 70.

Wojna była wtargnięciem wielkiej historii w senną rzeczywistość narodu leżącego do tej pory na uboczu Europy. Ropa z kolei dokonała gwałtownej przemiany ekonomiczno-społecznej, czyniąc Norwęgę na przestrzeni jednego pokolenia jednym z najbogatszych krajów świata. Nic więc dziwnego, że akcja większości powieści Christensena przynajmniej zachaca o te historyczne węzły, albo wręcz w całości jest rozpięta między nimi. To one stworzyły nowoczesną Norwęgę i do dziś rezonują w jej społeczeństwie. Oba też wciąż domagają się nowych, coraz to bardziej złożonych opowieści.

Ukojenie

Christensen swoje panoramy społeczne tworzy niejako przy okazji. Przede wszystkim ma odwagę stawiać fundamentalne pytania o sens i rolę sztuki – o to, czym właściwie jest literatura. I dla czego jest nam tak bardzo potrzebna.

Widać to już na poziomie samego stylu, który trudno dookreślić – wydaje się gładki i spokojny, ale jednocześnie coś w nim cały czas buzuje, coś trudno uchwytne, jakby na granicy pola widzenia. W swoich powieściach opisuje ludzi, którzy nie pasują do reszty, mają w sobie jakiś uszczerbek, defekt, który wyznacza rytm ich życia. W „Półbracie” (2001) główny bohater nie dość, że ma dziwaczne imię – Barnum – z którego musi się nieustannie tłumaczyć (czy można się wytłumaczyć z własnego imienia?), to w dodatku jest wyjątkowo niski.

Jakby dla równowagi bohater „Magnesu” (2018), Jokum, jest niezwykle wysoki, przez co jeszcze bardziej odstaje. W „Modelce” (2005) Peter traci wzrok, a narrator „Odpływu” (2012) gubi plik ze swoją powieścią, przez co trafia do szpi-

tala psychiatrycznego. Na drugim planie pojawiają się ludzie bez palców, dłoni, oczu, ludzie otyli albo chorobliwie chudzi, melancholijni asceci albo znerwicowani alkoholicy. Nie ma ojców, są za to matki, babcie i prababcie. Ciągłe czegoś jest albo za dużo, albo za mało.

Aby jakoś sobie radzić z tą ciągłą niewspółmiernością świata, bohaterowie Christensena szukają ukojenia w sztuce. Zakrada się ona do ich życia niespodziewanie – przypadkowa wizyta w kinie („Półbrat”), znaleziony aparat fotograficzny („Magnes”), подарowana maszyna do pisania („Odpływ”). Sztuka jednak nie przynosi ukojenia ani tym bardziej satysfakcjonujących odpowiedzi, daje za to narzędzia do radzenia sobie z tym, co tu i teraz. Niemniej to, co przy jej pomocy da się osiągnąć, jest zawsze prowizorką, rozwiązaniem tymczasowym. Trzeba szukać dalej i głębiej.

Dla Christensena sztuka to poszukiwanie, wręcz forma życia – a nie jedynie dodatek do świata, rozrywka, ozdóbka. Ci wszyscy artyści, tak gęsto występujący w jego powieściach, gdy raz spróbują zmierzyć się z rzeczywistością – opowiedzieć o niej po swojemu – popadają w obsesję, która stopniowo wyniszcza ich zarówno psychicznie, jak i psychicznie. Znowu – mamy tu do czynienia ze staroświecką wręcz wizją artysty, który w starciu ze światem zawsze jest na przegranej pozycji, niemniej nie ma wyboru, musi nieustannie i wciąż od nowa próbować uchwycić to, co nieuchwytnie.

Jeśli połączymy ten egzystencjalny ból wynikający z poczucia artystycznej klęski z fizycznym cierpieniem, jakiego doświadczaą wszyscy bohaterowie jego powieści, wyjdzie nam obraz niezwykle ponury. Nawet pogoda – w końcu to Norwegia – doклада swoje, bo zawsze jest zimno, ciemno i mokro. Pocięchy, paradoksalnie, można jednak szukać właśnie w tym nagromadzeniu nieszczęść i artystycznych porażek. Co ważne, Christensen ma – mimo wszystko – poczucie humoru. Z każdą kolejną powieścią zdaje się pisać o swoich bohaterach z coraz większą czułością, a ich rozrośnięte do granic ego traktować z przymrużeniem oka. Zwłaszcza że, jak wynika z „Chińskiej babci”, przytaczanej na początku artystycznej autobiografii, pisze nieustannie o sobie samym.

Przytacza nawet moment epifanii, który uznaje za symboliczny po-



Najciekawsze tematy
nowego numeru „Tygodnika”
w prasówce Radia 357 – środa o 8.30.

Stuchaj na żywo lub w podkastach na [Radio357.pl](https://radio357.pl)

czątek jego kariery pisarskiej – gdy ojciec zabrał go do zakładu zegarmistrza, gdzie każdy z zegarów wskazywał inny czas. Było to doświadczenie rzeczywistości pokawałkowanej, rozsypanej w bezsensowny zbiór elementów. Tam zrodził się pomysł na pierwszy wiersz: „to znaczy wiersz, który mogłem uważać za swój, wyłącznie swój, bo o tym, co zobaczyłem wtedy, nikt inny oprócz mnie nie mógł napisać”. Scena ta, która zresztą potem pojawia się w różnych wariantach kilkukrotnie w jego prozie, ma w sobie poruszającą wzniosłość – rodzaj wyzwania rzuczonego niedającej się ogarnąć (ani tym bardziej oswoić) rzeczywistości.

Oszukujemy się

Tego typu sceny założycielskie, jakie autorzy i autorki lubią upychać do autobiograficznych esejów, zazwyczaj budzą podejrzliwość – jednak gdybyśmy mieli wskazać jednego pisarza, który mógłby doświadczać rzeczywistości w sposób tak literacki, byłby nim właśnie Christensen.

Zgadzam się na wyświechtany frazes o życiu na miarę literatury jedynie pod warunkiem, że ktoś potrafi tworzyć literaturę na miarę życia. Zwłaszcza że w tym wypadku stawka jest bardzo wysoka – „Chińska babcia” to bowiem (między innymi) opowieść o umierającym ojcu, a raczej o tym, jak to odchodzenie opisać, jak uczynić jego śmierć częścią swojego literackiego uniwersum: „Tu, w szpitalu Dia-konhjemmet latem 2009 roku, czterdziści pięć lat później, wciąż mam wyraźnie przed oczami witrynę zegarmistrza i przychodzi mi do głowy myśl, że pisanie i łożo śmierci łączy czas. Mówię: – Opo-wiedz mi o Chinach”.

Ojciec ma opowiedzieć o Chinach, czyli rodzinnej legendzie o babci autora, która pojechała dawno temu do Szanghaju, gdzie poznała swojego męża. Kolejny wymiar czasu, kolejna opowieść, która tym razem ma być pomostem między nim a umierającym ojcem. Czy to zapowiedź kolejnej porażki języka w nierównym starciu z rzeczywistością? Możliwe, niemniej nikt inny oprócz niego nie mógł o tym napisać.

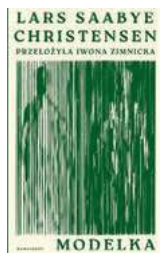
W „Półbracie” jak refren powraca łacińskie przysłowie *mundus vult decipi, ergo decipiatur*, świat chce być oszukiwany, niech więc będzie. Nie jest ważne to, co widzimy, tylko to, co wydaje się nam, że widzimy.

Galeria artystów



■ PÓŁBRAT (2001)

Barnum, scenarzysta filmowy w kryzysie twórczym, postanawia w końcu napisać historię swojego przyrodniego brata, który zaginął, gdy ten był jeszcze dzieckiem. Wychodzi z tego drobiazgowa, niezwykle bolesna historia norweskiej rodziny, która rozpoczyna się zaraz po wojnie i kończy się współcześnie. Widzimy w niej Barnuma, który powoli dojrzewa jako artysta i odnosi pierwsze sukcesy, przepracowuje też trudną relację z bratem, ale jego życie, między innymi z powodu rodzinnych traum, stopniowo zamienia się w ruinę.



■ MODELKA (2005)

Peter jest uznanym w świecie sztuki malarzem, którego gwiazda jednak powoli blaknie. Szansą na wielki powrót ma być zbliżająca się wystawa, jednak prace nad nią idą mu powoli. W międzyczasie dostaje druzgocącą diagnozę – wkrótce straci wzrok. Zrozpaczony decyduje się na kontrowersyjną terapię u lekarza o podejrzanym reputacji. Operacja się udaje, podobnie jak sama wystawa, ale cena, jaką przychodzi mu zapłacić za ten faustowski pakt, niszczy jego życie i rodzinę.



■ ODPIŁYW (2008)

Rok 1969, za kilka dni Amerykanie wylądują na Księżycu. Funder ma 15 lat i chce napisać o tym swój pierwszy wiersz, jednak nic z tego nie wychodzi. Frank w fikcyjnym amerykańskim miasteczku dostaje nietypową pracę – ma przekazywać rodzinom informacje o śmierci ich bliskich. Funder jest po pięćdziesiątce i jest cenionym pisarzem, który po śmierci ojca przeżywa załamanie nerwowe. Do tego traci jedyną kopię swojej najnowszej powieści. Trzy historie, które łączą się w misterny i nieoczywisty sposób. ©

Poligon

Christensen jest bez wątpienia mistrzem zestawień. Rozdziały, sceny i obrazy przenikają jedno w drugie, raz budując narrację linearną, kiedy indziej, zaburzając chronologię, tworzą kilka planów czasowych. Są też konstrukcje szkatułkowe, nieprawdopodobne klamry narracyjne, wywracające na nice drobiazgowo budowane przez setki stron sensy i konteksty.

Pod tym względem najciekawszy jest niepozorny na pierwszy rzut oka rozdział w „Półbracie” właśnie, gdy po raz pierwszy (i jedyny) w obrębie jednej narracyjnej całości mamy do czynienia z dwiema równoległymi opowieściami. Przyjaciół Barnuma w pewnym momencie w złości mówi, że jest on identyczny jak jego zwiariowany brat Fred. Barnum wpada we wściekłość, okłada go pięściami – i wtedy dzieje się rzecz niezwykła. Po raz pierwszy widzimy Freda nie z perspektywy Barnuma, tylko niezależnie – w trakcie toczącego w tym samym czasie, ale w zupełnie innym miejscu pojedynku bokserskiego. Barnum bije, Fred jest bity, na zmianę, na jednej stronie. Barnum w końcu uwalnia się spod tyranii brata, potrafi go sobie wyobrazić (a właściwie nie on, tylko my) poza sobą samym. Możliwa staje się opowieść, o której tak długo marzył, która była mu tak bardzo potrzebna.

U Christensena często trzeba zejść bardzo głęboko wewnątrz samego medium, aby zrozumieć jego ograniczenia, a potem możliwości (w tej kolejności). Malarstwo, fotografia, film – eksploruje najróżniejsze obszary sztuki, choć przecież przez cały czas poruszamy się w przestrzeni literatury. Niemniej zawsze chodzi o dwa wymiary, bez których opowieść jest niemożliwa – obrazy i ich zestawienie.

O jego opasłych powieściach można pomyśleć jak o czymś w rodzaju poligonu doświadczalnego, formy brudnopisu, gdzie zapisuje się pomysły, obrazy czy pojedyncze słowa (właściwie każdy z jego bohaterów prowadzi taki rodzaj notatek). Ciężka, wyczerpująca praca, polegająca, jak w przypadku chłopca na posyłki, na „podnoszeniu, dźwiganiu i dostarczaniu”. Czasem jednak, i są to chwile wyjątkowego szczęścia, udaje się dowieźć komuś kawałek poezji. Moment, który wynagradza gorycz wszystkich wcześniejszych porażek.

© P MICHAŁ SOWIŃSKI

Łzy wciąż płyną

FILIP ŁOBODZIŃSKI

Ruch w obronie praw obywatelskich w Ameryce nie miał głowy do sprawy rdzennych mieszkańców kontynentu. Jednym z pierwszych, który zabrał głos, był Johnny Cash, wydając 60 lat temu album „Bitter Tears”.

ŚWIETNIE KOJARZYMY TĘ FOTOGRAFIĘ Joe Rosenthala: sześciu żołnierzy stawia do pionu Gwiazdzisty Sztandar na szczycie wzgórza Suribachi, górującego nad wyspą Iwo Jima. Wydarzenie miało miejsce 23 lutego 1945 r. i wieńczyło krwawe miesięczne zmagania wojsk federalnych i cesarskich o ten położony w połowie drogi między Japonią a Marianami skrawek lądu. Żołnierz stojący najbardziej po lewej stronie, który przed chwilą jeszcze podtrzymywał drzewce, to dwudziestodwuletni Ira Hamilton Hayes.

Podręczniki historii podają, że Hayes jako jeden z nielicznych spośród tych, którzy przeżyli batalię o Iwo Jimę, na wniosek prezydenta Harry’ego Trumana został zaraz po wojnie ogłoszony bohaterem wojennym. W ten sposób ojczyzna wyświadczyła mu tragiczną w skutkach przysługę.

Bohater schodzi z góry na dno

Ira Hayes należał do zamieszkującego Arizone uto-azteckiego ludu Akimel O’odham, z hiszpańskiego zwanego Pima. Od dzieciństwa cichy i skromny, po ataku na Pearl Harbor postanowił zapomnieć o krzywdach wyrządzonych Pimom przez rząd USA, o zagarnięciu terenów obfitujących w wodę i o regularnym łamaniu traktatów, i poszedł walczyć. Tak podczas służby, jak i później, za bohaterów skłonny był raczej uważać

poległych towarzyszy broni. Opinia publiczna jednak wiedziała swoje.

Najpierw był łańcuch niekończących się bankietów, także w Białym Domu, potem także lawina listów i wścibska uwaga bliższego i dalszego otoczenia, które pod płaszczykiem adoracji przemycalo też zawistne szpile. Hayes, głęboko wierzący w sens prawdy, podejmował ogromny wysiłek, by wszyscy bohaterowie zdjęcia Rosenthala zostali prawidłowo zidentyfikowani i uhonorowani. Bezskutecznie próbował też znaleźć stałą pracę, co okazało się właściwie niemożliwe. Gnębiony przez coraz większy stres z powodu niechcianej sławy, szybko znalazł drogę ucieczki od harmidru, zaczepki i sprzecznych bodźców w nalewanym mu obficie alkoholu.

Zmarł w styczniu 1955 r. w wieku trzydziestu siedmiu lat z powodu upojenia alkoholowego i hipotermii.

Wywiadowca z rodeo wchodzi na scenę

We wrześniu 1962 r. w Carnegie Hall Pete Seeger zorganizował kolejne „hootenanny”, zlot folkowych talentów, podczas którego młody Bob Dylan zapre-

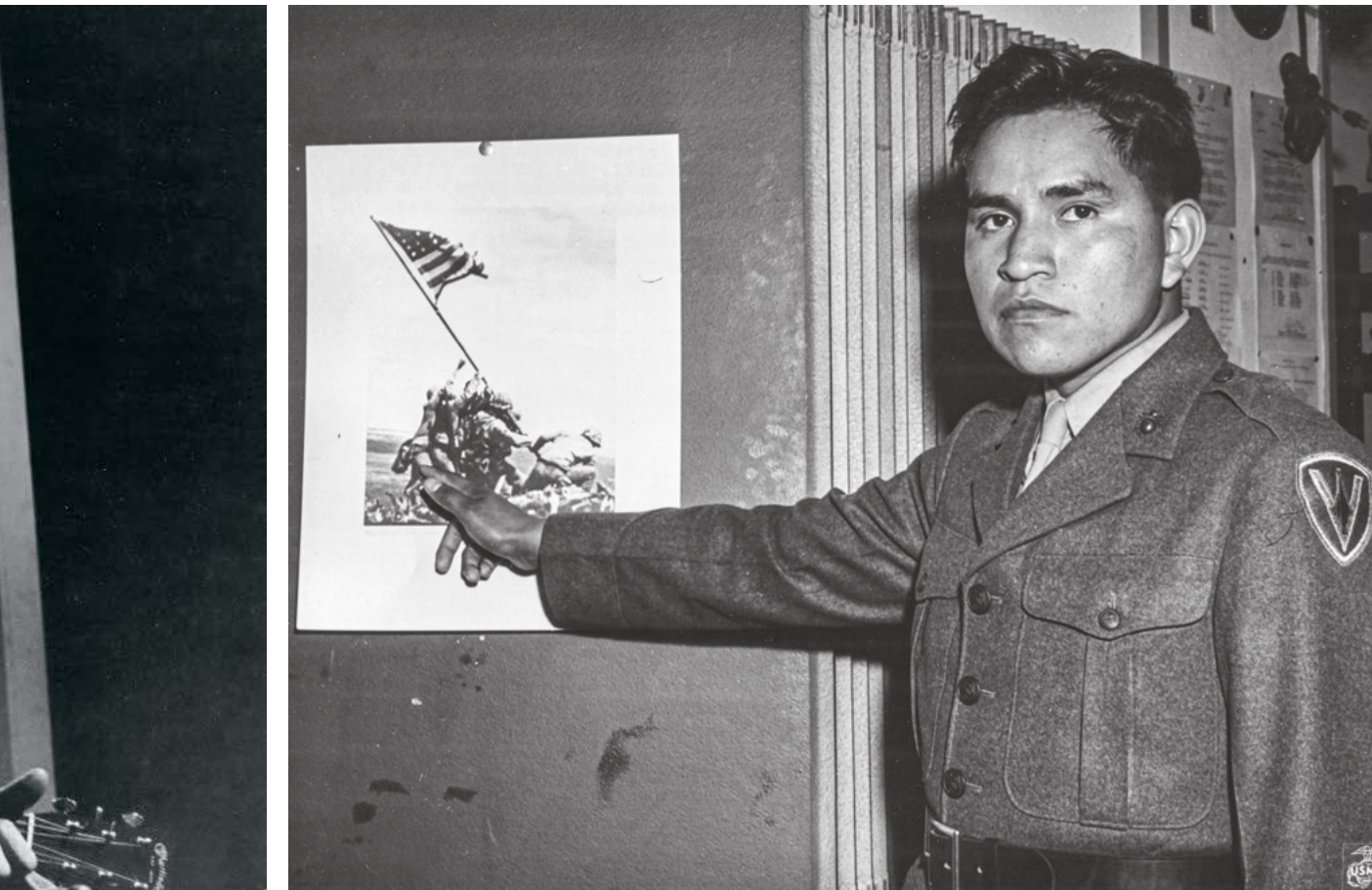
zentował własną kompozycję do słów Petera La Farge’a „As Long as the Grass Shall Grow”, opowiadających o zalaniu przyznanych Indianom Seneca terenów na granicy stanów Pensylwania i Nowy Jork. Wkrótce autor tekstu sam znalazł się w studiu wytwórni Folkways, gdzie nagrał pierwszą ze swych pięciu płyt poświęconych sprawom rdzennych Amerykanów, zawierającą także utwór zaśpiewany przez Dylana, tyle że już z własną muzyką.

La Farge był synem znanego antropologa Olivera, po którym odziedziczył tak głębokie zainteresowanie kulturą i losem Indian, że sam zaczął utrzymywać, jakoby był potomkiem algonkińskiego ludu Narrangasett. Uprawiał wyczynowo rodeo, w czasie wojny koreańskiej służył w wywiadzie marynarki wojennej jako radiotelegrafista. Jednak największe powołanie czuł do sceny. I właśnie na niej jeszcze w maju 1962 r. w nowojorskim Greenwich Village usłyszał go Johnny Cash. W trakcie występu La Farge wykonał między innymi „The Ballad of Ira Hayes”, dokumentującą zjazd na dno kombatanta-bohatera z plemienia Pima.



HULTON ARCHIVE / GETTY IMAGES

Johnny Cash podczas koncertu ok. 1965 r.



PHOTOQUEST / GETTY IMAGES

Ira Hamilton Hayes wskazuje na siebie na historycznym zdjęciu przedstawiającym podniesienie flagi na górze Suribachi, Iwo Jima, 1945 r.

W sklepach z muzyką folkową była też już od miesiąca dostępna płyta La Farge'a „Ira Hayes« and Other Ballads”. Jednak mimo że ukazała się pod szyldem wielkiej Columbii, rozchodziła się jedynie w niszowym środowisku folkowym.

Na niewiele więcej mogła liczyć Amerykanka włoskiego pochodzenia Buffy Sainte-Marie, również – wbrew metryce – podająca się za przedstawicielkę ludu Kri z Kanady i śpiewająca po nowojorskich klubach folkowych balladę „Now that the Buffalo's Gone” o wytrzebieniu bizonów. Ostatecznie piosenka trafiła w 1964 r. na jej debiutancki album „It's My Way!”.

To właśnie jednak „The Ballad of Ira Hayes” La Farge'a przypomniła Cashowi, że od zawsze pragnął nagrać własny album poświęcony w całości upokarzającej, sponsorowanej przez rząd federalny niedoli rdzennych Amerykanów. Niedoli, której wcale nie niwelowało nastawienie społeczne. Ruch w obronie praw obywatelskich nabrał w tym czasie ogromnego impetu i lada chwila mógł doprowadzić do rozstrzygnięcia na korzyść czarnej społeczności. Zdaniem wielu adwokatów kwestii afroamerykańskiej, Indianie stali

znacznie niżej w hierarchii społecznej i nie zasługiwali na zaangażowanie.

Johnny wchodzi do studia

Wielki Johnny Cash również utrzymywał przez pewien czas, że jest potomkiem Czirokezów i Mohawków. Da się to wytłumaczyć wpływem dzieciństwa – rodzina Cashów mieszkała w bardzo ubogim regionie Arkansas, zamieszkanym także przez Indian. Wspólnota biedy sementowała więzi, a mały J.R., jak wpisano Johnny'emu w metryce urodzenia, czuł z Indianami szczególne pokrewieństwo.

Długo jednak nie dawał mu głosu, choć od 1956 r. był już wielką gwiazdą sceny rockabilly i country. Jego sławę ugruntowały takie przeboje jak „Folsom Prison Blues” czy „I Walk the Line”. W 1959 r. nagrał piosenkę „Old Apache Squaw” – i tyle. Dopiero za sprawą La Farge'a uznał, że czas zamanifestować solidarność z ludźmi, obok których się wychował, a którym Nowy Ład nie pomógł w czasie kryzysu – inaczej niż białym farmerom, w tym jego rodzicom.

Zaczął pilnie studiować temat. Spotkał się między innymi z matką Hayesa, która

ofiarowała mu talizman – czarną „lżę” wulkaniczną upamiętniającą Indian, którzy padli w boju z białymi i nie mogli zostać pochowani zgodnie z obyczajem. Cash nosił ją na złotym łańcuszku.

Rok wcześniej sam podpisał kontrakt z Columbia, otrzymując ogromną swobodę z racji swej ugruntowanej pozycji gwiazdy. Dlatego wchodząc wczesną wiosną 1964 r. do studia, nie przypuszczał, że sam będzie musiał walczyć z nietolerancją i cenzurą. A mógł – w końcu trzy dni wcześniej Marlon Brando został aresztowany za udział w proteście indiańskim w stanie Waszyngton.

Na pierwszy ogień poszła „The Ballad of Ira Hayes” z dokładną historią nieszczęsnego weterana i refrenem: „Krzyccie: pijak Ira Hayes / on wam nie odrzeknie nic / on, Indianin z faszki whisky / żołnierz, co za kraj się bił”. Nagrana w marcu, ukazała się na singlu na początku czerwca 1964 r. – i nic.

Były to czasy zaraz po zabójstwie prezydenta Johna F. Kennedy'ego. Do wyborów stanął między innymi konserwatywny senator z Arizony Barry Goldwater, którego antywojnościowe przekonania wchodziły

→ bez popitki znacznej części Amerykanów. Nie umknęło to uwadze szefów Columbi i wielu rozgłośni. Wytwórnia przyjęła politykę „miękkiej cenzury”, polegającą na kompletnym braku promocji – z obawy, że na wywrotowej twórczości gwiazdora straci pieniądze. Również fani Casha z Południa mieli mu za złe, że angażuje się w sprawy, o których należało milczeć, skoro dotyczyły byle Indian.

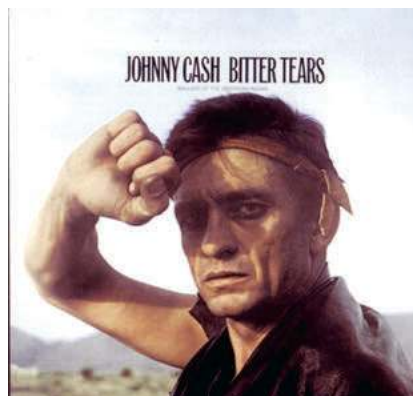
Johnny idzie na wojnę

Podobny do singla los spotkał wydany 26 października 1964 r. album „Bitter Tears: Ballads of the American Indian”. Otwiera go kolejny song La Farge’a, autora większości zamieszczonych tu kompozycji, wspomniane „As Long as the Grass Shall Grow”, opowiadające o złamaniu przez władze federalne traktatu z Senekami. Takich traktatów prezydent Jerzy Waszyngton podpisał około czterystu – i niemal żadnego nie dotrzymał. I tu leży zasadnicza różnica między walką Afroamerykanów a walką Indian. Ci drudzy dopominali się respektowania tego, do czego biali się już wcześniej zobowiązali na piśmie. Dlatego również tak trudno było im dojść do głosu – bo przecież „sprawa dawno została załatwiona”.

Kolejna rzecz – czarni Amerykanie domagali się integracji, zrównania statusu, pełnego uczestnictwa w życiu kraju na podobieństwo białych. Rdzenni mieszkańcy kontynentu oczekiwali, że pozwoli im się żyć na własnych prawach na skrawku tej ziemi, którą niegdyś władali niepodzielnie.

Głębia utworów nagranych na „Bitter Tears” dowodziła, że Johnny Cash, choć był czynny w relatywnie konserwatywnym środowisku muzyki country, to serce miał folkowe. Czuł, że dopóki istnieją w Ameryce ludzie cierpiący niesprawiedliwość, nie sposób nazwać Ameryki krajem wolności.

Medialna cisza wokół singla, a później albumu, rozjuszyła go tym bardziej. Jeszcze latem wykupił list-ogłoszenie w piśmie „Billboard” – w którym argumentował, że „Ira Hayes” i inne piosenki o niedoli Indian to lekarstwo, którego Ameryka pilnie potrzebuje – a także sporą część nakładu „Iry Hayesa”. Następnie spakował płyty z tekstem ogłoszenia i jeździł od rozgłośni do rozgłośni z osobistą prośbą, by nie ulegali naciskom i grali piosenkę. „Prezenterzy, szefowie, wła-



Okladka płyty „Bitter Tears”, 1964 r.

ściciele – gdzie podziałicie jaja?” – pytał w liście. A tymczasem jemu samemu zasugerowano, by opuścił szeregi stowarzyszenia muzyków country, ponieważ jest „zbyt inteligentny dla tych prostych ludzi”. W kuluarach szeptano, że „Bitter Tears” to muzyka antyamerykańska.

I chociaż akcja partyzancka, którą przeprowadził Cash, zamknęła mu drzwi do większej liczby rozgłośni, niż zdołała mu otworzyć, tak czy owak zrobiła swoje – „The Ballad of Ira Hayes” wybiła się na trzecie miejsce listy przebojów country, a album powędrował na drugie miejsce bestsellerów country.

Joe idzie po śladach Johnny’ego

„Wciąż jestem dumny z tej płyty” – wspominał Cash przed śmiercią, dodając, że nadal nie widzi powodów, by Ameryka miała karmić się samozadowoleniem, skoro biedni są wciąż biedni, a zabrana ziemia do wielu okradzionych nie powróciła.

Z tego samego założenia wyszedł w 2014 r. wybitny country-folkowiec Joe Henry – i skrzyknął plejadę artystów, by nagrali jeszcze raz po swojemu album Casha sprzed pół wieku. Udział na płycie „Look Again to the Wind: Johnny Cash’s Bitter Tears Revisited” wzięli między innymi Emmylou Harris i Kris Kristofferson. Przedsięwzięciu przyświecała idea bardzo prosta: pewne ruchy nigdy nie zamierają, bo ciężka praca nie została dokończona. Niegdyś suwerenni rdzenni Amerykanie nadal są w Ameryce niewidzialni.

Płyta Johnny’ego Casha wciąż niesie istotne przesłanie – mówi mi Joe Henry w rozmowie przez Atlantyk. – Zarówno historyczne, jako świadectwo jego niezgody na haniebną niedolę pierwszych mieszkańców tego kraju, jak i współcze-

sne, jako przestroga przed marginalizowaniem znaczącego segmentu naszego społeczeństwa. Prawa obywatelskie i szerszej prawa człowieka wymagają nieustannej i radykalnej czujności.

Bo dla Indian z pewnością nie uczyniono wszystkiego, na co jedno z najbogatszych państw świata stać – ich głos w debacie publicznej nadal się właściwie nie liczy. Zdają sobie z tego sprawę muzycy, zresztą nie tylko folkowi. Jak mówi Jarek Szubrycht, pracujący obecnie nad opartą na badaniach terenowych książką o rozbudzeniu świadomości kulturowej wśród indiańskich heavymetalowców, do tematu niesprawiedliwości wobec pierwotnych ludów Ameryki odnoszą się w swej twórczości prawie wszyscy, nawet jeśli nie bezpośrednio: – W rezerwach (i poza nimi) jest bardzo aktywna scena metalowa, o której nikt nie wie. Czemu oni grają właśnie metal? O czym oni ten metal grają? To opowieści o rdzennej kulturze, o historii, grabieży, strategiach przetrwania.

– Nie sposób poważnie przyjąć na wiarę, że sprawa została załatwiona w latach 60. – kontynuuje Joe Henry. – I dlatego płyta Casha krzyczy i dzisiaj o tym, co stanowi powinność artystów. Powinni reagować w czasie rzeczywistym. Tak jak Marvin Gaye z płytą „What’s Going On”, Gil Scott-Heron z płytą „Pieces of a Man”, Nina Simone, John Coltrane, Woody Guthrie, Pete Seeger... I właśnie Johnny Cash.

Podobnym krzykiem tylko pozornie historycznym była u nas inicjatywa muzyczna „R.U.T.A.”. Z uwagi jednak na mocno niszowy rodowód zaangażowanych w nią artystów – ze świata polskiej muzyki korzeni oraz radykalnego punk rocka – nigdy nie stała się tym, czym powinna: zwierciadłem przystawionym nam wszystkim. Było o niej przez chwilę głośno, ale szybko przykryły ją kolejne, mniej ważne pomysły. Z całym, niekłamanym szacunkiem dla Macieja Szajkowskiego, Pawła Gumoli czy Nasty Niakrasowej, ich status był w Polsce zawsze poza mainstreamem, a rebelia i przekora należały do ich DNA.

Tymczasem Johnny Cash był jednym z ówczesnych celebrytów. Trzeba przyznać, że rzucenie sławy i prestiżu na jedną szalę, a na drugą wiarygodności w służnej sprawie wymagało odwagi. Może wcale nie dużo mniejszej niż wzniesienie flagi na Iwo Jimie. © FILIP ŁOBODZIŃSKI



Olga Pasiecznik w operze „Rodelinda” Georga F. Händla w Teatrze Królewskim w Łazienkach. Warszawa, 8 października 2023 r.

TOMASZ GZELL / PAP

Śpiewająca na puszczy

DOROTA KOZIŃSKA

Zabierając się do pisania o Oldze Pasiecznik, zrozumiałam, że żyję w wieży z kości słoniowej. Przecież każdy zna jej wspaniały sopran i niepospolitą kulturę śpiewu. Każdy wie, jak niezwykłym jest człowiekiem. Zaraz: czy na pewno każdy?

CZY W ŚWIECIE, W KTÓRYM NAWET Cwybitny muzyk staje się produktem marketingowym – określonym nie przez to, na ile go sprawdzono, tylko miarą wymuszonego chwytliwym nagłówkiem clickbaitu – jest jeszcze szansa, że do opinii publicznej dotrze głos artystki skromnej aż do granic pokory, pełnej empatii, umiejącej postawić dobro innych ponad własną karierę?

Wrażliwość i głos

Są takie aspekty osobowości Pasiecznik, które dziś coraz mniej są w cenie, a bez których śpiewakom pisany jest co najwyżej ulotny status gwiazd, nie zaś artystów na prawdę wielkiego formatu. Poczynając od wrażliwości na język, która kształtuje nie tylko interpretację muzyczną, lecz także sposób myślenia i postrzegania świata.

Pasiecznik posługuje się mową swoich ojczyzn na poziomie wykraczającym daleko poza umiejętności nie tylko przeciętnych, lecz i doskonale wykształconych użytkowników polszczyzny i ukraińskiego. Dbą o piękno każdej wypowiedzi, operuje celną metaforą, uważnie słucha rozmówców i bezbłędnie odczytuje przekaz zawarty w twórczości wokalne dowolnej epoki.

Zagadnięta kiedyś o tytułową rolę w operze „Qudsja Zaher” Pawła Szymańskiego, odparła, że mniej ciekawi ją samo piękno głosu, niż oddanie tego, co było rzeczywistym zamiarem kompozytora. Żeby móc potem spojrzeć mu z czystym sumieniem w oczy. Albo spełnić intencję nieżyjącego już twórcy. Wielokrotnie podkreślała, że nie jest typową śpiewaczką. A mnie na te słowa robi się coraz rzewniej

i smutniej. Bo dzisiejsza scena operowa domaga się artystów typowych – ku ucieśze coraz mniej wyrobionej publiczności i z niepowetowaną szkodą dla muzyki.

Ojczyzny i miasta

Wychowała się w dwóch, a właściwie trzech rzeczywistościach kulturowych. Urodziła się w Równem, w zachodniej części Ukrainy – w mieście, które do 1939 r. znajdowało się w granicach Polski, po II wojnie światowej zostało włączone do Ukraińskiej SSR i dopiero od 1991 r. jest częścią niepodległej Ukrainy. Jej rodzice – ukraiński psycholog Ihor Pasiecznyk i matematyczka o polskich korzeniach, Jadwiga z domu Antonowicz – przyjechali do Równego po studiach i zamieszkali w domu dla wykładowców ówczesnego Instytutu Pedagogicznego.

Zarówno Olga, jak i jej młodsza siostra, pianistka Natalia, podkreślają, że od dzieciństwa czuły się „skazane” na urzędowy język rosyjski. W domu mówiło się po ukraińsku. Znajomość polszczyzny Pasiecznik zawdzięcza przede wszystkim swej babce po kądzieli, Michalinie Antonowicz, która poświęcała dziewczynkom mnóstwo czasu pod nieobecność zajętych pracą naukową rodziców.

Jak wspomina w wywiadzie rzece, spisany przez Agatę Kwiecińską i wydany właśnie przez Polskie Wydawnictwo Muzyczne pod tytułem „Bez maki-jażu”, babcia do późnej starości recytowała z pamięci klasyków polskich i ukraińskich – przede wszystkim jednak uformowała ją jako człowieka, wpoila zasady, którymi Olga Pasiecznik kieruje się także w dorosłym życiu, nadała jej wyrazistą polską tożsamość, płynnie współlistniejącą z tożsamością ukraińską.

Dziś obie siostry mówią, że mają dwie ojczyzny. Natalia ujmując to czasem jeszcze inaczej: że mają dwoje dzieci – ona Ukrainę i Szwecję, w której osiadła pod koniec ubiegłego wieku, Olga Ukrainę i Polskę, dokąd trafiła w 1991 roku na studia podyplomowe po pierwszym, muzyczno-pedagogicznym fakultecie w Równem.

I w Polsce została, choć przez pewien czas krążyła między Lwowem, Kijowem i Warszawą, przystąpiła bowiem do egzaminów na trzech uczelniach i wszystkie przeszła pomyślnie. Po niedługim czasie zrezygnowała ze Lwowa. Kontynuowała edukację u legendarnej sopranistki →

→ koloraturowej Jewheniji Mirosznychenko w konserwatorium kijowskim, oraz u Aliny Bolechowskiej, dysponującej innym, nieco „cięższym” typem sopranu, w warszawskiej Akademii Muzycznej. We własnym śpiewie umiejętnie połączyła obydwie szkoły, co dało jej biegłość w realizacji niezwykle szerokiego repertuaru: od opery barokowej, z którą kojarzy ją wielkość wielbicieli, przez klasykę romantyzmu i spuściznę impresjonistów francuskich, aż po kameralistykę wokalną i twórczość kompozytorów współczesnych.

Siła i proporcje

Wkrótce też okazała się niezwykle wrażliwą interpretatorką muzyki polskiej – m.in. Chopina, Szymanowskiego i Lutosławskiego – oraz ukraińskiej. Krytyka międzynarodowa już w 2000 r. pisała z przejęciem o jej płycie z dumkami, nagranej z siostrą dla francuskiej wytwórni Opus III. Recenzenci prześcigali się w zachwytach. Olsniwiający głos. Inteligentne frazowanie. Niezwykła siła wyrazu. Pięknie wyważone proporcje między głosem solowym i akompaniamentem.

Większości młodych śpiewaków z miejsca przewróciłoby się w głowie od podobnych komplementów. Tymczasem Pasiecznik cierpliwie uczyła się kolejnych ról w Warszawskiej Operze Kameralnej, z którą związała się jeszcze na studiach i pozostała w zespole aż do śmierci jej założyciela Stefana Sutkowskiego.

Zdobywała laury na prestiżowych konkursach wokalnych oraz nominacje i nagrody za wybitne kreacje na scenach i estradach w Polsce i za granicą. Współpracowała z najwybitniejszymi dyrygentami i specjalistami wykonawstwa historycznego, między innymi René Jacobsem, Trevorem Pinnockiem i Markiem Minkowskim. Realizowała pierwszoplanowe partie w nagraniach „Olimpiady” Pergolesiego z Alessandrem De Marchi, „Don Giovanniego” Mozarta ze wspomnianym już Jacobsem i „Pasji Mateuszowej” Bacha pod dyktando Jean-Claude’a Malgoire’a. Publiczność oklaskiwała ją gorąco, a krytyka wychwalała pod niebiosa na Festiwalu w Aix-en-Provence, w brukselskiej La Monnaie i Opéra Bastille w Paryżu.

Rodzina i dług

Pasiecznik nie zrobiła jednak wielkiej kariery międzynarodowej. W momencie, kiedy mogła podjąć kluczową decyzję,



Recital i spotkanie
z **OLGA PASIECZNIK**
odbędzie się
21 października o godz. 19.30
w **Studiu Koncertowym Radia**
Kraków im. R. Bobrowskiej,
Radio Kraków,
aleja Juliusza Słowackiego 22

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

która zaważyłaby na jej przyszłości, wybrała rodzinę. I do tej pory nie żałuje, opowiadając z miłością o synu Nazarze i Juriju Pysce, za którego wyszła za mąż jeszcze przed przyjazdem do Polski i który do dziś wspiera ją w drodze przez życie, nie tylko artystyczne.

A w tym życiu prawdziwym, niewyobrażonym, wszystko zmieniło się w roku 2014, po „czarnym czwartku” na Majdanie w Kijowie, aneksji Krymu przez Rosję i wybuchu wojny w Donbasie. Większość Polaków śledziła rozwój wydarzeń ze zgrozą, ale i niewiarą w eskalację konfliktu, który w lutym 2022 r. przerodził się w osławioną „operację specjalną”, czyli trwającą po dziś dzień inwazję Rosji na Ukrainę. Tymczasem Olga Pasiecznik od dziesięciu lat – jak sama to określiła – spłaca dług wobec pierwszej ojczyzny.

Z początku jej działania spotkały się z całkowitym niezrozumieniem, także w Polsce. Pasiecznik, nie bacząc na to, że w ten sposób właściwie kończy działalność artystyczną za granicą, zaczęła odmawiać nie tylko wyjazdów do Rosji, lecz także występowania u boku rosyjskich artystów i wykonywania jakichkolwiek utworów z rosyjskiego repertuaru – na czele z uwielbianym przez Putina Rachmaninowem. Wołała na puszczy, że muzyka jest niezwykle skutecznym narzędziem rosyjskiej propagandy imperialnej. Rozumiała to jak nikt inny, dorastając w ponurych realiach upadającego Związku Radzieckiego i słusznie przeczuwając, że rosyjski niedźwiedź prędzej czy później i tak się odrodzi.

Koledzy nie chcieli jej słuchać, dyrektorzy teatrów przestali jej składać oferty, obojętni na rozwój wypadków społecznościowych wrażeniami z przedstawień z udziałem gwiazd, które otwarcie wspie-

rały Federację Rosyjską w walce z „terrorem ukraińskich faszystów”. Sytuacja uległa gwałtownej zmianie w 2022 r., także na zachodzie Europy. Olga Pasiecznik ruszyła z ofensywą wsparcia dla uchodźców z Ukrainy i walczących w kraju rodaków; przede wszystkim zaś z jeszcze większym zapalem niż dotychczas włączyła się w akcję promocji kultury i muzyki ukraińskiej – m.in. utworów Borysa Latoszyńskiego, Myrosława Skoryka i Wałentyna Silwestrowa, których nazwiska przebiły się wreszcie do świadomości polskich melomanów. Zaproszona przez organizatorów Międzynarodowego Konkursu Wokalnego w ’s-Hertogenbosch (tego samego, na którym prawie trzydzieści lat wcześniej zdobyła II nagrodę, *ex aequo* między innymi ze wspaniałą brytyjską sopranistką Sarah Connolly) do występu na koncercie finałowym i napisania noty do książki programowej, sformułowała przejmującą odezwę do „Drogiego Przyjaciela”.

Tekst, cytowany w książce „Bez majkaju” w przekładzie Jolanty Bujas-Poniatowskiej, rozpoczyna się tak: „kreślę te słowa, kiedy moi rodzice – profesoro- wie uniwersyteccy – od ponad dwóch miesięcy przesiadują dniami i nocami w schronach i nie przestają uczyć pomiędzy kolejnymi alarmami bombowymi; kiedy szwagier mojego męża, ojciec piątki dzieci, został zastrzelony przez rosyjskich żołnierzy tylko dlatego, że niósł pomoc humanitarną cywilom na wschodzie kraju; kiedy sędziwi rodzice mojego przyjaciela dyrygenta zostali bestialsko zastrzeleni przez Rosjan pod swoim domem; kiedy agresorzy bombardują ukraińskie teatry, muzea, kościoły, szkoły, szpitale, domy i przedszkola”. Pasiecznik nie mogła jednak wybaczyć jurorom konkursu, że dwie najważniejsze nagrody i tak zgarnął młody tenor rosyjski – mimo że od tamtej pory jego noga nie postąpiła w żadnym z rodzimych teatrów operowych.

Wojna i sen

Minęły dwa lata. Cierpienia Ukraińców przestały spędzać Europie sen z powiek. W polskiej przestrzeni publicznej znów pojawiły się nastroje antyukraińskie – raziło niespójne z podtrzymywanym przez wiele instytucji bojkotem twórców rosyjskich, zdaniem wielu obserwatorów życia muzycznego głębiej umotywowanym nienawiścią Polaków do Rosjan niż ich miłością do narodu ukraińskiego.

A Olga Pasiecznik i tak robi swoje. Pomaga swej pierwszej ojczyźnie, albo – trawestując słowa jej siostry Natalii – opiekuje się nią jak skrzywdzonym, zbolałym dzieckiem. Na stronie internetowej warszawskiego Uniwersytetu Muzycznego figuruje jako Olha Plyska-Pasichnyk – żeby podkreślić wszystko, co łączy ją z krajem rodzinnym. Wciąż występuje w założonej przed siedmiu laty Polskiej Operze Królewskiej, w której znalazło schronienie wielu artystów dawnej WOK. Daje pojedyncze koncerty za granicą. Gości na polskich festiwalach. Jeździ „Z klasyką przez Polskę” i przyznaje, że występy przed publicznością, która nie kryje wzruszenia, mimo że nigdy przedtem nie miała do czynienia z muzyką Händla, dają jej wystarczające poczucie artystycznego spełnienia.

I tylko ten ból, który nie tylko jej nie opuszcza, ale wręcz narasta. Ból niezgody na obojętność wobec ludzkiej krzywdy, koniunkturalizm i hipokryzję polityków, poczucie wyższości jednego narodu nad drugim, umywanie rąk od zaangażowania w „nie naszą” wojnę. „Czasem mam nadzieję – zwierza się Olga Pasiecznik w ostatnim zdaniu wywiadu rzeki – że się obudzę i okaże się, że to wszystko było tylko strasznym snem i się w ogóle nie wydarzyło. Ale po przebudzeniu okazuje się, że wojna jest, że nadal trwa”.

Nie mam na to słów pociechy. Może poza tym, że i ja mam pewną nadzieję – że jeszcze kiedyś usłyszę Pasiecznik w którymś z wielkich europejskich teatrów operowych: w roli na miarę jej mądrości i doświadczenia, być może napisanej specjalnie z myślą o niej, jak kiedyś uczynił to Paweł Szymański. A tymczasem życzę sobie, by nigdy nie odeszła mnie pamięć o wielu jej Roksanach z „Króla Rogera” Szymanowskiego; o „Qudsji Zaher”, spektaklu TW-ON, o którym pisałam kiedyś na tych łamach, że Pasiecznik stworzyła w nim „intensywną postać kobiety niechcianej, niepotrzebnej, tragicznie uwikłanej w sprawy świata, które jej nie dotyczą”; i niech mi bohaterka tego szkicu wybaczy – o jej wzruszającej Tatianie z „Oniegina” Czajkowskiego na scenie Warszawskiej Opery Kameralnej. Bo krytykom zdarza się płakać na widowni jeszcze rzadziej niż śpiewakom. © DOROTA KOZIŃSKA

**BEZ MAKIJAŻU. OLGA PASIECZNIK
W ROZMOWIE Z AGATĄ KWIECIŃSKĄ**

Polskie Wydawnictwo Muzyczne,
Kraków 2024

GRAŻYNA MAKARA & KATARZYNA WŁOCH X6 // JACEK TARAN



Anna Goc:

Nauczycielka tańca klasycznego powiedziała do Agaty: „Pani córka ma za krótkie ręce”. Ks. Adam Boniecki wyjął bordowo-beżowy wełniany sweter, prezent od mamy – by go zrobić, musiała spruć dwa stare. Prof. Jan Taylor wyznał: „życie ryjówek jest wysoce ryzykowne”. Piszę o ludziach (i ryjówkach), czerpię ze spotkań, z których dużo pamiętam.

Na zdjęciu
w towarzystwie
koleżanek z „Tygodnika”:
Anny Łabuszewskiej,
Moniki Ochędowskiej,
Anny Golus,
Katarzyny Kubisiowskiej
Eweliny Burdy
i Zuzanny Radzik

Autorki „Tygodnika” odważnie
prowadzą Czytelniczki
i Czytelników przez nasz
skomplikowany świat, zachęcają
do patrzenia na rzeczywistość
z różnych perspektyw.



powszech.net/dar

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**Twoje wsparcie
dla Fundacji Tygodnika Powszechnego
pozwala zmieniać świat. Naprawdę**

Fałszywy alarm

ANITA PIOTROWSKA

Opowieść o dziecku, które mogło skrzywdzić inne dziecko, to opowieść o naszym skrzywionym spojrzeniu na przemoc. Dostrzegana zazwyczaj tam, gdzie najwygodniej byłoby ją umiejscowić.



CHOĆBY CIĘ SMAŻONO W SMOLE... – to znane, upiorne skądinąd powiedzonko, mówiące o tym, że szkolne brudy najlepiej prać wiadomo gdzie, zdaje się inspirować filmowców bardziej niż kiedykolwiek. Dzisiejsza szkoła jako laboratorium społeczne, testujące granice demokracji, tolerancji czy cywilnej odwagi, pojawiła się niedawno w japońskim „Monsterze” Hirokazu Koreedy, niemieckim „Pokoju nauczycielskim” Ilkera Çataka czy francuskim „Dobrym nauczycielu” Teddy’ego Lussi-Modeste’a. Inaczej jest w filmie „Armand”.

Jego twórca, Halfdan Ullmann Tøndel, zamyka nas w murach norweskiej podstawówki, by w postępowej instytucji i bezpiecznej na pozór przestrzeni obudzić prawdziwe upiory. Po horrorach nauczycielskich i uczniowskich przyszła pora na dreszczowiec rodzicielski, gdzie incydent z udziałem dzieciaków otwiera nie szkolne, a domowe szafy. I wytrząsa z nich szkielety, poupychane tam dla rzekomego dobra podstawowej komórki społecznej.

Sam schemat fabularny też wydaje się znajomy. Dotychczas zatroskani rodzice spotykali się, ażeby wspólnie roz-

wiązać uczniowski konflikt (kłania się „Rzeź” Romana Polańskiego z 2011 r. według sztuki Yasminy Rezy „Bóg mordy”) albo znaleźć porozumienie po tragicznym incydencie sprzed lat z udziałem ich pociech (patrz: niedawne „Odkupienie” Frana Kranza). Za każdym razem punktem zapalnym była chłopięca przemoc, dzieci znajdowały się jednak poza kadrem.

W filmie Ullmanna Tøndela jest podobnie – rodzice zostają wezwani po lekcjach w związku z „zachowaniem dewiacyjnym o podłożu seksualnym”, jakiego sześciolatekni Armand dopuścił się rzekomo wobec swego rówieśnika Jona. Podczas gdy wychowawczynie czy dyrekcja próbują wyjaśnić incydent odwołując się do standardów dyplomacji i poprawności, między Sarah i Andersem, czyli matką i ojcem ofiary, a Elisabeth, rodzicielką domniemanego sprawcy, coraz bardziej iskrzy. Oliwy do ognia dolewa fakt, iż cała piątka stanowi bliską rodzinę (nieżyjący mąż Elisabeth był bratem Sarah). Z czasem dylemat spod znaku „co się zdarzyło naprawdę?” zatacza szersze kręgi i schodzi coraz głębiej do rodzinnych piwnic.

Młody reżyser nie idzie pod tym względem na łatwiznę. Najpierw z drobiazgów buduje klaustrofobiczny nastrój – opustoszała szkoła straszy pustymi korytarzami i przeskalowanymi dźwiękami, skandynewskie lato daje wycisk (stał pot na czołach i krew z nosa wicedyrektorki), a dziecięce ubranko na wieszaku wygląda z daleka niczym powieszono ciało.

Na dodatek szwankuje alarm przeciwpożarowy, włączając się bez potrzeby, to też z czasem nikt już nie zwraca na niego uwagi (co będzie, jak odezwie się kiedyś w krytycznym momencie?). Tykającą bombą jest w tym wszystkim Elisabeth, broniąca niewinności swego dziecka i swojej podmiotowości, ponieważ od samego początku jej kompetencje rodzicielskie są kwestionowane. W ten sposób „Armand” staje się również opowieścią o samodzielnym macierzyństwie pod prężeniem. Nawet widz do pewnego momentu będzie bardziej skłonny zaufać spokojnej, powściągliwej Sarah (Ellen Dorrit Petersen) aniżeli rozedrganej Elisabeth. Gra ją na pełnej skali swoich możliwości Renate Reinsve („Najgorszy człowiek na świecie”, „Nieumarli”, „Another End”) i jest to największa petarda w tym kameralnym, z początku mocno wytłumionym filmie.

Norweska aktorka wręcz rozsadza ekran swoją obecnością. Gdy jej bohaterka wybucha nagle kilkuminutowym, trudnym do zaklasyfikowania śmiechem albo wykonuje dziwaczną choreografię w szkolnym holu, zakłopotane mogą być nie tylko filmowe postacie. Zachowania Elisabeth wskazują na jej psychiczną niestabilność, lecz równocześnie kojarzą się z performansem. Jest przecież zawodową aktorką, co stereotypowo pozycjonuje ją w oczach rodziny i szkoły jako chorobliwą atencjuszkę i królową dram. W takich chwilach wydaje się, że kobieta jedynie prowokuje, błaznuje, wchodzi w jakąś rolę, okazuje się jednak, że jest dokładnie na odwrót. Matka małego Armanda

**RADIO
KRAKÓW**

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Śłuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl

wyraża całym swoim ciałem skrywaną bezradność i rozpacz, zakłajstrowane przez lata.

Opowieść o dziecku, które mogło skrzywdzić inne dziecko, to historia o międzypokoleniowym skażeniu przemocą. Ale również o naszym skrzywionym spojrzeniu na przemoc, dostrzeganą zazwyczaj tam, gdzie najwygodniej byłoby ją umiejscowić. Ciekawe, że szkoła nie jawi się tutaj jako typowe miejsce opresji, wręcz przeciwnie. Ciało pedagogiczne i dyrektor próbują spokojnie rozwiązać problem, wysłuchawszy obu stron, jakkolwiek dopuszczają się zaniechań czy uników i film subtelnie je wychwytywa.

Thea Lambrechts Vaulen doskonale odtworza zaangażowanie i zakłopotanie nauczycielki oddelegowanej do przeprowadzenia rodzicielskiej konfrontacji. Tyle że placówka, do której uczęszczali kiedyś także główni bohaterowie filmu, okazuje się w szerszym wymiarze dysfunkcyjna, ignorująca uzasadnione alarmy i prześlepiająca w kieracie procedur „historię przemocy”.

Ullmann Tøndel, wnuk znanej aktorki, a jednocześnie były nauczyciel w szkole podstawowej, w scenariuszu posiłkuje się obserwacjami z życia. Imponuje psychologiczna gęstość i zarazem nieprzewidywalność, z jaką prowadzi swoją opowieść, stopniowo odsłaniając jej zatrutą grzybnię. Z drugiej strony ten skupiony, minimalistyczny film chwilami „odjeżdża” w stronę stylistycznego ekscesu, czym ambitny debiutant zbliża się chcąc nie chcąc do twórczości swojego sławnego dziadka. Zwłaszcza w ekstremalnych kreacjach obu aktorek, w wystudiowanej rezerwie Petersen i w brawurowej nadekspresji Reinsve, widać dziedzictwo bergmanowskie, nie mówiąc o scenach wizyjnych niczym z psychologizującego kina grozy.

Reżyser szuka jednak swojego języka. Połączając za skradającą się kamerą Pála Ulvika Roksetha próbuje uciec od teatralności, nieuchronnej w tego rodzaju kinie, gadanym, zamkniętym we wnętrzach, opartym w dużej mierze na wyrazistym aktorstwie. Oryginalność „Armanda” bierze się i stąd, że w dyskretny sposób mierzy się z problemem dziecięcej seksualności, często u nas mylonym z seksualizacją maluczkich. Znajduje też niebanalne środki wyrazu, by opowiedzieć o załamaniu nerwowym i jego źródłach. A chociaż wszyscy mają tutaj jak najlepsze intencje wobec dzieci, gorzki paradoks polega na tym, że najwięcej wypruwa z siebie ta, która najbardziej potrzebuje pomocy. Oczywiście, na pierwszy rzut oka, bo choroba toczy po cichu cały rodzinno-społeczny organizm. ©

Lektor: Nieutracone



■ Piotr Oczko

SUKNIA I SZTALUGI.

HISTORIE DAWNYCH MALAREK

Kraków 2024, Wydawnictwo Znak, ss. 526.

GDY CZYTAMY O ZJAWISKACH ARTYSTYCZNYCH niedocenionych przez krytyków i historyków, a potem poznajemy rzeczzone dzieła, czujemy czasem rozczarowanie. To jednak nie ten przypadek. Zostawiając już na boku fakt, że nie o przypadkowych pominięciach mówimy, tylko o systemowych mechanizmach, które przez stulecia skutecznie utrudniały kobietom uprawianie sztuki – wystarczy eksperyment: przejrzyjmy tę książkę jeszcze przed lekturą, skupiając się na znakomicie dobranych ilustracjach. W moim przynajmniej przypadku przyniosło to szereg odkryć – dzieł, których wcześniej nie znałem i o których natychmiast chciałem się czegoś dowiedzieć. Poznać bliżej ich autorki, a nawet – zaprzyjaźnić się z nimi.

Tak to jest z pisarstwem Piotra Oczki, że nam tę przyjaźń umożliwia. W „Pocztówce z Mokum” zaraził miłością do Holandii, w „Sukni i sztalugach” przedstawia galerię niezwykłych artystek epoki nowożytnej. „Mistrz ekfrazy, wrażliwości i sumiennej wiedzy”, jak nazwała go Eliza Kącka, „kolekcjoner starych rupieci, tęczyowy feministka i wegetarianin”, jak sam o sobie mówi, a przy tym – nie zapominajmy! – profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego łączący wyczuwanie i znanstwo kolekcjonera piękną ze świadomością rewolucji, jaka dokonała się w nauce w kwestii postrzegania społecznych ról płci. Umie dzielić się emocjami, a w rzetelnie (przypisy, bibliografia i takie tam) odtworzone biografie bohaterki dyskretnie wplata wątek osobisty – wątek choroby, która towarzyszyła finałowi pracy nad książką. Wszystko to jest kawał życia, poruszająca przygoda pisarza, czytelnika i widza, a nie sterta szeleszczących papierów.

Sofonisba Anguissola (jej wspaniałą „Grę w szachy” możemy oglądać w Poznaniu) i Artemisia Gentileschi. Rosalba Carriera, Angelika Kauffmann i Élisabeth Louise Vigée Le Brun. Od dawna przeze mnie kochana Maria Sibylla Merian i odkryte dzięki Piotrowi Oczce Michaelina Wautier, Gesina ter Borch, Mary Beale i Anna Dorothea Lisiewski-Therbusch. Spoglądająca z okładki Catharina van Hemessen. I wiele innych, a wśród nich Angielka Mary Grace, której autoportret namalowany około 1760 r. obejrzymy na stronie 19. Autoportret świetny, ale to jedyny zachowany obraz zapomnianej artystki, o której nie wiemy prawie nic. „Utracona biografia, zaginiony dorobek, zaprzepaszczone sława”. Ile takich było? ©&

MATERIAŁY PRASOWE BEST FILM

ARMAND

– reż. Halfdan Ullmann Tøndel.
Prod. Norwegia/
/Holandia/Niemcy/
/Szwecja 2024.
Dystryb. Best Film.
W kinach.

Halfdan Ullmann
Tøndel jest
norweskim
scenarzystą
i reżyserem. Jego
film „Armand”
pokazywany
był w sekcji Un
Certain Regard
festiwalu w Cannes
i otrzymał
Złotą Kamergę,
przynawając
najlepsze
debiutowi. Obecnie
to kandydat
Norwegii
do Oscara. Reżyser
jest wnukiem
Ingmara Bergmana
i Liv Ullmann,
synem pisarki
i dziennikarki Linn
Ullmann.

Na zdjęciu:
Renate Reinsve
w filmie „Armand”

OLGA

Drenda: Tempo przemiatu



ZMIANY W RZECZYWISTOŚCI DA SIĘ CZASAMI wychwycić z danych statystycznych, pomiarów i porównań. Można prześledzić, co na nie wpłynęło: datę wejścia w życie jakiegoś prawa (które, na przykład, wymogło zatrzymywanie się kierowców przed przejściem dla pieszych albo ukrywanie danych osobowych bez zgody użytkownika) lub decyzję administracyjną (jak przekierowanie transportu publicznego z tramwajów do autobusów czy budowę galerii handlowej w centrum miasteczka). Takie ruchy mają konsekwencje i realnie zmieniają życie ludzi – ale da się dotrzeć do „punktu zero”, który ten ruch, w kierunku lepszym lub gorszym, zainicjował. „Od kiedy zostaliśmy miastem powiatowym” albo „wszystko dzięki decyzji o komputeryzacji naszego urzędu”.

Są jednak i takie zmiany, które można wyczuć własnym, subiektywnym wszakże nosem. Coś, co dobrze znaliśmy, przestaje być takie znajome, pojawiają się nieoczekiwane przeszkody, zagadki, coś staje się bardziej, a coś mniej. Ponieważ nie są to zmiany mierzalne od ręki, łatwo je zakwestionować: „czy to tylko ja, czy naprawdę jest inaczej?”. Dlatego, by je opisać, ludzie chwytają się czasami pojęć cokolwiek mglistych, jak „nastroj” czy „atmosfera” (tym samym narażając się na to, że ich opinia może zostać łatwo podważona). Często dotyczą one jednak jakości stopniowalnych i odnotowują różnicę: „Ostatnio wieczorami jest ciszej na ulicach”, „ludzie dzisiaj są wyjątkowo nieuprzejmi”, „nasza okolica się ożywiła”. Albo takie, które zaryzykuję tutaj: że w świecie w ostatnich kilku latach znacząco nasilił się powszechny, agresywny, nienasycony pośpiech.



Oraz pora
na pora.

OLGA DRENDA

Zapewne ktoś będzie chciał mnie zapytać, na jakiej podstawie tak twierdzę. To, że niezależnie od siebie kilkoro moich rówieśników wspominało o podobnym doświadczeniu – że trudniej niż rok, dwa temu umówić się z kimś znajomym, bo wszyscy pracują dzisiaj niemożliwie dużo. Scenariusze okołopandemiczne o powszechnym docenieniu znaczenia równowagi w życiu wtedy brzmiały nieco baśniowo, a z dzisiejszej perspektywy – po prostu jak szwindel. Treści kultury żyją bardzo krótko i ekspresowo znikają z dystrybucji. Podobnie virale, memy i internetowe trendy; eksplodują fajerwerkami, a po kilku, kilkunastu dniach – szukaj wiatru w polu. Menedżerka promocji pewnego hotelu nakręciła o nim zabawny film; dwa dni później nie tylko pół polskiego internetu wcielało się w panią Barbarę Przybycień. Trzeciego dnia wszyscy mieli już dość.

Tempo przemiatu dotyka nie tylko memy, ale wypowiedzi i zdjęcia z potencjałem zmiany biegu historii. Ktoś w mediach społecznościowych niedawno zauważył przytomnie, że jak na zdjęcie, które miało przesądzić o wyborach w USA, kadr Evana Vucciego zrobiony zaraz po próbie zamachu na Donalda Trumpa został wyjątkowo szybko zapomniany. W samej kampanii oczywiście może zdarzyć się nadal wszystko, ale nastąpiło po drodze tyle zwrotów, że debata wokół zdjęcia sprawia wrażenie, jakby toczyła się w poprzednim stuleciu.

To jednak wirtual – a real? Mój osobisty znak czasów to coraz szybsza, cięższa i bardziej ekspansywna flota, jaką poruszają się kurierzy z jedzeniem. W tej pracy płace są niewysokie, a presja duża, więc czas to dosłownie pieniądz i niesprawiedliwie byłoby zżymać się na samych kurierów; to raczej firmy, które najwięcej na tym pośpiechu zyskują, wyposażają ich w futurystyczne jednoślady, które gnąją po chodnikach, ścieżkach rowerowych i w poprzek trawników. Staje się jasne, że pieszy, a nawet rowerzysta, musi znaleźć się na przegranej pozycji, bo jest zbyt wolny.

Prawdopodobnie za każdym razem, gdy zauważę przejaw przyspieszenia, mówię – w duchu lub donośnie na głos – że to nie-normalne i że tak być nie powinno. Jednocześnie sama jestem grzesznicą: nadmiernie ekscytuję się wizją dojazdu z Warszawy do Szczecina nowym połączeniem w zaledwie cztery godziny (co w pociągu znaczy tyle, co nic).

Promotorka literatury Anna Karczeńska niedawno przypomniała, jak Sándor Márai pisał (dobra, nieco autoironicznie) w „Księdze biednych” o wyrzeczeniu się pomiaru czasu, bo nic na pośpiechu nie zyskał oprócz zażenowania samym sobą: „Jadłem obiad w pośpiechu, żeby kawę móc wypić w innym już miejscu – po fakcie czerwienię się ze wstydu, gdy pomyślę o tych przykrych gafach”. Przyznawałam rację raz po raz. Tymczasem paczkomat gratuluje mi, gdy zaoszczędzę jakieś 0,002 sekundy na odbiorze przesyłki. Co ja zrobię z tym darowanym czasem? Prawdopodobnie nic godnego. ©

Olga Drenda jest etnologą, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską”, „Wyroby” (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru”.

PAWEŁ

Bravo: Mimochodem



TRZYDZIEŚCI TRZY DO JEDNEGO OBSTAWILI klienci sieci bukmacherskich, że literackiego Nobla dostanie Ryszard Krynicki. Nieźle, bo to wedle hazardzistów tylko o połowę mniej niemożliwe zdarzenie niż nagroda dla Thomasa Pynchona lub Margaret Atwood (oboje

16/1). Albo dla wiecznego prawie-laureata Harukiego Murakamiego, którego od nie wiem już ilu lat wciąż się obstawia w pierwszej trójce. Ale dobrze wiemy, ile są warte listy pewnością, nie tylko przed konklawę. Nieźle, jako się rzekło, tym bardziej że dokładnie takie same notowania jak nasz poeta miała jeszcze tydzień temu faktycznie nagrodzona pisarka z Korei.

A zatem Kraków nie jest wcale bez szans, jednak będzie musiał zaczekać. Tymczasem powitajmy Han Kang serdecznie w progach naszej kuchni – jej talent oraz szczerzoty medal przychodzi nam w sukurs w idealnym momencie, bo i tak się zbierałem, by pisać o vegetarianizmie. Jedną z jej książek bowiem, przełożona na polski, nosi tytuł „Wegetarianka”. Bohaterka pod wpływem krwawego snu stawia czoło światu, wyrzucając z kuchni wszystko, co pochodzi od zwierząt. „Na kolację żona podała jedynie liście sałaty, pastę sojową, kimchi i wodnistą zupę z wodorostów” – notuje jej mąż, narrator pierwszej części. Wcale bym się nie obraził za taki posiłek, ale w literackiej rodzinie budzi to zdumienie i zażenowanie (no, zwariowała dziewczyna!).

Nie bniemy dalej w streszczenia, przeczytajcie koniecznie. Powiedzmy tylko, że perswazja odsłania rozleglejsze struktury ucisku, a dalszy bunt prowadzi do konsekwencji bardziej dramatycznych niż awantura przy obiedzie. Pomimo wybicia w tytule, vegetarianizm nie jest przedmiotem tej książki, a jednak mimochodem będzie służyć za głos w wewnętrznych rozterkach każdego z nas, wszystkożerców, którzy nie umieją przestać być świadomi, jak wygląda przemysłowa produkcja mięsa czy mleka. Głos cichy, ale np. moją duszę przewiał znacznie silniejszym etycznym niepokojem niż dowolny film dokumentalny nakręcony tak, żeby od razu wbić mnie w poczucie winy.

Kiedy sumienie staje naprzeciw przyzwyczajeniom i potrzebom, kiedy okazujemy się wewnętrznie sprzeczni, może w ogóle działają na nas argumenty nie wprost? Pierwotnym tematem dzisiejszej rubryczki miało być okrągłe półwiecze od premiery „Teksańskiej masakry piłą mechaniczną” – mowa o pierwszym, kultowym filmie Tobe’a Hoopera, a nie o śmieciowych sequelach i przeróbkach. Streszczać nie muszę, poza tym siłą tego filmu wcale nie są dające się opisać słownie detale rzezi (których po prostu tam nie ma),

tylko atmosfera, tło, napięcie, odgłosy i spojrzenia. I teraz się okazuje, że ten cały aparat horroru, który sprawia, że się w kinie trzymamy fotela spoconymi dłońmi, niósł przy okazji nie tylko – jak wskazywali krytycy – głos przeciwko zdżyczeniu Ameryki kryzysowych lat po Wietnamie i Watergate. Stanowi też (czy świadomie? – reżyser w wywiadach kluczył) skuteczne narzędzie perswazji vegetariańskiej.

Potworem w filmie jest wszak były rzeźnik i nie brakuje momentów, w którym kanibalskie okropności są zestawione z zabijaniem i jedzeniem świń. Bardzo wpływowa organizacja prozwierzęca PETA uwzględniła „Masakrę” na liście dziesięciu filmów, które mogą zniechęcić do mięsa obok „Babe” czy „Delicatessen” albo nieskutecznych dla mnie agitek typu „Super Size Me”. Istnieją też różne świadectwa osób z branży filmowej i nie tylko, idące w tym kierunku, i w literaturze „branżowej” wartość tego dzieła dla vegetarianizmu jest uznawana za pewnik. „Zmieńmy temat, lubię mięso” – prosi filmowa Sally, gdy rozmowa w filmie schodzi na zdzieranie skóry ze świń, zanim na dobre zostaną zabite. Temat rozmowy można łatwo zmienić. Sceny, dobre sceny, godne Nobla czy Oscara, mimochodem zostają.

Pasta z radicchio i orzechów

A gdzie by tu dostać dobre kimchi?

Tylko nie bardzo ostre: niechęć do kapsaicyny w dużych dawkach przeszkadza mi cieszyć się tym koreańskim zimowym jedzeniem, a lenistwo utrudnia robienie go w domu w wersji nieostrej. Adresy warszawskie lub krakowskie mile widziane! W mojej zimowej diecie rolę taką, jak kapusta pekińska dla Koreańczyków, pełni oczywiście radicchio, którego zalety w postaci krótko duszonej na patelni nieraz już tu głosilem. A wiecie, że dobrze wychodzą z niego pasty np. do grzanek?

- 1 główka radicchio
- 70-80 g orzechów włoskich
- 1 ząbek czosnku
- 2 łyżki tartego parmezanu
- oliwa ■ sól ■ pieprz

Zaczynamy miksować pokrojone listki, dodajemy czosnek (ilość sami musimy wyczuć), orzechy, na koniec ser i oliwę. Byle miksować krótko – tyle, żeby się jako tako połączyło. I nie przesadzić z oliwą – dać jej tyle, żeby związała całość. Jeśli jest dobra i intensywna, może przykryć inne smaki. ©P



Zapisz się na newsletter – co piątek przepisy na Tygodnikowy lunch, obiad i deser w Twojej skrzynce: powszech.net/tygodnik-smakow

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego”, autor „Czekolady i kapuśniaku” (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

RAFA ODCHODZI

Rafael Nadal szybko wprowadził cierpienie jako ważną część swojego wizerunku.

Nigdy nie schodził z kortu,
choćby za cenę najgorszego bólu.

Był waleczny,
lecz jego dzikość była rozważna.

MAREK BIEŃCZYK

CHWILECZKĘ, W JAKIEJ TO BYŁO KOLEJNOŚCI? NAJPIERW spodenki, następnie nos, prawy policzek, lewy policzek, włosy, i znowu prawy policzek, lewy policzek i wierzchem po opasce? Chyba tak, lecz dla pewności posprawdzałem na YouTube. Jednak kolejność bywała różna, choć punkty dotyku te same. Jakby prawa dłoń kontrolowała, czy wszystko jest na miejscu i nic się z ciała nie wymknęło. Albo je upewniała, że myśli się o nim i że ma trwać na posterunku.

Ileż czasu trzeba było przesiedzieć przed telewizorem, żeby doczekać się wreszcie wyrzutu piłki i serwu. Gdyby przemnożyć przedserwisowy rytuał przez wszystkie te lata, wyszłaby może doba czy dwie naszego kibicowskiego życia zmarnowanych na gapienie się na balecik zbędnych gestów. Cała reszta przynosiła czysty zysk.

Dwadzieścia dwa upadki

Rytualnych zachowań było więcej. To układanie równo dwóch butelek z wodą przed ławką dla zawodnika. Do licha, po co tyle wysiłku, dwie butelki zawsze stoją wobec siebie równo – chyba że wyznaczyć im niewidzialną linię frontu, wobec której się sytuują. Tylko Nadal ją dostrzegał. To gryzienie ucha pucharu, jeden z gestów założycielskich dla image'u Nadala, powstały jeszcze przed utrwaleniem się rytuału przy serwie. No i rzucanie się plecami na ziemię w chwili tryumfu wielkoszlemowego, upadek kontrolowany, *grande finale*.

Najbardziej umorusany wychodził z Rolanda Garrosa, czternaście razy, od szyi po łydki cały w ceglastych plamach jakby wyschniętej krwi. Trawa Wimbledonu nie gwarantowała aż tak widowiskowych efektów, ledwie kilka szarozielonych smug na koszulce. Dziś takie poplamione produkuje się od razu. Najmniej

opłacało się wygrywać na twardej nawierzchni, w US Open czy w Australia Open; żadnego szczęśliwego zbrukania, oddania powierzchni kortu co królewskie; szkoda pleców i karku.

Rzucał się tak dwadzieścia dwa razy; ta cyfra powraca w mediach od ostatniego czwartku, dnia, w którym Rafael Nadal ogłosił zakończenie kariery i w którym przyznano literacką Nagrodę Nobla. My w „Tygodniku” kochamy literaturę, lecz co 22 tytuły wielkoszlemowe, to 22 tytuły: Nadal skradł informację dnia.

Do tego dochodzi wiele innych liczb, 92 turniejowe tytuły ATP, 81 kolejnych zwycięstw na kortach ziemnych między 2005 a 2007 rokiem, 120 na Rolandzie Garrosie przy trzech tylko porażkach, i tak dalej, i tym podobnie. Okrzykom poze-gnalnym, dzięki komunikatorom X i Instagram, nie ma końca. Wszystkie są trochę jak klepsydry: czy to o odchodzących, czy to o kończących karierę nie wypada mówić źle. „Wspaniały gracz”, „wzór sportowca”, „ideał do naśladowania”, „wielka postać”, „cudowna postać”, „dżentelmen w każdym calu”, „skromny i dobry”, czemu cieniu odjeżdżasz.

Trudno wątpić w szczerość pochwał. Mało który ze sportowców cieszył się takim szacunkiem wśród innych zawodników i wśród kibiców. Ci ostatni zdzierali gardła i obijali sobie





CLIVE BRUNSKILL / GETTY IMAGES

Rafael Nadal podczas meczu debla czwartego dnia Igrzysk Olimpijskich w Paryżu na kortach Rolanda Garrosa. 30 lipca 2024 r.

dłonie oklaskami do samego końca. Od jednej salwy do drugiej, gdy jeszcze wygrywał wszystko jak leci, po pojedyncze, lecz tym bardziej frenetyczne salwy na ostatniej olimpiadzie, gdy w przykrym meczu z Djokoviciem (suma ich spotkań to 26:24 dla Nadala) od wielkiego dzwonu udało mu się jeszcze wykręcić genialną piłkę jak za dawnych lat. Kochali go niemal wszyscy; w miłości do sportowca i w sztuce tenisowej miał tylko jednego rywala – Federera.

Rafa, Roger i Djoković

Federera? Powinienem być napisać: Rogera. Rafa i Roger, bliskie wszystkim chłopaki, z którymi cały świat jest na ty, równiachi, których możemy czule dotknąć imieniem, tak bardzo nasi w naszej tenisowej bandzie; kumple, którym udało się wyć. I sprawozdawcy telewizyjni, i my, pseudogracze i superkibice, w prywatnych rozmowach nie mówiliśmy o nich inaczej. Tylko oni wywalczyli sobie cały ten pieszczotliwy przywilej, tak różni, lecz tak zarazem do siebie podobni, tenisowi *blues* czy *backhand brothers*.

Nadejście tego trzeciego, Djokovicia, naruszyło ich dwójkowy układ. Z pewnym ociąganiem trzeba było przyznać któ-

regoś pięknego dnia, że jest nie dwóch, lecz trzech muszkieterów. A nawet zamiast Djoković powiedzieć Dżoko albo Nole. Lecz tylko czasami; Djoković zaburzał ustalony porządek, rozszerzając dwuwładzę do triumwiratu, aż wreszcie pozostał sam na tronie.

Lecz choć tak fenomenalny, choć tak podziwiany, nie zdołał rozgrzać tylu serc, a wielu innym pozostał obojętny. Czy wręcz wzniecał w nich i wznieca dalej irytację i niechęć, a to irracjonalnie, a to przez obciążenie serbskim nacjonalizmem, a to przez brzydkie zachowania na korcie, których nie kompensują jego, liczne przecież, sympatyczne gesty wobec przeciwnika. Jego odejście na tenisową emeryturę nie będzie aż tak istotną wiadomością dnia, jaką stał się *exodus* Rafy, nawet jeśli pobije wszystkie – z wyjątkiem liczby zwycięstw na Rolandzie Garrosie, bo tego w tym antropocenie już się nie da – rekordy wszech czasów.

Chodzi też o piękno. Po prostu. Najbardziej fenomenalna skuteczność go nie gwarantuje; skuteczność jest całkiem inną kategorią. Rafa i Roger estetycznie wspięli się wyżej niż Djoković – i może dlatego z większym hukiem upadli, niż upadnie kiedyś Serb, w ogólnych statystykach największy *primus inter pares*. Nie umiem sobie wyobrazić, by Nole dostał na koniec kariery



→ takie baty od Huberta Hurkacza, jak Roger na Wimbledonie (to był praktycznie jego ostatni mecz w Tourze) czy Nadal w Rzymie (jeden z jego ostatnich meczy). Hurkaczowi przypadła rola kata i, szczerze mówiąc, nie zasłużył sobie, mimo wielu dokonaniań, na ten czarny zaszczyt.

Na pięknie widać wyraźniej zmarszczki. Kiedy fenomenalny, jednoręczny bekhend Rogera, Mona Liza wszelkich tenisowych uderzeń, i kiedy radykalnie niekonwencjonalne oba uderzenia, forhend i bekhend Rafy, przestały trafiać w kort lub zaczęły tracić na swej sile i szczególności, pojawiało się doznanie jeśli nie parodii, to nieudanego pastiszu siebie samych. Wtedy trzeba było wyprawić pamięć w podróż; nigdy nie wracała z niej rozczarowana. Do tenisowego muzeum wstawić można dziesiątki obrazków, skrótów z dawnych pojedynków.

Osobną galerię powinny zajmować fragmenty meczu z finału Australian Open w roku 2009. Kolejny wielki finał Federera i Nadala przy trybunach nabitych do ostatniego miejsca. Widownia nie umie sprostać własnym emocjom i usiedzieć cicho do końca wymian, które wkrótce przejdą do historii tenisa; obaj posyłają piłki tak nieprawdopodobne, tak geometrycznie niewyobrażalne, tak nielogicznie i cudownie wracające po przedziwnych trajektoriach na drugą stronę i utrzymywane w grze, że wbrew zwyczajowi publika wydiera się przedwcześnie i głośno wzdycha, jej zachwyt nie może ustać w gardle.

Dzisiaj, gdy do starych obrazków powracam, tym bardziej spektakl wciąga. Był tamtego wieczora świętem wszystkich, grających i oklaskujących/krzyczących. Lubię teraz tamte pomruki i pohukiwania widowni w trakcie wymian; cały stadion, cała ta mała ludzkość, która go obsiadła, tak bardzo zaangażowała się w pięć godzin życia na ziemi z całkowitą czystością uczuć, kiedy to uznanie, szacunek i podziw biorą górę nad sympatiami i odrazami, że nic lepszego – zdawałoby się – nie da się wykrzyczeć w niebo jako świadectwo naszej tu wspólnej bytności.

Kochankowie z kortu

Patrząc na ówczesne bekhendy Rogera, na niewiarygodnie wygrane wymiany, łatwo zrozumieć, że David Foster Wallace, pisarz i tenisista, padał przed telewizorem na kolana i wrzeszczał na cały dom; każdy się modli, jak umie. Jedną ze specjalności Rafy było minięcie przeciwnika przy siatce *in extremis*, w chwili, gdy piłka wydała się już rozegrana na amen i przeciwnik mógł rachować punkty.

Cała jego gra, oparta w dużej mierze na defensywie, z której wylatywały kontruujące uderzenia, toczyła się właśnie na skraju, krok przed przepaścią. Tak jakby pozwalał rywalowi przełamać front, by następnie dźgnąć naiwnego i pokazać mu, gdzie jest jego miejsce: w czekającej już szatni. Ileż to razy można było się nabrać na ten sam manewr. Wymianę uznawało się właściwie za skończoną, doliczało się gem przeciwnikowi, lecz następował nagły zwrot. *Deus ex machina*. Z naciskiem na *deus*.

Federer traci w pięciu setach tamten finał Australian Open, lecz wygląda na pogodzonego; już dobrze wie, że musi się posunąć, przełamać koronę na pół. Niecały rok wcześniej, po przegranym finale na Wimbledonie – jednym z tych najnagłych spotkań – jest jeszcze zdziwiony, ledwo maskuje niedowierzanie i głęboki smutek: oto on, pięciokrotnie z rzędu mistrz Wimbledonu, przegrywa z już gwiazdą francuskiej

mączki, lecz wciąż beniaminkiem na angielskiej trawie. I ten mecz, niezwykle, pięciogodzinny, kończy się o zmierzchu w magicznym nastroju.

W tamtej chwili Nadal dostąpił jasności; spłynęła na niego świetlista łaska, otoczyła go aureola. Obok stoi Federer ze srebrną tacą w dłoniach, wygląda tak klasycznie jak gra; kto by jeszcze nosił stylowy, rozpinany sweterek tenisowy w serek, z wycięciem i rzędem guzików obszytym kolorowym szlaczkiem. Nadal za chwilę z pucharem w ręku jest w swoim wielkim apogeum. Promienieje młodością; koszulka bez rękawów odsłania potężne bicepsy; spodenki, owszem, białe, jak nakazuje regulamin, sięgają niżej kolan; długie włosy przepasane opaską dodają uroku, hosanna, narodził się nowy Tarzan. Stylowy jak najbardziej, lecz w stylu jeszcze tu nieznanym.

Style Rafy i Rogera spotkają się dopiero przy pożegnalnym meczu Federera podczas Lover Cup w roku 2022. Są identycznie ubrani, siedzą obok siebie; Federer płacze, trzymając się za rękę jak bracia czy kochankowie, w ich wzruszeniu zacierają się wszelkie różnice. Długo można wpatrywać się w tę fotografię, jest piękna.

Mordercza pętla

Björn Borg i armada jego następców zwulgaryzowali tenis, wnieśli nową, demokratyczno-podwórkową estetykę. Federer podążył klasyczną linią Pete’a Samprasa, tyle że z modelu punktualnego urzędnika uczynił podręcznikowego artystę: tak powinien wyglądać tenis, gdyby wpisać jego wzór do dziedzictwa UNESCO.

Nadal poszedł jeszcze inną drogą. Na polonistyce powiedziałbym: derridiańską; sąsiadom po politechnice – fizykałną. Zdekonstruował do końca oba uderzenia, forhend i bekhend, wykorzystał inne prawa fizyki. Zradykalizował ostatecznie hiszpańską szkołę tenisa, która zmieniając uchwyty, czyli sposób trzymania rakiety przy uderzeniu, oraz zmieniając tym samym trajektorię zakreślaną przez rakiętę (słynna pętla, zwana też „lassem” przy forhendzie; pomnik Nadala już postawiony na kortach Rolanda Garrosa przedstawia go w trakcie jego wykonywania), doprowadziła top spin do niespotykanej wcześniej postaci. Uczyniła z niego narzędzie śmierci na kredyt, przez tortury.

Uderzenie topspinowe Nadala nie zabijało od razu, lecz powoli sączyło truciznę. Jak wyznał jeden z obecnie czołowych graczy, Norweg Casper Ruud, bekhendy Djokovicia, Zvereva i innych światowych liderów to po prostu bardzo dobra profeska, ale wszystkie są do siebie podobne; natomiast bekhend Rafy był jak alien nadlatujący nie wiadomo skąd i zadający nieprzewidywalne ciosy. Aż do skutku.

Lecz ostatecznie nie szczegóły techniczne są tutaj istotne. Nabierają one wagi dopiero w połączeniu z dzikością serca.

Nadalowi raz ośmieliłem się mieć coś za złe. Nawet wielbiąca go publiczność australijska – rok 2014, finał Australian Open ze Stanem Wawrinką, drugim szwajcarskim wirtuozem jednoręcznego bekhendu – nie wiedziała, jak się zachować, postawiła na buczenie. Nadalowi nie szło, cierpiał na korcie, wyraźnie coś mu dolegało.

W drugim secie przerwał grę, fizjoterapeuta zaciągnął go do szatni, wrócił. Już nie bardzo grał, człapał, ledwo się poru-

Czyż nie jest to ideał, jaki by się chciało osiągnąć?

Wczepić się od stóp do głów
w materię życia, bez żadnego
zawahania, bezwarunkowo,
i nie szkodzić przy tym
nikomu? Siłą woli,
odnajdując w sobie iskrę
bożą, idąc w nieodpartę?



CLIVE BRUNSKILL / GETTY IMAGES

Rafael Nadal po wygranej piłce meczowej przeciwko Richardowi Gasquetowi w półfinałowym meczu podczas turnieju ATP Masters Series w Monte Carlo. 16 kwietnia 2005 r.

szał, albo tylko zrywami. Aż się prosiło o krecz. Wawrinka był w kropce, w końcu z inwalidą nie wypada grać na całego. Z tego wszystkiego po wygraniu dwóch setów przegrał trzeci, bardziej z irytacji powstała sytuacja niż w wyniku odrodzenia Rafy. Odrodzenie okazało się pozorne; ostatniego seta Wawrinka łatwo wygrał.

Było mi go żal; Nadal wepchnął go na minę, każde zwyczajne zagranie zdawało się nietaktem, którego pod groźbą porażki nie można było nie popełnić. Rafa powinien od razu zejść z kortu, myślałem, i oszczędzić wszystkim takiej operetki. Jego błąd. Ale może mój?

Miłość nie dezerteruje

Rzecz bowiem w tym, że Nadal nie schodził z kortu. Bardzo szybko wprowadził cierpienie jako ważną część składową wizerunku. Nigdy się nie poddawał, choćby za cenę najgorszego bólu. Miał 25 lat, kiedy wychodziła jego autobiografia spisana przez angielskiego dziennikarza Johna Carlina (2011). I mając tych 25 lat na karku, ciężar nieznosny, od razu powiadał, że jego ciało dochodzi do granic nadludzkiej wręcz wytrzymałości i że na tym poziomie gry nie ma dla ciała pardonu.

Z kolanami Nadal miał zawsze źle, później rozwinęła się rzadka choroba, zespół Muellera i Weissa (powstrzymanie dopływu krwi do śródstopia), co wymagało przedmeczowych zastrzyków w lewą stopę, Tarzan trafiał na rafę i zamieniał się chwilami w Frankenstein. Ale dawał radę, ciągnął uparcie po swoje w wewnętrznym castingu do filmu „Nieśmiertelność”.

Po ostatnim tryumfie nad Casperem Ruudem na Rolandzie Garrosie (2022) najlepszy wiralny mem wideo rozgrywa się bodaj w roku 2040. Nadal ma długą i obfitą brodę starca Zosimy, a cała reszta memu to po prostu jego autentyczna wypowiedź z konferencji prasowej po rzeczoną błyskawicznym zwycięstwie: zagrałem dobry tenis, bardzo się cieszę z kolejnego trofeum, do zobaczenia za rok.

Niestety nie doczekaliśmy się, powrócił, by dostać lanie od Zvereva w roku 2024, lecz i tak wszystko gotowi byśmy mu wybaczyć, i tę powiększającą się łysinę rujnującą obraz niepodlegającego czasowi atlety, i utraconą przystojność, i te coraz częściej nietrafione piłki, i te narastające objawy psychosomatyczne.

Jednak wieloletni upór, by nie odejść, jak to się powiada, w glorii i chwale, by zmuszać kolana do uginania się, a stopy do szpagatowych wykroków, tylko wzmacniał wizerunek Rafy.

Nadal poszedł do końca swojego przeznaczenia, sponiewieranie mistrza nie świadczyło w jego przypadku o słabości, lecz opowiadało o zawsze tragicznych dziejach ludzkiego ciała. I opowiadało o tym, że miłość do tenisa, do wstępowania w cegląstą, trawiastą czy betonową świątynię prostokąta, jak każda prawdziwa miłość, nie może dezerterować po drodze.

Więc spytajmy ponownie: skąd to powszechne uwielbienie dla Nadala? Odpowiada Darren Cahill, jeden z najbardziej cenionych trenerów tenisowych: „Nadal posiadał każdą cechę, jakiej życzyłbyś sobie dla własnych dzieci, gdyby starały się naśladować sportowca. Życzliwość, szacunek, pracowitość, lojalność, hojność, wiarę i gotowość do walki o każdy punkt. Wzór do naśladowania, inspiracja dla każdego pokolenia i legenda wszech czasów”.

Podobnie to ujął parę miesięcy temu Gerald Marzorati, komentator „New Yorkera”: „Wniósł do gry odrębny temperament, zaciekle rywalizację bez śladu gniewu czy urazy; rozważną dzikość (...) Jego zapal przywiązał go do tenisa, a nas do niego”.

Tak właśnie: nieagresywna zarliwość. Czyż nie jest to ideał, jaki by się chciało osiągnąć? Wczepić się od stóp do głów w materię życia, bez żadnego zawahania, bezwarunkowo, i nie szkodzić przy tym nikomu. Być sam na sam z tą wyzywającą i wyzywającą masą trwania, przed którą nas od urodzenia postawiono, wyrzeźbić w niej swój kontur. Siłą woli, odnajdując w sobie iskrę bożą, idąc w nieodpartę.

Nikt nie ma wątpliwości, że Rafael Nadal – jeden z ostatnich przewoźników znicza na ceremonii otwarcia paryskiej olimpiady – trafił do drużyny absolutnie najwybitniejszych sportowców w dziejach, i to w najpopularniejszej obok futbolu dyscyplinie. Jest też prawdopodobnie fajnym człowiekiem z krwi i kości, tak na co dzień; w każdym razie bardzo wiele na to wskazuje.

Lecz jest jeszcze kimś więcej. Stworzył dla nas emblematyczną postać, kształt, który możemy wypełniać własnymi wyobrażeniami o spełnieniu i świetności bycia. Mało komu to się wcześniej udało.

© MAREK BIEŃCZYK

STANISŁAW

Mancewicz: Noworodek



RZEC TRZEBA, ŻE PARTYJNY ZJAZD ZJEDNOCZENIOWY Prawa i Sprawiedliwości z Suwerenną Polską w Przysusze nas rozczarował. Liczyliśmy także, że ktośkolwiek – nam, ciekawskim obywatelom – wytłumaczy, po co zjednoczenie się w ogóle dokonuje.

Był to zabieg jakby jesienny, upiększający, ale wzięty ze skromnej oferty medycyny estetycznej. Włączenie SP do PiS-u wydaje nam się zabiegiem z dolnej półki. Każdy – od lewa do prawa – przyzna, że nie było spektakularny, zaawansowany montaż wspaniale unoszących implantów. Między nami mówiąc, było to zaledwie – by poszukać jakiejś malowniczej paroli – wstrzyknięcie pod zwiótczałą skórę kropli jadu kiełbasianego. Wszyscy wiemy, że – jeśli idzie o aplikacje botulinowe – ważna jest dawka. Zobaczymy, czy sobotni zastrzyk był dobrze pomyślany, jeśli idzie o efekt – jak się dziś powiada – urodowy.

Przy okazji zjazdu zjednoczeniowego w Przysusze – czego już, zdaje się, nikt nie pamięta – miał to być także moment odmłodzenia tzw. struktur. Miraż odmłodzenia przykuwał naszą uwagę, mało co nas tak kręci jak kult młodości, zwłaszcza młodości gremiów partyjnych. Powiadano tu i ówdzie, że ważne w Przysusze będzie nie tylko historyczne zjednoczenie, spektakl botulinowy, ale prezentacja młodzieży. Że oto młodzież weźmie niektóre przynajmniej sprawy w swoje ręce. Które – tego nam, zwiótczałym starcom, nie tłumaczono. Zresztą co tu jest do tłumaczenia, młodość – pamiętajmy – ma prócz niezliczonych wad same zalety.

Zdawało się zatem, że do najwyższych gremiów zostaną wmontowani ludzie choćby pięćdziesięcioletni, a może nawet – to byłby już szok – czterdziestoletni, czyli niemal dzieci. Że będzie można – patrząc na nich i ich słuchając – powtórzyć po stokroć tutejsze porzekadło, że młodość musi się wyszumić. Czekaliśmy zatem na szum w Przysusze. Szum młodości. Czekaliśmy więc na realizację i innego powiedzenia, że mianowicie młodość ma swoje prawa, i byliśmy ciekawi, jakie i co to w praktyce, po zjednoczeniu, znaczy. Chcieliśmy koniecznie być świadkami realizowania się jeszcze innej mądrości z filozofii ludowej wziętej, że mianowicie czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci. Oczekiwaliśmy zatem, że oto na naszych oczach, w owej Przysusze, skorupka czymś zacznie nasiąkać, by kiedyś tym trącić, a my będziemy wiedzieć, co to jest za zapach. Takżeśmy sobie kombinowali, takżeśmy marzyli i tak nam się zdawało. Tymczasem – jak mawia młodzież – dostaliśmy figę z makiem, czyli długą mowę zradykalizowanego do granic radykalizmu Gospodarza.

Czegóż w tej mowie nie było? Otóż było w niej literalnie wszystko. Były w niej wszystkie możliwe oskarżenia o wszystko i wszystkie straszliwe przymiotniki. Wszystkie porównania. Wszystkie polskie straszne zdania. Wszystkie straszne słowa polskie, wszystkie najstraszniejsze oskarżenia i groźby. Reakcją na tę mowę powinien być słyszany od Przysuchy po Suchą, od Międzywodzia do Międzybrodzia szloch krzywdzonych Polaków. Kobiety, mężczyźni i polskich dzieci, które – jak usłyszeliśmy – chodzą do szkoły, żeby się nie uczyć. Które są wyzuwane z polskości. Dowiedzieliśmy się także, i tego nam chyba za wiele, że – i tu cytujemy: „Może rzadko to sobie uświadamiamy, ale nikt nie rodzi się Polakiem, Niemcem, Anglikiem, Amerykaninem. Rodzi się po prostu noworodek”. Jesteśmy tym zaskoczeni i zniesmaczeni, choć myśl miała być, zdaje się, głęboka. Poza rozczarowaniami zjazdem zjednoczeniowym w Przysusze pozostanie nam zatem w pamięci oskarżenie, że polski noworodek nie jest Polakiem. Może to dobrze. ©

Stanisław Mancewicz pracuje w Instytucie Literackim w Paryżu. Mieszka w Krakowie.

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilk Superbohater.





ALICJA BIAŁA ZATRUTY STAW

11.10.2024–9.3.2025

MUZEUM SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ W KRAKOWIE MOCAK
UL. LIPOWA 4, WWW.MOCAK.PL

ALICJA BIAŁA, ADAM I EWA, z cyklu OPEN BITE, 2022/2023, WYTRAWIONA
BLACHA MIEDZIANA, 200 x 90 CM KAŻDY, COURTESY A. BIAŁA

MUZEUM SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ W KRAKOWIE MOCAK – INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

WIELKA CZWÓRKA

I INNI

Ceramiczna
rzeźba kameralna w PRL-u

15.10.2024 – 23.02.2025


mnwr.pl

Muzeum
Narodowe
we Wrocławiu



Muzeum Narodowe we Wrocławiu i oddziały zapraszają na wystawy:

Skarb Średzki. Legény i mity

[1.10–29.12.2024]

Muzeum Narodowe we Wrocławiu

Obłęd. Przypadek Mariana Henela – lubieżnika z Branic

[5.10.2024–16.02.2025]

Muzeum Etnograficzne

Wielka czwórka i inni. Ceramiczna rzeźba kameralna w PRL-u

[15.10.2024–23.02.2025]

Muzeum Narodowe we Wrocławiu

Plaśiat wszech czasów. Historyzm w meblarstwie

[5.11.2024–23.02.2025]

Muzeum Narodowe we Wrocławiu

Strojni Kresowiacy

[16.11.2024–16.02.2025]

Muzeum Etnograficzne

Kolekcja otwarta

[6.12.2024–2.03.2025]

Pawilon Czterech Kopuł Muzeum Sztuki Współczesnej

Najpiękniejsza szopka bożonarodzeniowa

[10.12.2024–19.01.2025]

Muzeum Narodowe we Wrocławiu



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Muzeum Narodowe we Wrocławiu jest instytucją
kultury prowadzoną przez Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego/

The National Museum in Wrocław is an institution
of the culture run by the Ministry of Culture
and National Heritage of the Republic of Poland

Mecenas Muzeum Narodowego
we Wrocławiu/

Patron of the National Museum
in Wrocław



Bank Polski